



125.

JÓZEF ROGOSZ.

CHOROBY GALICJI

w latach od

1866—1876

PODPATRZONE I OPOWIEDZIANE PRZEZ DUKATA.

Wydanie drugie.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

L. w 6 w.

NAKŁADEM F. H. RICHTERA.

1876.



Z drukarni Dziennika Polskiego.

22.461

Społeczeństwa chore prawdy nie lubią.

Spasowicz.



I.

PIERWSZE WRAŻENIA.

Spałem snem ciężkim, bez samowiedzy, snem poprzedzającym życie, i jak przez sen pamiętam, że byłem wtedy prawie niczem — miliardem drobnych atomów.

Jak długo trwał ten sen... nie wiem. Potem atomy zaczęły wirować, łączyć się z sobą, i tak powstały drobne grudki, cienkie żyłki. Mój sen był odtąd lżejszy, i dla tego dobrze już pamiętam co później nastąpiło.

Oto w głąb' ziemi wdarli się jacyś ludzie, o ile sobie przypominam, Hiszpanie z pochodzenia, a dobywszy mnie wrzucili do kosza. Kilka miesięcy odbywałem męczącą podróż po lądzie i nudną po wodzie, póki nie znalazłem się w jakimś naczyniu, w którym mi było bardzo gorąco.

Po niejakim czasie uczułem dwa silne uderzenia — i wkrótce padłem na stół marmurowy. Chłód marmuru powołał mnie do samowiedzy — światło olśniło mnie — jęknąłem...

Odtąd byłem pełnej wagi dukatem holenderskim. Po jednej stronie mam napis państwa, w którym na świat przyszedłem — po drugiej wizerunek rycerza, trzymającego w ręce spory pęk różeg.

Oczyrna tego rycerza widzę — jego uszami słyszę — a ustami mówię.

Sala, w której na świat przyszedłem, była niska, sklepiona, czarna i okna miała opatrzone żelaznemi kratami. Po niej snuły się postacie poważne, i jak te ściany ponure. Przy stolikach siedzieli ludzie podeszłego wieku. Machinalnie wazyli moich towarzyszy, którzy jak ja na zimny marmur z jękiem padali, i zapisywali cyfry nie do siebie nie mówiąc.

Nie długo trwało, a przydzielono mnie do dziewięćdziesięciu dziewięciu innych dukatów, włożono nas do skórzanego worka z licznemi rulonami, tak że razem było nas najmniej pięć tysięcy, zawiązano i opieczętowano. Odtąd było mi ciemno — usnąłem.

Po gwałtownem rozerwaniu osłony papierowej, która mnie z innemi krępowała, odzyskałem wzrok chwilowo utracony. Ze zdziwieniem patrzę, pytając siebie, gdzie jestem? Oto leżałem w koszyku na stole, w jednym z niemieckich domów gry, a oczy dokoła stojących chciwie mnie pożerały.

Rzecz szczególna! Nie uczono mnie żadnego języka — jednak wszystkich rozumiałem — a co mnie jeszcze bardziej zadziwiło, wszyscy mnie rozumieli, chociaż do nikogo słowa nie przemówiłem.

Setki rąk wyciągały się nad stołem — palce kurczowo chwyciły pieniądze — kasjerzy obojętnie bądź ściągali przegrane, bądź wypłacali wygrywającym — słoniowa gałka złowrogo dzwiała skacząc po metalowej pokrywie rulety — twarze stojących przy stole zdradzały to chciwość, to gniew, to rozpacz — a po nad tą masą, którą jedyna poruszała namiętność, od czasu do czasu dawał się słyszeć głos piskliwy:

— *Messieurs faites votre jeu!*

Już od godziny w głębokiej byłem pograżony zadumie, myśląc o tem co się dokoła mnie działo, gdy do stołu zbliżyła się nowa osobistość. Był to człowiek nie pierwszej już młodości, starannie ubrany, starannie ogolony, słuszny, szczupły i z badawczem wejrzeniem.

Przypatrzwszy się uważnie każdemu z bliżej stojących, wyjął z portmonetki wytartego dukata i z uśmiechem satyrycznym na stół go położył. Zakręciła się ruleta, a gdy gałka wpadła w jedną z trzydziestu ośmiu komórek, kasjer wziął mnie we dwa palce i rzucił nieznajomemu.

Nikt by nie uwierzył, jaką mi to przyjemność sprawiło. Aż po ten dzień znałem ludzi tylko z widzenia, z rozmów; odtąd miałem ich poznać zbliska, z rąk do rąk przechodząc.

Nieznajomy wziął mnie ze stołu, oglądnał, razem ze swoim dukatem włożył do kamizelki, i niezwłocznie salę gry opuścił.

— Jak się nazywa nasz pan? — zapytałem mego wytartego towarzysza, chcąc jak najprędzej zawrzeć z nim znajomość.

— Ludwik.

— To imię, ale jak z nazwiska?

— Nie mogłem zapamiętać, bo ma jakieś zakazane nazwisko francuskie.

— A ty, kochany kolego, jakiej jesteś narodowości, bo mi twój język brzmi dziwnie... każde słowo inne.

— Ja nie jestem żadnej narodowości.

— Czy być może?

— Ja jestem Austriak.

— Cóż to takiego?

— To państwo.

— Rozumiem... ale — dodałem po chwili — co znaczy mój przyjacielu, że z siebie wydajesz woń tak niemiłą?

— To nie moja wina, lecz moich panów dawniejszych.

— Rozeiekawiasz mnie kolego... jeżeli łaska jaśniej się wytłumacz.

— Powinieneś wiedzieć — odrzekł mi na to z głębokim westchnieniem — że państwo, którego jestem poddanym, bardzo lubi dukaty, ale właśnie dla tego że za nimi przepada, samo ich nie ma. Każdy rulonik, wybity w jego mennicy, idzie bądź za granicę, bądź przenosi się do kieszeń żydowskich. O, mój drogi, gdybyś wiedział ilu my mamy tych żydów! Sprytne to plenięę ściąga dukaty, aby przy naszej pomocy panować nad wszystkimi. Czy dałbyś wiarę, że właśnie wczoraj dwieście lat upłynęło jak na świat przyszedłem, a w ciągu tych dwóch stuleć ani jeden raz nie byłem w rękach chrześcijańskich. Ciągłe wystugiwałem się potomkom Abrahama, którzy mnie okrawywali, piłowali, słowem powoli zabijali, byle na tem cokolwiek zarobić. Im to zawdzięczam że dziś tak kuso wyglądam — im także, że tak pachnę.

— Rzeczywiście.. trącisz żydem.

— Przepraszam — odparł gniewnie — ja jestem dobrym katolikiem i arystokratą, bo takim jest państwo, które mnie na świat wydało.

Wielką miałem ochotę zrobić mu uwagę, że kiedy jest katolikiem i arystokratą więc pod żadnym warunkiem nie powinien się być żydom

wysługiwać, ale wrodzone uczucie delikatności ka-
zało mi zamilknąć. Po jakimś czasie znowu
zapytałem:

— A jakim cudem wyostałeś się nareszcie
z niewoli jerozolimskiej?

— Przed rokiem znajdowałem się u pewnego
żyda, który dzierżawił propinację u jednego z bogat-
szych hrabiów galicyjskich. Odnawiając kontrakt,
stary Szmul dał mnie z innemi pani hrabinie, ty-
tułem porękawicznego, a ta natychmiast wręczyła
nas guwernerowi swoich dzieci, który właśnie
wyjeżdżał do Paryża.

— A! więc terazniejszy nasz pan jest guwer-
nerem z zawodu i jedzie do Paryża?...

— I jeżeli nas nie wyda — dodał mój to-
warzysz — jutro nad wieczorem staniemy w tem
wielkiem mieście.

W podróży poufałe robią się znajomości.
Chcąc jak najprędzej obznajomić się ze światem,
na którym teraz żyć miałem, zadawałem memu
koledze najrozmaitsze pytania, a chociaż staruszek
mówił niewyraźnie jak gdyby miał fluksję, i uży-
wał takiego języka, jakim mówili ludzie przy bu-
dowaniu wieży Babel, skutkiem czego musieli się
rozejść, bo się zupełnie nie rozumieli, mimo to
dzięki mojej inteligencji i zimnej krwi holender-
skiej, której zawdzięczam cierpliwość i wytrwałość,

domyśliłem się wszystkiego i nauczyłem nie jednej rzeczy. Przedewszystkiem nabrałem dość jasnego wyobrażenia o państwie, w którym mój towarzysz na świat przyszedł — a i to mogło mi się z czasem na coś przydać.

Drugiego dnia w nocy byliśmy w Paryżu.

Monsieur Louis D'Etienne, nasz pan wszechwładny, odwiedzał ludzi najrozmaitszych i załatwiał swoje interesa. O szóstej po południu jadał obiad w jednej z pierwszych restauracyj w Palais Royal. W sali było zawsze tak pełno, że rzadko mógł znaleźć próżny stolik; najczęściej musiał siedzieć z nieznanymi sobie osobami, z którymi atoli jako Francuz prędko się poznawał. Wszedłszy raz zastał wszystkie miejsca zajęte, tak dalece, że tylko jedno było jeszcze wolne przy stole pod oknem. Monsieur Louis skłonił się grzecznie siedzącym tu młodym ludziom — było ich pięciu, a z twarzy wyglądali na cudzoziemców — według zwyczaju podwiązał brodę serwetą i zaczął jeść zupę. Tymczasem obok siedzący bawili się głośną rozmową.

Monsieur Louis podniósł głowę i udając że obojętnie patrzy w okno, słuchał pilnie aby jednego słowa nie stracić. Po kilku minutach wyjął mnie z kieszeni i położył przed sobą na stole. Młodzi ludzie spojrzeli na mnie, na mego pana, coś poszeptali z sobą, a potem zaczęli znowu gło-

śno rozmawiać i śmiać się wesoło. Po skończonym objedzie, Monsieur Louis wstał, a schowawszy mnie skłonił się obecnym i wyszedł.

Od tego dnia zawsze o jednej godzinie siadał przy tym samym stoliku, i zawsze miał tych samych współbiesiadników; najregularniej gdy mu garson zupełny przynosił, kładł mnie przed sobą, chował zaś wychodząc. Przyznam się, że mnie to zaczynało dziwić, tem bardziej, że wbrew zwyczajowi z młodymi ludźmi nie zawarł znajomości i do żadnego słowa nie przemówił, udając że nie rozumie ich języka. Piękni kawalerowie, zauważywszy to oryginalne wyjmowanie i chowanie dukata, rozciekawili się do tego stopnia, że ezternastego dnia jeden z nich przemówił po francusku do mego pana :

— Przepraszam jeżeli zadam pytanie może niedyskretne...

— Bardzo proszę...

— Już od dwóch tygodni jadamy razem objad i z największem zdziwieniem widzimy, że każdym razem kładziesz pan przed sobą dukata, a odchodząc znowu go chowasz. Nie mogliśmy się dowiedzieć, co to właściwie znaczy?

Monsieur Louis spojrział na prawo i lewo, a widząc w sali jeszcze dużo osób, przechylił się

przez stół i odpowiedział nie po francusku, lecz dość poprawnie po polsku:

— Moi panowie, usiadłszy tu pierwszy raz przed czternastu dniami, i poznawszy w was Polaków z Galicji, gdzie spędziłem lat piętnaście, powiedziałem sobie, że wyszedłszy ztąd dam dukata pierwszemu żebrakowi, którego spotkam, jeżeli usłyszę was kiedy rozmawiających o rzeczach poważnych.

— Jakto? — zapytali młodzi ludzie, zdziwieni w najwyższym stopniu, że niemy towarzysz ich język rozumiał.

— Bądźmy otwarci, moi panowie — odparł Monsieur Louis tonem słodkim ale stanowczym. — Mieszkając w Galicji przekonałem się, że zamożniejsza młodzież tej części dawnej Polski, prawie nie jest zdolną do prowadzenia poważniejszego dyskursu. Gdziekolwiek zejdzie się kilku młodych ludzi, o czem mówią? O kartach, psach, koniach, polowaniu i kobietach. Oto treść wszystkich waszych rozmów, oto filozofja waszego życia towarzyskiego. Dyskursu poważniejszego unikacie — on was nudzi. Czego atoli można spodziewać się po kraju, którego młodzież tak postępuje? Spotkawszy was tu, w tem wielkiem ognisku cywilizacji, gdzie rodzice przysłali was prawdopodobnie byście się czegoś nauczyli, gdyż jak na turystów

za młodo mi jeszcze wyglądacie, myślałem, że może z dala od kraju przyjęliście inny system. Tymczasem zawiodłem się boleśnie i nie pozwoliliście nawet bym wsparł ubogiego... Jeżeli do kogo, do was można by zastosować przysłowie: *rien appris ni rien oublié!* Ojczyzna wasza tak strasznie przeszła koleje, ojcowie wasi tak boleśnie zawiedli się myśląc, że rzutem nagłym a gorączkowym potrafią Polskę zbawić, wy sami odczuwacie, że jeżeli wasz naród powstanie, to zbudowany pracą rozumną i wytrwałą, a mimo to nie zwracacie się ku tej pracy. Z książek nie nauczył się nikt rozumu — jego trzeba szukać w życiu. Dokoła was życie wre i kipi, najdrażliwsze sprawy roztaczają się na każdym kroku, lecz wy na nie nie uważacie, w rozumnej dyskusji nie wyrabiacie sobie o nich sądu — wy umiecie mówić tylko o psach, koniach i kobietach.

Rzekłszy to, guwerner skłonił się młodzikom, i zanim który mógł mu odpowiedzieć, wyszedł z sali.

Kto wie, czy Monsieur Louis nie miał racji. W późniejszym moim życiu przekonywałem się często, że najlepsze pomysły rodzą się w głowach jednostek, ale w życie przechodzą i zbawienne owoce dopiero wtedy wydają, gdy w żywej a rozumnej dyskusji ulegną tym zmianom, których

każde dzieło ludzkie wymaga. Prócz tego stara to jak świat prawda, że każdy naród jest takim, jakimi są pojedyncze koła jego społeczeństwa. Jeżeli te koła pędzą życie, płocho gawędząc, jakim cudem może naród cały myśleć rozumnie i praktyczne stawiać kroki!

Monsieur Louis d'Etienne był Francuzem z pochodzenia, charakteru i przekonań, chociaż rodzina jego blisko od stu lat mieszkała w Austrii, o której istnieniu w Europie dowiedziałem się w jego kieszeni od owego dukata, który przez dwa wieki jęczał w niewoli u synów Izraela. Ojciec pana Ludwika, będąc jeszcze młodym chłopcem, wyemigrował z Francji za dni Terroryzmu, a chociaż ożenił się z córką dość zamożnego wychodźcy, w skutek klęsk bezustannie na jego dom spadających, tak wszystko stracił, że umierając synowi swemu prócz pocziwego imienia i starannego wychowania nic więcej nie zostawił. Syn straciwszy ojca postanowił wziąć się do pracy — a że między trywialnymi Niemcami nie było mu swojsko, Węgrzy zaś wydali mu się na pół dzicy, — przeniósł się więc do Galicji, gdzie Polskie serca i polskie temperamenta przypominały mu najwięcej własną ojczyznę, i godziły się z jego usposobieniem. Do Polaków przyłgnał też całą duszą, a chociaż jako człowiek wyższemi

obdarzony zdolnościami, widział wszystkie ich błędy, nie potępiał za nie całego narodu. W charakterze zresztą jego leżało, że zawsze przebaczał, nawet wtedy gdy już nie mógł usprawiedliwić.

Monsieur Louis był katolikiem i konserwatystą, ale w zdrowem pojęciu nowoczesnem.

Wierząc sam gorąco w to, w co go wierzyć uczono, nie bluźnił innym wyznaniom jeżeli ich adherenci byli ludźmi uczciwymi — a lubo był głęboko przekonany o pożyteczności monarchicznej formy rządów, pragnął, by monarchja godziła się zawsze z wymaganiami postępu, słowem by była prawdziwie konstytucyjną.

Idąc raz bulwarem St. Michel, zacny mój właściciel spotkał jakąś figurkę niską i zawiedłą.

— Witam, witam! — zawołał radośnie, ku nadchodzącemu obie ręce wyciągając.

Mały człowieczek stanął i ze zdziwieniem podniósł ciemne okulary, aby mówiącemu lepiej się przypatrzeć.

— Kochany pan nie poznaje dawnego znajomego — zapytał pan Ludwik, o krok się zbliżając — czym się tak bardzo postarzał?

— A doprawdy! to Monsieur Louis d'Etienne! — zawołał człowieczek, ściskając serdecznie podane sobie ręce. — Ale gdzież bym był przy-

puścił że spotkam pana tu, w Paryżu!.. Kochany pan dawno z Galicji?

Przed miesiącem przyjechałem, ale za tydzień wracam. Miałem załatwić kilka spraw familijnych. A pan na długo do Paryża?

— Wyjeżdżam także za tydzień. Jeden z moich kolegów obozowych z 1831 r. którego kochałem jak brata, pisał mi niedawno, że chce się ze mną widzieć, bo już bardzo podupadł na zdrowiu i kto wie czy wiosny doczeka... przyjechałem więc aby go uścisnąć, a może i pożegnać... Ach! mój panie — dodał z westchnieniem -- ani byś przepuścił jak przykrego doznałem wrażenia, gdym się tu zszedł z kilkoma dawnymi towarzyszami broni! Ich zastęp tak już nieliczny! Ale ja tu pana zatrzymuję, a panu może spieszno?

— Bynajmniej! szedłem bez celu.

— Jeżeli tak, to może pójdziemy razem na objad. Zaprowadzę pana do restauracji, w której zbierają się nasi weterani. O ile wiem, jesteś przychylnym naszemu narodowi, więc i widok gruzów przedostatniego trzęsienia może ci nie będzie obojętnym.

— Bardzo chętnie. Młoda waszą emigrację znam dosyć dobrze, obraz zatem będzie pełny, gdy teraz poznam starą.

Pan Stanisław, tak się nazywał zawiędły

człowieczek, i Monsieur Louis skręciwszy w pierwszą ulicę na lewo, weszli do niepokażnej restauracji. Sala jadalna była niewielką, ale jak dla gości tu zgromadzonych nadto nawet obszerną, bo przy jednym tylko stole siedziało kilka osób. Byli to sami mężczyźni, siwi jak gołębie i z białymi brodami. Między nimi znajdował się jeden młody człowiek, liczący lat dwadzieścia kilka. Młody coś głośno starcom opowiadał, a starcy słuchali go uważnie z lampek blade wino popijając. Posprzą-tany stół świadczył, że objad właśnie się skończył.

— Nie przeszkadzajmy im i siądźmy tu na boku, aby każde słowo usłyszeć — rzekł pan Stanisław do swego towarzysza. Usiedli.

— Ja panom powtarzam — mówił młody tonem przekonywującym — że najstosowniejsza chwila była dla nas podczas Krymskiej kampanji. W całej Polsce nie było wtedy więcej jak dziesięć tysięcy żołnierzy rossyjskich...

— Co to rossyjskich! — przerwał jeden ze starców laską o posadzkę stukając — ja nie znam Rossji, ja znam tylko Moskwę! To Azja!

— Niech więc będzie moskiewskich — poprawił się młody orator — Austrija była wtedy chwiejna, bo nie wiedziała co się stanie; Francja, Anglja i Turcja trzymały w szachu całą armję carską, więc gdyby na tyłach wybuchło było po-

wstanie, Polska byłaby do roku wskrzeszoną. Ale Napoleon bał się tego, a myśmy jego lisich rad usłuchali. Teraz mamy za to figę.

— Prawdę powiedziałeś chłopcze — zawołał jeden za słuchających — ja już od trzydziestu lat powtarzam, że tylko dyplomacja nas zgubiła. Nam nie dyplomatyżować, tylko bić Moskala!

— Ja bym był przeciwnego zdania — odparł młody człowiek. — W r. 1863 biliśmy nie bawiąc się w dyplomację, a na czem się skończyło? Dobra polityka jest potrzebną, bo nią można pokonać politykę strony przeciwnej, ale aby była prawdziwie korzystną, trzeba nią tak kierować, by nie czyniła tego, co może się podobać wrogowi samemu. W r. 1831 zła była nasza polityka, bośmy nie rozszerzyli powstania, a w r. 1854 była jeszcze gorszą, bośmy cicho siedzieli. Otóż zdaniem mojem my dla tego podnieść się nie możemy, że nie mamy żadnej polityki.

— Mądre powiedziałeś słowo, mój chłopcze! — zawołał ten sam weteran, który przed chwilą był tak stanowczym przeciwnikiem wszelkiej dyplomacji — a że mi się podobasz, więc jak powrócimy do Polski, zapoznam cię z moją wychowanką, Zuzią, którą zostawiłem na Pradze. Śliczna dziewczynka, lat ośmnaście, śliczna byłaby z was para!

— A kiedy ją pan ostatni raz widziałeś?

— Kiedy?... Przed zdobyciem Warszawy.

— W takim razie piękna Zuzia może ma już wnuczkę ośmnastoletnią.

— Prawda... zapomniałem... Ale widzisz mój chłopcze, ja tak ciągle myślę o powrocie do kraju, że nie miałem czasu lat liczyć!... Ale da Bóg na wiosnę pewnie wrócimy.

— Mnie się zdaje że prędzej — rzekł drugi starzec.

— I dla tego dotąd łóżka sobie nie kupiłeś — zauważył trzeci.

— A na co mi łóżka! Dziś kupię i drogo zapłacę, a jutro jak przyjdzie wracać do Warszawy sprzedam za bezcen. Ja nie mam pieniędzy na wyrzucenie. Ja wam zawsze mówię, że Napoleon to głowa. Dziś cicho, a jutro bęc... i już jest!

— Dałby Bóg żeby jak najprędzej — odezwało się kilka głosów.

— Co do mnie — przemówił jeden weteran, który aż do tej chwili słowa nie powiedział — ja nie wierzę ani w politykę, ani w Napoleona... pierwsza zawodzi, drugi oszukuje. Nam sam Bóg przyjdzie w pomoc, bo tyleśmy już łez wylali i tyle nam krwi wytoczono z pod serca, że wszystkie nasze grzechy są dawno odkupione. Polska ma wielkie posłannictwo i dla tego nie może zginąć.

Na chwilę wszyscy umilkli. Po jakimś czasie weteran, siedzący po lewej stronie młodego człowieka, obrócił się do swego towarzysza pytając:

— A wy emigranci z 1864 roku co myślicie robić?

— My — odparł młodzieniec — myśmy postanowili pracować, każdy w swoim zawodzie i czekać co kraj zrobi, bo inicjatywa musi wyjść od niego nie od nas. Gdy nadejdzie chwila stanowcza wszyscy znajdziemy się tam, gdzie nas obowiązek powoła.

Nie wszystkim podobała się ta odpowiedź. Rozpoczęła się dyskusja żywa, hałaśliwa. Widząc to pan Stanisław zbliżył się do stołu. Oczy siedzących zwróciły się na niego, a że od kilku dni poznał go ze wszystkimi weteranami ów chory towarzysz broni, którego pan Stanisław przyjechał odwiedzić, więc dawnego kolegę poczęto zarzucać najrozmaitszymi pytaniami, z których każde nosiło na sobie piętno gorącej miłości kraju.

Gdy po kilkogodzinnej gawędce, przeplatanej łzami i uściskami, Monsieur Louis wyszedł na ulicę, prowadząc pod ramię sędziwego towarzysza, ten zapytał go głosem drżącym:

— Jakże ci się kochany panie podobała nasza stara emigracja?

— Poczciwa, serdeczna... ale bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

— Jak to kochany pan rozumie?

— Ci biedni ludzie żyją w świecie jak na pustkowiu. Dokoła praktyczność — a oni pełni ideałów i marzeń; dokoła zimne liczenie się z rzeczywistością — a oni ciągle wierzą w cud. Ale oni temu nie winni — wszak ich tylko sama pieśń wychowywała! Piękną jest pieśń, bardzo piękną, lecz sama jedna staje się pokarmem za mało posilnym, zbyt eterycznym... Dla tego podobno mi się zapewnienie tego młodego człowieka, że najnowsza emigracja postanowiła realniej zapatrywać się na życie. Niech pracuje, niech pracą ojczyznę buduje, a tylko w bój niech idzie z pieśnią na ustach!

Pan Stanisław uścisnął rękę Francuza.

Drugiego dnia rano Monsieur Louis poszedł do kościoła Magdaleny, gdzie dowiedział się od proboszcza, że w zakrystji jest jakiś polski ksiądz z Krakowa. Uradowany pobiegł doń niezwłocznie, a wyjąwszy mnie z kieszeni wręczył kapłanowi prosząc, by odprawił żałobną mszę za dusze jego rodziców.

Przykro mi było rozstać się z poczciwym Francuzem — ale musiałem...

II.

MASKOWANI.

Ksiądz Augustyn, mój pan terazniejszy, bawił cały miesiąc w Paryżu; nie towarzyszyłem mu jednak w żadnej wycieczce, ponieważ w godzinę po przejściu w jego ręce, ukrył mnie na dnie dobrze okutej walizki, gdzie zastałem kilkudziesięciu kolegów, z których każdy był podobnym do pierwszego mego znajomego.

Od nich dowiedziałem się, że ksiądz Augustyn miał młodość bardzo burzliwą, lecz postanowiwszy poświęcić się zawodowi duchownemu, wyjechał na naukę do Rzymu, z kąd powrócił do Polski. Dłuższy czas jednak nie mógł sobie wyszukać miejsca pobytu, odpowiedniego swoim pragnieniom. Dość długo zmieniał miasta i znajomości, dopóki nie osiadł stale w Krakowie, gdzie tak umiał sobie zjednać osoby najbardziej wpływowe, że powszechnie zaczęto go uważać za zjawisko nadzwyczajne, za niebios wysłannika.

— A czem sobie wyrobił taką reputację? — zapytałem rozciekawiony.

— Obroną wiary.

— Alboż wierze grozi tam jakie niebezpieczeństwo? O ile wiem, Polacy są religijni i nie podkopują wiary swoich ojców.

— Tak wszyscy utrzymują, z wyjątkiem samego księdza Augustyna... Przyjechawszy do Krakowa sam się o tem przekonasz.

Usiłowania moje, by z szanownych kolegów więcej wydobyć, spełzły na niczem. Widocznie jako poddani państwa, o którym już wiedziałem, że było katolickie i arystokratyczne, nie chcieli w złem świetle przedstawiać swego pana, z którym ich łączyła wspólność zasad.

Po przyjeździe do Krakowa, ks. Augustyn wyjął mnie w swoim gabinecie, i uważnie począł oglądać.

— Holender — mówił do siebie z zadowoleniem, podczas gdy służący wyjmował suknie z licznych walizek i w szafach wieszał. — Śliczny holender! nawet nie obcięty... Mój Boże, jaka to dziś rzadkość! Wszędzie brudne papiery, za które w razie bankructwa niktby grosza nie dał. Ale... dobrze żem sobie przypomniał... muszę ostatnią tysiączkę wymienić na jakie dobre akcje angielskie, bo w środkowej Europie widnokrąg polityczny za-

czyzna się ściemniać. A tymczasem tu, na biurku, położył tego panicza... Jak kto przyjdzie, niech myśli, że przyjmuję tylko dukaty.

Rzekłszy to położył mnie na miejscu najwidoczniejszym, czem niezmiernie byłem uradowany, bo mogłem wszystko oglądać.

— Jacenty! — zawołał po chwili, obracając się do służącego — przygotuj mi suknie wizytowe, a jakby kto przyszedł z prośbą lub po kweście, powiedz że mnie nie ma w domu.

— Tacy już do nas nie chodzą — odpowiedział Jacenty, wykrzywiając pomiętą twarz uśmiechem sarkastycznym. — Ale w nieobecności księdza kaznodziei dobrodzieja było tu dużo panów i pań i hrabiów... W salonie zostawili bilety.

— Dobrze, dobrze, spiesz się!

Podczas gdy służący suknie przygotowywał, ja robiłem moje spostrzeżenia.

Ks. Augustyn miał lat trzydzieści kilka, był smukły, ślicznie zbudowany i mógł być dumny ze swojej głowy, bo była to głowa Antinousa. Jasne, szerokie czoło, nos rzymski, usta pełne i oczy czarne, wyraziste, robiły jego twarz tak piękną, że do tej chwili równie uderzającej nigdzie nie spotkałem. Szczególnym jej powabem był uśmiech łagodny, przymilający, powiedziałbym zniewieściały, uśmiech który po niej wiecznie igrał. Takim



uśmiechem najłatwiej pokonać słabych nieprzyjaciół — taki uśmiech jest strasznym dla kobiet.

W ruchach ks. Augustyn był nerwowy, teatralny prawie; wszelako żyjąc z nim czas dłuższy, przekonałem się, że ilekroć potrzeba tego wymagała, umiał być poważnym, zimnym, imponującym.

Głos miał słodki, pieszczotliwy, taki jak uśmiech; ręce białe, pulchne, starannie utrzymane.

Mieszkanie mego właściciela składało się z salonu wytwornie umeblowanego, sypialni, gabinetu, sali jadalnej, i dwóch czy trzech mniejszych pokojów. Urządzający ten apartament miał na myśli nie tyle dobry smak, co wygodę; to też meble były może nadto pstrokate, lecz za to miękie. Na ścianach wisiały Madonny i Święci. Tych ostatnich, artysta, bacząc na słodkie usposobienie ks. Augustyna, który nie mógł znieść widoku krwi i śmierci, nie przedstawił nigdzie w chwili skonu pod toporem kata, lub na stosie ofiarnym. Ci Święci byli to mężowie zadumani ale nie tacy co cierpią, lub broń Boże umierają! W salonie i jadalni zamiast obrazów treści religijnej, wisiały widoki i płótna historyczne.

Rzecz jedna szczególnie mnie uderzyła. Przed każdym obrazem w sypialni i gabinecie dostrzegłem wdzięcznie ułożone blade-niebieskie firanki jedwabne, które na pozor służyły ramom za ozdobę, lecz któ-

remi w danym razie można było zasłonić wszystkie obrazy.

Ks. Augustyn ubierał się bardzo długo, bo przed samem zwierciadłem strawił pół godziny na wdzięcznem układaniu włosów i pudrowaniu swojej twarzy pięknej. Oblawszy perfumami rewerendę z sukna cieniutkiego, i przypatrzywszy się uważnie paznogciom u rąk obu, włożył nareszcie rękawiczki i kazał sobie podać kapelusz.

— Ja nie wrócę tak prędko — rzekł do służącego — ale gdyby przyszedł pan Ksawery poproś go, by zaczekał, bo mam do niego ważny interes.

Jacenty odprowadził swego pana do sieni.

Zaczęło się już ściemniać, gdy w przedpokoju dał się słyszeć silny głos dzwonka, poczem do gabinetu wszedł ten sam pan Ksawery, którego spodziewał się ks. Augustyn. Nowoprzybyły był bardzo słuszny, bardzo suchy, a twarz miał nie miłą, prawie odrażającą. Łagodził ją jednak wyraz pełen dowcipu i bystrości umysłu. Co do wieku, mógł mieć najmniej sześć krzyżyków; mimo to trzymał się prosto i chodził szybko, udając starego młodzika.

Wszedłszy do gabinetu, natychmiast mnie zobaczył, wziął w swoje zimne ręce i rzekł z uśmiechem złośliwym:

— O, wabik... wabik!

Potem położył mnie na dawnym miejscu, przeszedł się kilka razy po pokojach, stawał przed obrazami często powtarzając: — Nie zna się na sztuce, zwyczajnie jak parweniusz! — a gdy wrócił do gabinetu, siadł w kresle wygodnym, wyciągnął nogi cienkie jak laski, ziewnął przeciągle, co mi pozwoliło przekonać się, że wszystkie zęby miał wstawione, i rzekł głowę w tył przechylając:

— Sztuki nie rozumie, ale za to umie żyć... umie! Sybaryta, skończony sybarta!... Ma jednak rację, człowiek tylko raz żyje.

Przy ostatniem jego słowie we drzwiach pokazał się Jacenty.

— Proszę jaśnie pana jest tu ten rudy żyd eo książki wydaje.

— A on czego chce? — zapytał pan Ksawery ze zdziwieniem.

— Mówi że ma bardzo ważny interes.

— Szczególny człowiek! aż tu przyszedł mnie szukać. Ale prawda, cały dzień nie byłem w domu... Możesz go wpuścić.

— Dobrze, proszę jaśnie pana, tylko wpierw muszę obrazy pozasłaniać.

— A to na co?

— Książd dobrodziej przed samym wyjazdem do Paryża kazał poumieszczać te oto firanki, aby

zasłaniać świętości, jeźliby tu broń Boże przyszedł żyd jaki, albo...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się pan Ksawery na głos cały — a to nowy sposób modlenia się pod figurą. Dziś jednak daję ci absolicję, bo on taki żyd jak ty chrześcijanin. Tylko swemu panu nie mów żeśmy jego rozkaz złamali.

— Czy jaśnie pan myśli, że jabym tu mógł służyć, gdybym milczeć nie umiał?

Szczera ta odpowiedź musiała się podobać gościowi księdza Augustyna, bo z dowcipnym uśmiechem Jacentego do drzwi odprowadził.

Za chwilę wszedł żyd spodziewany.

— I cóż tam nowego, panie Baer — zapytał pan Ksawery, podając rękę nowoprzybyłemu — żeś mnie aż tu odszukał?

— Ja pana dobrodzieja cały dzień szukam — odrzekł żyd poufale, siadając na fotelu najbliższym — i dziesięć razy byłem u pana w domu.

— Chodziłem z wizytami... ale co mi pan powiesz ciekawego?

— Właśnie dziś rano wyszedł moim nakładem ten oto śliczny sennik egipsko-assyryjski, z dodatkiem astrologicznym i wszystkimi hokus pokus.

— I pan chcesz zapewne, bym mu w *Konserwatyście* zrobił reklamę?

— Aha!

— Ależ mój kochany panie Baer, przecie wiesz że *Konserwatysta* jest pismem konserwatywnem.

— No, co to szkodzi? Czemu to się razem nie ma zgodzić? A astrologja nie jest taka stara jak arystokracja, a ona nie konserwatywna? Ja wiem, że jak pan dobrodziej zechce, to tak napisze, że nikt się nie połapie, a ja w jednym dniu sprzedam pół nakładu. Ja panu dobrodziejowi coś powiem: za tę jedną reklamę ja dam dwadzieścia pięć papierków.

Oczy słuchającego błysły ukośnie.

— A co na to powiedzą demokraci w swoim *Krzykaczu*?

— Demokraci? To takie gałgany, oni się między sobą gryzą. Ich *Krzykacz* nie ma prenumeratorów, wydawca nie ma pieniędzy, jeszcze kilka tygodni i będzie kaput. Zresztą odkąd to pan dobrodziej uważa co o nim mówią demokraci?

— Masz rację, masz rację, ale za dwadzieścia pięć nie mogę, bo tu muszę postąpić wbrew moim zasadom. Jeżeli jutro chcesz mieć dobrą reklamę, muszę dostać pięćdziesiąt papierków.

Zaczął się targ, który trwał kilka minut, a gdy stanęło na czterdziestu papierowych guldenach, i żyd wyliczył pieniądze, pan Ksawery schował

je do kieszeni, usiadł przy biurku i w dziesięciu minutach zapisał całą stronicę papieru listowego.

— Zanieś to pan do drukarni — rzekł wręczając żydowi gotowy artykuł — i powiedz, że musi być umieszczonym w jutrzejszym numerze.

— Bardzo dziękuję panu dobrodziejowi. Jak to panu idzie prędko! Szach, szach, szach i już jest. Ja zawsze mówię, że takiej głowy tu nikt nie ma. Jakbym jeszcze raz na świat przyszedł, chciałbym być takim literatem i redaktorem. Ale — dodał uśmiechając się przymilająco — ja mam jeszcze jeden interes.

— Cóż takiego?

— Chciałem prosić, żeby pan dobrodziej był łaskaw napisać malutki artykułek humorystyczny.

— Dla kogo?

— Dla *Krzykacza*.

— Czyś oszalał! Przecie *Krzykacz* należy do obozu przeciwnego.

— Co to szkodzi? Niech on sobie należy do obozu przeciwnego, a pan dobrodziej może napisać i jeszcze wziąć dziesięć papierków.

— Wiesz co mój kochany, twoja propozycja w wysokim stopniu mnie zadziwia. Przed chwilą sam drwiłeś z tego pisma, a teraz pragniesz mnie zrobić jego współpracownikiem.

— Uchowaj Boże! ja tak nie myślę. Mój interes bardzo jasny i pewnie nie zaszkodzi zasadom pana dobrodzieja. W mojej księgarni leżały przez pół roku numera *Krzykacza*, trochę z nich dzieci powynosiły, trochę mi pokradli, a teraz wydawca żąda, bym mu zapłacił za te, których brakuje. Otóż powiedziałem sobie, że jakbym dostał dobry artykuł dla *Krzykacza*, to jego wydawca skwitowałby mnie z rachunku. Jak pan dobrodziej napisze, to ja w domu każę memu synowi przepisać, aby w redakcji nie domyślono się od kogo manuskrypt pochodzi, a tak będzie i wilk syty i koza cała. A dziesięć papierków czy chodzą po drodze?

Szanowny redaktor organu konserwatywnego głęboko się zamyślił; potem rzekł:

— Nie mogę, choćbym chciał, bo dobry koncept nie przychodzi na zawołanie. Taki artykuł to nie reklama.

— Aj! aj! ktoby temu uwierzył. Jak pan dobrodziej zechce, to tylko szach, szach, a zaraz będzie artykuł. Ja zawsze mówię, że takiej głowy tu nikt nie ma. Dam piętnaście papierków.

Ostatnie słowa złamały opór redaktora. Bronił się jeszcze czas jakiś, lecz gdy żyd podniósł honorarjum do dwudziestu pięciu guldenów i na stół je wyliczył, w kilka minut otrzymał manuskrypt ze słowami:

— A pamiętaj zwrócić mi rękopis, bo *verba volant a scripta manent*.

— Już pan dobrodziej może się na mnie spuścić — odparł wydawca sennika, i uściskawszy dłoń sobie podaną, wyszedł po kilku głębokich ukłonach.

Pozostały usiadł na dawnym miejscu, i półgłosem zaczął sobie nucić jakąś piosenkę francuską. Monotonne uderzenia wahadła u zegara, który wisiał nad biurkiem, stanowiły jedyny akompaniament. Powoli nuta zaczęła cichnąć, zegar robił się głośniejszym, i oczy śpiewającego zupełnie się zamknęły.

Nie spał jednak długo, bo po upływie pół godziny ks. Augustyn wszedł szybko do gabinetu, poprzedzany przez służącego, który niósł lampę zapaloną.

— Jak się masz Ksawery! — zawołał nad uchem swemu gościowi, szarpiąc go za ramię.

— A, to ty! — odparł budząc się pan Ksawery — jak się masz, jak się masz! Tak długo na ciebie czekałem, że mnie to aż zmęczyło. Jak się masz! — zawołał raz jeszcze, całując gospodarza w oba policzki.

— Spodziewałem się ciebie, ale nie mogłem wyrwać się wcześniej, bo rad nie rad musiałem u Alfonsa zostać na obiedzie.

— A dobry był objadek, co? Podczas twojej nieobecności Alfons przyjął nowego kucharza, specjalistę do majonesów i pasztetów. Co za kucharz! Anioł nie kucharz.

— Rzeczywiście, wyborny! — potwierdził ks. Augustyn — a wino deserowe także dziś było niepospolite. Ale nie o tem chciałem teraz z tobą mówić. Co tu słychać? Jak wam się powodzi? Czy w naszym gnieździe nic się nie zmieniło? Ten miesiąc spędzony poza murami ukochanego Krakowa był dla mnie jedną męczarnią. Bałem się by tu nie nastąpiły jakie zmiany, przewroty.

— Próżna obawa! Maszyna dobrze nakręcona nie popsuje się tak prędko.

— Chwała Bogu! A teraz żebyśmy czasu daremnie nie tracili, pozwolisz, że drzwi pozamykam, bo chciałbym z tobą odbyć naradę doniosłości pierwszorzędnej. Z Paryża przywiozłem całą walizkę ważnych wiadomości.

Gdy gospodarz drzwi zamknąwszy wrócił do swego gościa, ten zapytał:

— Zanim jednak rozpoczniemy tę walną naradę, powiedz mi wpierw jak się bawiłeś w Paryżu?

— Wybornie.

— A gryzетки zawsze ładne i szykowne?

— Z wyjątkiem tych, do których ty się umizgałeś w swojej młodości.

— Nie wątpię... Chociaż wiesz, znałem jedną przy ulicy Bourgogne, która rękę dziś jeszcze musi mieć temperament. A w Mabilu byłeś?

— To tak samo jakbyś mnie zapytał, czy będąc w Rzymie widziałem papieża.

Pan Ksawery rozśmiał się na całe gardło i z zadowoleniem ręce zatarł.

— Teraz słucham cię, Augustciu — rzekł zapalając cygaro.

Ks. Augustyn usiadł nieopodal swego gościa, także zapalił cygaro i przemówił tonem poważnym, prawie uroczystym.

— Znamy się od lat kilku, rozumiemy instynktowo i wzajemnie dopełniamy, ale do tej chwili w bardzo wielu sprawach nie porozumieliliśmy się jeszcze jasno, dobitnie.

— Aha, chcesz powiedzieć, żeśmy dotąd nawet między sobą byli maskowani.

— Niech i tak będzie... Dziś atoli radbym, byśmy z sobą pomówili bez masek, bo sprawa na tem skorzysta. Otóż pozwól, że ci się wypowiadam szczerze, całkiem szczerze.

— Zobaczymy!

— Bez tych wątpliwości. Ja chcę być szczerym, nawet nim być muszę... Spodziewam się, że

nawzajem i ty odpłacisz mi taką samą monetą. Być może że będę mówił trochę dłużej, lecz niech cię to nie niecierpliwi.

Tu ks. Augustyn przerwał, pomyślał chwilę, a potem tak zaczął:

— Im głębiej wezytuję się w dzieje, a zastanawiam nad biegiem cywilizacji, tem mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że do końca świata ludzie muszą z sobą zacięty bój toczyć. Począwszy od tych dwóch braci biblijnych, z których młodszy oszukał starszego, wydzierając mu za miskę soczewicy prawa, przywiązane do pierworodzeństwa, a skończywszy na nas, którzy także nie chcielibyśmy iść w służbę, ludzie zawsze i wszędzie walczyli o władzę. Z tej walki powstała arystokracja fizyczna, która posiadała dobra fizyczne, i władza duchowna, która chce panować przy pomocy wpływów moralnych, działających na wyobraźnię człowieka. Obie te siły są z natury swojej zachowawcze, bo każde ustępstwo z ich przywilejów osłabiało by ich władzę, i obie najczęściej szły ręką w rękę, ponieważ źródło i cel mają wspólne. Widzimy to tak dobrze w Indjach jak u nas w Europie.

— Daruj mój kochany — przerwał pan Ksawery — ale ty mówisz jak darwinista, który broni walki o byt.

— Wiesz co — odparł ks. Augustyn głosem zniżonym — gdyby tak wypadło, z pewnością powiesiłbym tu portret Darwina.

— Wyśmienicie! Przypomina mi to mego Baera, u którego gdy raz w Talmudzie zobaczyłem obrazek święty i zapytałem go co to znaczy, odpowiedział mi najnaiwniej: „Zaszkodzić nie zaszkodzi, a nuż co pomoże.“

Nagły ten zwrot tak rozśmieszył księdza Augustyna, że dość długo trwało zanim znowu zaczął mówić.

— Co do mnie, w walkę o byt wierzę ślepo, a że w niej nie chcę uleść, więc rozum mi nakazuje to wszystko uczynić, co prędzej lub później musi nam zapewnić zwycięstwo. Przedewszystkiem powinniśmy mieć żywo przed oczyma cały obraz niebezpieczeństwa, które nam grozi. Przed Rewolucją, arystokracja i duchowieństwo były siłami równorzędnymi, ale po wielkiej Rewolucji stosunek się zmienił. Arystokracja parta ze wszystkich stron straciła bardzo wiele ze swoich przywilejów, bo najgłówniejsze, gdy natomiast katolicyzm utrzymał się na dawnych podstawach. Co więcej, rozumiejąc, że każde ustępstwo z jego strony byłoby dlań zabójczem, wzmocnił się nowymi przepisami, jak Encyklika i Syllabus, a jeżeli Sobor przyjdzie rychło do skutku, czego się spodziewam, wzmocni

się jeszcze potężnym dogmatem, którym będzie Nieomyślność papieska. Arystokracja jest dziś zatem słabszą, a więc jako taka musi bezwarunkowo oprzeć się o katolicyzm i w nim szukać uzupełnienia sił utraconych... Jeżeli dawniej duchowieństwo słuchało nie raz arystokracji, dziś arystokracja musi bezwarunkowo słuchać duchowieństwa. Nie książęta, którzy kokietują z demagogją będą teraz naszymi przewodzcami, ale biskupi, którzy wytrwale bronią praw więźnia z Watykanu. Trzymając się tej zasady, musimy sobie nareszcie powiedzieć, że oba nasze obozy jako ciała odrębne istnieć przestają, i że odtąd utworzymy tylko jeden obóz — ultramontański, który jest powszechnym, kosmopolitycznym, jak kosmopolityczną jest idea pragnienia władzy, która go do życia powołała.

— Przypuśćmy że masz rację — przerwał znowu pan Ksawery — ale do czego to zmierza?

— Jeszcze raz ci powtarzam, — odparł ksiądz z naciskiem, — że oba nasze obozy muszą w czasach terażniejszych działać zgodnie niż kiedykolwiek, i że inicjatywa w działaniu musi pozostać w naszych rękach, nie w rękach arystokracji, bo myśmy lepiej naszych przywilejów bronili — myśmy konserwatywniejsi, myśmy nareszcie silniejsi!

Rzekłszy to, ks. Augustyn powstał i zaczął

się szybko przechadzać; gość jego tymczasem siedział nieruchomy, wpatrując się obojętnie w ciemny kąt pokoju.

— Przyjechawszy przed rokiem do Galicji— mówił dalej gospodarz — przekonałem się ku największemu memu zdziwieniu, że z położenia obu naszych obozów nikt sobie sprawy nie zdawał. Arystokracja żyła z dnia na dzień, nawet nie myśląc co się z nią stanie jeżeli dłużej tak potrwa, a duchowieństwo pozwalało liberałom roztrząsać wszystkie te pytania drażliwe, z których każde przeciw nam się obraca. Postrzegłszy to, rzuciłem kilka piorunów z kazalnicy, a chociaż w pierwszej chwili — ze wszystkich stron pytano: gdzie są ci nieprzyjaciele wiary, przeciw którym on występuje, mimo to po kilku już moich wystąpieniach, arystokracja zaczęła się do mnie garnąć przeczuwając, że obrona konserwatyzmu katolickiego wyjdzie na korzyść jej konserwatyzmu. Ale dotychczasowe moje działanie było dorywcze — teraz trzeba ułożyć plan dalszego postępowania. Przedewszystkiem musimy przyciągnąć do siebie całą arystokrację i związać ją takimi stowarzyszeniami jak św. Wincentego a Paolo, Dam Dobroczynności itp. Gdy to nastąpi, opanujemy uniwersytet i szkoły pokazując na ponętę: protekcję; literatów z duszą serwiliścyczną przyciągniemy pieczęcią; potem przez za-

krystję zaczniemy działać na kobiety mieszczańskie, a na ich mężów przez banki, które są już w naszych rękach, a w których oni potrzebują się ciągle zapożyczać; nakoniec w twoim dzienniku i innych, które założymy, będziemy wołali na głos cały: że wiara zagrożona!

— A czy wolno wiedzieć, jaki cel tym ostatnim środkiem osiągniemy?—zapytał pan Ksawery, głowę podnosząc.

— Cel bardzo ważny. Oto najpierw w braku programu politycznego, którego arystokracja już nie ma, wywiesimy nasz program, nasz sztandar, broniący tak dobrze jej jak naszych interesów, sztandar który jest głową stronnictwa,—a następnie oburzymy tem liberałów, którzy gdy na nas rzucą się z właściwą sobie namiętnością, nieogłędnem tem wystąpieniem wpędzą do naszego obozu resztę konserwatystów, którzyby się może jeszcze chwiali. Ręczę ci, mój drogi, że do dziesięciu a najdalej piętnastu lat Galicja będzie miała ściśle oddzielone dwa obozy: ultramontański i liberalny, których dotąd nie było.

— I sądzisz, że to wyjdzie na jej korzyść?

— A co mnie jej korzyść obchodzi! Nam idzie o władzę, która nas nie minie gdy będziemy silni rozumną organizacją.

— Cóż byś jednak na to powiedział, gdyby

polityka twoja wręcz przeciwny wywołała skutek, mianowicie gdyby powiększyła zastęp postępowy i zrobiła go panem sytuacji.

— Chyba drwisz Ksawery! Iluż to w Galicji jest postępowych? Kilku, kilkudziesięciu, kilkuset najwięcej! W kraju gdzie nie ma handlu i przemysłu, nie ma zdrowego stanu średniego, a gdzie tego stanu nie ma, tam nie ma liberałów. Tu każdy szlachcic jest z natury na pół konserwatystą, bo ma fizyczną posiadłość, to też prędzej lub później na wszystkich możemy liczyć; intelligencja zaś jest w jednej połowie tak zawisłą od magnaterji i jej protekcji, a w drugiej połowie tak biedną, że nie ośmieli się stawić nam czoła. Pozostanie zatem najwięcej kilkuset, z którymi damy sobie radę. Jeżeli z nich który zacznie nadto głośno krzyżeć, zniszczymy go materjalnie; gdy to nie pomoże, zabijemy go moralnie. Jak panowie wspólnie z duchowieństwem zawołają, że ten lub ów jest człowiekiem złym i szkodliwym, to chociaż by był najuczciwszym, ogół potępi go nie pytając o dowody, bo choćbyś tłum złożył z samych filozofów, pozostanie on zawsze głupim i ślepo w to wierzącym, co mówią ludzie z nazwiskiem, majątkiem i pozycją socjalną. W dodatku nie zapominajmy i o tem, że postępowcy nie są u nas zdolni do żadnej organizacji... ambicyjki grają

u nich główną rolę. Niech tylko który między nimi zechce się podnieść, sami go strąć i w błoto rzucać. Z tej więc strony nie grozi nam niebezpieczeństwo. Teraz mój Ksawery przyszedłem do rzeczy najważniejszej. Po zeszłorocznej wojnie między Austrią a Prusami, starcie między Francją a Prusami stało się nieuniknionem. W Paryżu mówią o tem jak o rzeczy, która może jeszcze w tym roku nastąpi. Z tego com się dowiedział w kołach dobrze obznajomionych z położeniem, śmiało mogę wnioskować, że na przypadek takiej wojny Francja ulegnie. Napoleonizm już się przeżył, cała jego siła polega na bladzie; Prusy natomiast są uorganizowane świetnie. Jeżeli więc Francja padnie, prędzej lub później przyjdzie kolej na Austrię.

— I ja to przeczuwam — zauważył pan Ksawery.

— Bardzo mnie cieszy że się zgadzamy. Jeżeli w takim razie Rossja dobrowolnie lub przemocą zabierze Galicję, co my wtedy pocniemy w Rossji szyzmatyckiej?

— Nie wiem.

— Właśnie to najgorsze, że do tej chwili nie wiemy co się wtedy z nami stanie. Mojem zdaniem powinniśmy już dziś tak postępować,

abyśmy na przypadek takiej zmiany mogli śmiało liczyć na opiekę Rossji.

— Intrygujesz mnie, Augustciu! Mów, mów, bo ja chciałem o tem myśleć dopiero gdy to nastąpi.

— Zły ten gospodarz, który nie zabezpiecza domu i zasiewów, i czeka aż ogień budynki pochłonie a grad plony wymłóci. Bojąc się by nas wypadki nie zaskoczyły, postanowiłem nadać naszemu obozowi taki kierunek, któryby nas z Rossją już teraz przejednał, a tem samem zabezpieczył nam przyszłość. *Modus vivendi* jest z nią konieczny.

— Może i ja się w tem z tobą zgadzam — rzekł pan Ksawery — ale co dalej, co dalej?

— Słuchaj Ksawery. Arystokracja jest konserwatywną a katolicyzm jest także konserwatywnym. Jako konserwatyści możemy więc śmiało potępić każdą rewolucję, wymierzoną na obalenie istniejącego porządku. Wyszedszy z tego założenia, potępiimy ruch z r. 1863, a opierając się o teologję powiemy, że car jest prawowitym monarchą i Polacy służyć go powinni, bo każda władza pochodzi od Boga. Cóż ty na to?

— Plan zuchwały, nie przeczę że może nawet praktyczny, ale...

— Chciałeś zapewne powiedzieć, że nie bardzo

jasny... mój drogi, odkąd to sumienie zaczęło się w tobie rewoltować? Wszak ty konserwatysta, zerwij więc i z tą rewolucją nakazując sumieniu milczenie. Te *serments de coeur patriotiques* jak Rouher niedawno powiedział, nie są już w modzie. Jeżeli możesz, kochaj tę lubą ojczyznę, w której deszcz, wiatr, śnieg i błoto są jedynymi przyjemnościami, ja do takiego heroizmu nie jestem zdolny... Co do mnie, *que mon nom soit flétri, mais que ma position soit sauvée!*

— Czy jednak kraj nie zajrzy nam pod maskę? — zapytał pan Ksawery.

— Bądź spokojnym! za skutki sam odpowiadam... lecz żeby plan powiódł się zupełnie, potrzeba, by nici działania pozostały w niewielu rękach. Wtajemniczymy zaledwie dwóch lub trzech, ludzi z głową i bez skrupułów dziecinnych, którym ślepo możemy zaufać, a resztę z naszego obozu tak popchniemy, że ani się postrzegą, kiedy się ujrzą na drodze, na którą ich zręcznie wprowadzimy. Ci drudzy będą ludźmi dobrej wiary... Przedewszystkiem musimy zachować tajemnicę przed hrabią Alfredem. To człowiek zbyt miękki, tkliwy, niezdolny do działania energicznego, ale że ma piękne nazwisko, majątek i dobre pióro, i jest zago-rzałym konserwatystą, więc powtarzając mu od rana do wieczora, że tylko konserwatyzm religijno-

polityczny może Polskę zbawić, doprowadzimy go do tego, że pierwszy potępi ostatnie powstanie.

The rest is silens.

— Wiesz co, świetna myśl, świetna! Najzagorzalszy nawet demokrat nie ośmieli się zarzucić Alfredowi że nie działa z przekonania.

— Niewymownie mnie cieszy, żeśmy się porozumieli w punkcie najdrażliwszym. Ja będę rzucał pioruny z ambony i w mowach pogrzebowych, ty od czasu do czasu puścisz artykulik w dzienniku, Alfred będzie w tym samym duchu pisywał broszury i do roku pogodzimy się z Rossją. Jeżeli później tu przyjdzie, zostaniemy na naszych stanowiskach.

— A jeżeli nie przyjdzie? Jeżeli Austrja ją pokona, bo i to możliwe?

Ks. Augustyn wpatrzył się w pytającego.

— Byłby to cud... ale jeżeli coś podobnego nastąpi, to... to... zostaniemy polskimi patryotami!

Pan Ksawery przeszedł się kilka razy po pokoju w głębokim milczeniu, a potem stanął i rzekł:

— Odkąd cię znam, pierwszy dopiero raz byłś ze mną tak szczerym... pozwól więc, że i ja będę takim samym. Wychowawszy się od dziecka w sferze, w której teraz żyję, przesiąknęłam jej zasadami, chociaż muszę wyznać, że rozum mój, a jeszcze więcej serce, przeciw nim często się bun-

towały. Party siłą nawyknięcia, stosunków i pozycji materialnej, będę i nadal szedł z wami ręką w rękę, tem pewniej, żem już za stary, bym mógł rozpocząć nową karierę, ale mimo to rozum nakazuje mi powiedzieć ci teraz, że na ciebie Gallieji z naszego obozu formuje się wrzód zaskórny, który jeżeli przez odważnego lekarza nie zostanie w czas rozcięty, roztoczy cały organizm.

— *Après nous le déluge!* my myślny o sobie, a kraj jeżeli potrafi, niech myśli za siebie — zawołał ks. Augustyn rzucając niedopałek cygara.

Rozmowa między dwoma przyjaciółmi toczyła się jeszcze przeszło godzinę. Plan dalszego działania układali w najdrobniejszych szczegółach, wymieniając najrozmaitsze nazwiska mężczyzn i kobiet.

— A hrabina Laura jest w Krakowie? — zapytał od niechcenia ks. Augustyn, jak gdyby ta osoba dopiero teraz na myśl mu przyszła.

— Nie wiem, ale jeżeli nie wróciła jeszcze ze wsi, pewnie jutro przyjedzie, bo przecie ty przyjechałeś.

Gospodarz uznał za stosowne uśmiechnąć się obojętnie.

— Jesteś zbyt złośliwym, mój Ksawerciu... Dla tego tylko o nią pytałem, że z Paryża przy-

wiozłem jej mnóstwo drobiazgów, o które mnie prosiła.

— Nie wątpię...

Na tem skończyła się konferencja.

Przez cały dzień następny, w pokojach mego pana roiło się od rozmaitych figur młodych i starych, męskich i żeńskich, pięknych i brzydkich. Wypytywano go o wrażenia podróży, o wiadomości polityczne, o osoby powszechnie znane, o zdrowie, o najbliższe kazania; proszono o rady i składano pieniądze to na msze, to dla wstydliwych ubogich, których tylko ks. Augustyn znał osobiście, to wreszcie dla różnych towarzystw dobroczynnych i dla Ojca św. Ks. Augustyn odpowiadał, pieniądze przyjmował, nie skąpił rad i słów pociechy — a mówił przytem tak słodko, uśmiechał się tak czule, że każdy wychodził olśniony.

Wierny programowi, który rozwinął przed starym przyjacielem, zwracał uwagę swoich wielbicieli na niebezpieczeństwo, jakie zagraża św. wierze ze strony ludzi wolnomyślnych, — i gorąco wszystkich zaklinał, by skupiali się dokoła sztandaru, który on w niepokalanej swojej dzierżył dłoni.

Słuchacze wierząc przyrzekali wytrwać na drodze obranej.

Nad wieczorem mój pan ubrał się jeszcze wytworniej jak dnia poprzedniego, a kazawszy Ja-

centemu nieść za sobą duże pudło, włożył mnie do sakiewki jedwabnej i wyszedł z domu, zmierzając ku pałacowi hrabiny Laury.

Hrabina Laura jest wdówką trzydziestosześcioletnią, osobą bardzo dystyngowaną, zamożną, wcale jeszcze przystojną i matką dwóch córek, ślicznych podlotków, co jej jednak nie przeszkadza lubieć wesołe towarzystwa, taniec, stroje i konną jazdę.

Zaledwie lokaj wygalonowany otworzył drzwi od salonu, dały się słyszeć metalicznego dźwięku dwa głosiki dziewczęce:

— Mamo! nasz księżunio! nasz księżunio!

Mama za krzyk, który ją przeraził, łagodnie córki strofując, spieszyła na powitanie wchodzącego. Jej oko było jaśniejące — nsta wesołym uśmiechem do pół rozwarte.

— Ślicznie! już od godziny jestem w mieście, a ksiądz nie raczyłeś do mnie wstąpić... Z największym niepokojem oczekiwałam na moje sprawunki. Wyklóćimy się księżunio!

Mówiąc to groziła gościowi okrągłym paluszkiem.

— Najmocniej panią hrabinę przepraszam — odrzekł gość, całując rękę pięknej gospodyni i równocześnie w oczy jej patrząc — ale do mnie

tak ztąd daleko, że mimo najszczerzej chęci nie mogłem prędzej zdążyć.

— Ach! mój Boże, pan przyszedłeś pieszo? Nowy powód do gniewu... Czemu nam pan znać nie dałeś, byłabym karetę przysłała.

— Byłoby to z mojej strony nadużywaniem grzeczności...

Na ten temat mówili jeszcze chwil kilka, a gdy ks. Augustyn przywitał się z panienkami, piękna hrabina skierowała rozmowę na Paryż.

Ks. Augustyn miał dobrą swadę, mówił więc potoczyście, malowniczo, czasem nawet porywająco, unosząc się nad Francją, nad jej dobrobytem, elegancją i cywilizacją.

— A cesarzową Eugenję widział księżunio?
— zapytała gospodyni. — Czy zawsze taka piękna?

— Widziałem ją kilka razy w lasku Bulońskim i w Notre-Dame, bo cesarzowa jest bardzo nabożną. Co zaś do jej powierzchowności, to muszę przyznać, że w ostatnich latach zrobiła się jeszcze piękniejszą.

— A ile może mieć lat teraz?

— Jest w epoce najpiękniejszej... *Une femme de Balzac*... Trzydzieści pięć... sześć najwięcej. W tych latach piękność staje się pełną.

Hrabina spojrzała w zwierciadło wiszące na

ścianie przeciwległej i uśmiechnęła się figlarnie jak dziewczę szesnastoletnie.

— Co mnie w niej najbardziej uderzyło — ciągnął ks. Augustyn — to włosy.

— A jakiegoż koloru są te włosy?

— Koloru złota, najczystsze złota.

— I takie włosy ksiądz nazywasz pięknymi?

Hrabina była szatyną.

— Żeby były piękne, tego nie powiedziałem... w każdym jednak razie są szczególne.

Piękna gospodyni zmieniając temat zapytała:

— A moje sprawunki?

— Są, są, zaraz je każę przynieść.

— Niech się ksiądz nie trudzi, bardzo proszę — odparła hrabina, przytrzymując gościa jedną ręką, a drugą uderzając o główkę dzwonka stojącego na stole — od czegoż trzymam tyle ludzi?

Gdy wszedł kamerdyner, ks. Augustyn kazał mu przynieść pudło zostawione w przedpokoju przez Jacentego.

Rozciekawione córeczki pani Laury, zbliżyły się do stołu, aby się przypatrzeć pięknym rzeczom przywiezionym z Paryża, ale ku wielkiemu swemu zmartwieniu musiały się oddalić, ponieważ mama nagle sobie przypomniała, że guwernantka jest cierpiącą, wypada zatem, by panienki poszły ją teraz odwiedzić i chwilę u niej zabawiły.

Dziewczątka odeszły rozkapryszone — w salonie została tylko pani domu ze swoim gościem.

Ks. Augustyn musiał znać słabości kobiet, bo przywiózł nie tylko te rzeczy, o które go hrabina prosiła, lecz jeszcze wiele innych, godnych zająć uwagę damy wielkiego świata.

Były tam kwiaty przedziwnej roboty, którym nawet woni nie brakło; mały kapelusik z kości słoniowej *à jour*, poszukiwany wówczas przez elegantki paryskie; tuzin chusteczek z koronkowemi szlakami; dwa pudełka [prawdziwego balsamu wschodniego, kupione u dostawcy cesarzowej Eugenji; kilka flakonów perfumerji i wiele, wiele innych drobiazgów.

— A to co? — zapytała hrabina, wyjmując ostatni pakiecik.

— To rękawiczki. Wstąpiwszy do Juwała przypomniałem sobie, że pani hrabina nie raz uskarżałaś się na brak dobrych rękawiczek w Krakowie, to też na próbę wziąłem cztery tuziny.

— Pan jesteś zachwycający! — zawołała pani Laura — boję się tylko czy będą dobre.

— Jestem pewny że będą leżały jak ulane.

— Zaraz się przekonamy.

Rzekłszy to, hrabina rozerwała pakiecik, a wzięwszy jedną rękawiczkę, usiłowała włożyć ją na lewą rękę. Nie szło jej to jednak dość po-

spiesznie, bo rękawiczka była mała; co widząc ksiądz ujął ją za rękę poniżej pulsę i delikatnymi swymi palcami zaczął pomagać. Hrabina opuściła prawą rękę, i to śmiejąc się, to mu szeptać jakieś słowa, których nie mogłem dosłyszeć, pozwoliła kanzodziei spełniać rolę rękawicznika, z której on wywiązał się bardzo zręcznie, choć może nie dość prędko...

Przy herbacie było bardzo wesoło. Nawet panienki miały minki swobodniejsze, bo chociaż nie widziały wszystkich rzeczy, które mama kazała sobie kupić w Paryżu — za to każda z nich otrzymała francuską książeczkę do modlenia, na papierze welinowym, ze ślicznymi obrazkami i w oprawie z kości słoniowej.

Późno już było, gdy ksiądz Augustyn pożegnawszy się z gospodynią, która przypominała, że nazajutrz rano ma jej przysłać rachunek — i z obiema panienkami, które przyrzekały, że przypomną mamie by w południe była na kazaniu — wychodził z salonu hrabiny Laury.

Wypadek chciał, że w sieni nad schodami przeszła mu drogę panna Karolina, garderobiana hrabiny. Ze świecą w jednej ręce, a suknią w drugiej, zmierzała ku lewemu skrzydłu pałacu.

— A, panna Karolcia! — zagadał ks. Augustyn — dokąd to tak spieszno?

— Odnoszę suknię pani hrabiny do garderoby — odpowiedziała dziewczyna, całując kaznodzieję w białą rękę.

— Pięknie, że panna tak pracowita — rzekł gładząc ją pod brodę i po rumianych a okrągłych policzkach. — Lecz pracując czy panna Karolcia nie zapomina przypadkiem o swoich obowiązkach religijnych? Jak tam spowiedź?

— Ach, proszę księdza dobrodzieja, już miesiąc jakem się nie spowiadała. Ciągłe brak czasu.

— To źle... bardzo źle moje dziecko... trzeba się poprawić. Jutro, przed dziewiątą, zanim pani hrabina się zbudzi, proszę przyjść do mnie do spowiedzi, bo o duszę powinniśmy moje dziecko dbać przedewszystkiem, a to... to glina, glina... proch!

Przy tych słowach dotykał się ręką jej twarzy i ramion, aby się dowiedziała, co u człowieka jest właściwie glina.

— Niech panna Karolcia nie zapomni — dodał wyjmując mnie z sakiewki, — a to proszę na szpilki.

Zarumieniona dziewczyna ucałowała księdza w rękę i dumając stała nad schodami. Tymczasem trzask bramy oznajmił, że ksiądz Augustyn był już na ulicy.

— Dał mi dukata — rzekła, podnosząc mnie do płomienia świecy — a za co?

Ks. Augustyna, który był weicieniem ultramontanizmu przywiezionego z Rzymu do Polski, nie widziałem więcej. Za to czytałem kilka jego mów i takie dzieła jak *Teka Stańczyka*, *Królowa Opinia*, *Filozofja dziejów Polski*, *Dramat bez nazwy*, *Irlandja i Polska* — i wiele, wiele innych...

The rest is silence.

III.

ŁICHWA ŻYDOWSKA.

Panna Karolcia pocziwą była dziewczyną. Przyszedłszy do swego pokoiku i oglądnowszy mnie raz jeszcze na wszystkie strony, nie powiedziała że sobie co kupi za dukata, lub że go schowa, ale że mnie zaniesie swemu Jasiowi, by w niedzielę miał się za co zabawić.

Jaki to Jasio? Czy jej brat, czy narzeczony?

Takie zadając sobie pytania, spoczywałem pod poduszką w węzełku białej chustki, a tymczasem noc minęła i dzień się zrobił.

Na dworze była jesień wietrzna i dżdżysta. Cały widnokrąg zasnuty ołowianemi chmurami zapowiadał zbliżającą się zimę. Światło wpadające przez okno od podwórza, nie rozweselało pokoiku mojej pani, — ale za to rozweselał go ład tu panujący i pewien wdzięk dziewiczy, który wiał ze wszystkich stron, od każdego przedmiotu. Chociaż

panna Karolcia nie urodziła się w domu rodziców zamożnych, miała wrodzone poczucie piękna, które dojrzysz czasem pod strzechą ubogiego szlachcica, a nie znajdziesz w komnatach pana miljonowego.

Opowiedziawszy się gdzie należało, Karolcia wyszła ze mną z pałacu. Sukienkę miała ciemną wełnianą, i skromny kapelusik, w którym jednak było jej do twarzy. Młodzi ludzie mijając ją na ulicy przystawali i po kilkakroć doleciały mnie ich uwagi:

— Popatrz jaki buziak! A jaki szyk!.. Pewnie idzie do kościoła... Chodźmy za nią.

Dziewczę biegło szybciej, zasłaniając się parasolem od spojrzeń natrętnych, a dandasi to z jednej to drugiej strony zaglądali jej pod kapelusz.

Minąwszy kilka ulic, zatrzymała się przed sklepem, za którego szklanemi drzwiami stał młody człowiek. Postrzegłszy piękną Karolcię uśmiechnął się dając znak ręką, by weszła do sieni. Podczas gdy ona cofnęła się o kilka kroków, aby spełnić jego życzenie, on przez drugie drzwi wszedł także do sieni.

— Gdzież tak prędko moja Karolciu? — zapytał.

— Biegnę do kościoła i muszę wrócić zanim pani hrabina wstanie. Nie mam czasu mój Jasiu, ale mam za to coś ładnego dla ciebie. Weź..

weź... tylko sprawuj się dobrze i nie patrz za innymi.

Rzekłszy to wsunęła mnie w rękę młodemu człowiekowi, i nie czekając co on odpowie, wybiegła z sieni.

Oburzenie moje było bez granic. Wyobraźcie sobie mnie, dukata holenderskiego, z dziada pradziada arystokratę krwi najczystszej, magnata, o którego względy stara się świat cały — wyobraźcie sobie mnie, w rękach czyich? Chłopca od fryzjera! Ach! równej zniewagi nie spodziewałem się dożyć. I gdyby to był przynajmniej jaki chłopiec przystojny, zgrabny, dowcipny — pół biedy jeszcze! Ale cóż powiecie usłyszawszy, że był to drągał najpospolitszy w świecie, który prócz rumianych policzków i wąsów sztywnych jak dwa druty, nie miał w sobie nic coby za nim przemawiało. Gniewałem się więc i za siebie, że przeszedłem w takie ręce, i za piękną Karolcię, że znalazła sobie taki przedmiot miłości. Ale prawda, kobiety są tajemnicze i nikt nie odgadnie co im się podoba...

Szczęście moje, że u nowego właściciela nie zabawiłem długo. Tego samego dnia wieczorem, pan Jan wystroiwszy się na ostatni guzik, poszedł do kawiarni, na partyjkę bilardu, albowiem każdej niedzieli zwykł był używać tej przyjemności, uroz-

maicanej gęstemi kufelkami piwa, i wymienił mnie na banknoty austriackie, z których pewnie do domu ani jednego nie przyniósł. Zamiany dokonał garson, który tak nieostrożnie schował mnie do kieszeni, że gdy w kilka minut później właściciel kawiarni wysłał go za jakimś sprawunkiem do domu stojącego na przeciwległej stronie ulicy, on w drodze chustkę wyjmując, wyciągnął mnie z nią razem, z czego ja skorzystawszy, zręcznie wyskoczyłem, aby upaść bez dźwięku na błoto nieopodal trotoaru.

Byłem więc teraz sam, nie należąc do nikogo.

Deszcz lał strumieniami, zimno było dokuźliwe. Od czasu do czasu przemknęła dorożka spiesząca na kolej; czasem przebiegł także jaki człowiek, który z obawy przed deszczem trzymał się blisko murów. Na ulicy było dość ciemno, bo ledwie na drogach przeciwległych świeciły się dwie latarnie. Już od godziny spoczywałem na jednym miejscu, zapadając wskutek własnego ciężaru i uderzeń deszczu coraz głębiej w miękkie posłanie, gdy o krok zatrzymali się dwaj młodzi ludzie wytwornie ubrani i zasłonięci jedwabnymi parasolami.

— Widzisz coś się świeci — rzekł jeden.

— Rzeczywiście — odparł drugi — ale niech się świeci.

— Poczekaj, podejmę, może to dukat.

— Dukat? Alboż dukata można zgubić? Lecz gdyby to nawet był dukat, czyż wypada schylać się i z błota go podnosić?

Perswazja fanfaroną trafiła do przekonania jego towarzyszowi, bo poszedł dalej nic więcej nie powiedziawszy.

Jakiś czas było całkiem cicho, bo o dziewiątej wieczór Kraków wyludnia się jak każde małe miasto, i już myślałem, że na wietrze i słońcu doczekam dnia białego, gdy na przeciwległym rogu ulicy dały się słyszeć przyspieszone kroki biegnącego mężczyzny. Nadchodzący nie mając parasola, wielką chustką kraciastą nakrył sobie kapelusz, by go choć trochę od deszczu zabezpieczyć, a pod pachą niósł zawiniątko w czarnej ceracie. Gdy się zrównał z oświetlonymi drzwiami kawiarni, w której pan Jan grał jeszcze w bilard i piwo popijał, stanął, spojrzął na światło i rzekł do siebie:

— Możeby się napić gorącej herbaty i zjeść kawałek chleba... Od południa nie w ustach nie miałem... dziś tak zimno!... Przemokłem prawie do koszuli, a mam jeszcze całą noc drogi przed sobą.

Z kawiarni dolatywały głośne śmiechy. Już ręką dotknął się klamki, ale odstąpił nową tkniętą myślą.

— Nie — rzekł po krótkim wahaniu — nie

pójdę. Całego majątku mam tylko jedenaście guldenów... Po zapłaceniu kolei nie wiele zostanie, a w domu żona, dzieci... Pierwszy dopiero pojutrze... nie! dam pokój.

To powiedziawszy obrócił się i spojrzął przed siebie.

Deszcz, który dotąd lał strumieniami, ustał właśnie na chwilę, dzięki czemu ja opłukany i odświeżony mogłem teraz błysnąć, przeglądając się w oświetlonych oknach kawiarni. Biedny człowiek stał ciągle na jednym miejscu, a potem rzucił się ruchem gwałtownym i z ziemi mnie podniósł.

— Dukat, mój Boże, dukat! — zawołał patrząc na mnie i na ręce ważąc. — Jak żyję nie miałem jeszcze dukata.. To cud prawdziwy! Gdybym był wstąpił do kawiarni, byłbym go pewnie nie znalazł.

Radość jego była tak wielka, że mi się biedaka aż żal zrobiło. Nawet łza błysła mu w oku. Tam w niemieckim domu gry, gdzie pierwszy raz ludzi bliżej poznałem, zabierali nas stosami i setkami przegrywali — a ten ucieszył się jednym dukatem, jakby go największe szczęście spotkało. Ale prawda, wymagania rosną w stosunku do przyzwyczajenia...

— Nie wydam go, nie wydam! — mówił ukrywając mnie troskliwie — chyba w ostateczności.

Ja wiem, że on mi szczęście przyniesie. Pierwsza to rzecz, którą w życiu znalazłem.

Na wieży ratuszowej wybiła w tej chwili godzina dziewiąta. Nowy mój właściciel policzywszy uderzenia, puścił się cwałem ku kolei. Radość sił mu dodawała, serce biło gwałtownie. Jakże chciałem, by się na mnie nie zawiódł, jak szczerze pragnąłem przynieść mu z sobą lepszą dolę!

Przybiegłszy na dworzec, kupił sobie bilet trzeciej klasy, i nie oddając żadnych pakunków, bo cały majątek miał przy sobie, wszedł do wagonu. Tu zastał dwóch podróżnych. Jeden w wytartym futrze i czapce na oczy zaciśniętej, siedział w rogu w postawie jakby drzymał; drugi w ubraniu do kostek spadającym, mruzczał coś pod nosem ciekawie przez okno wyzierając. Od tego drugiego doleciała mnie woń, podobna do owej, którą wyszczególniali się pierwszy mój znajomy w kieszeni pana Ludwika D'Etienne i pan Baer przyjaciel pana Ksawerego.

Gdy po trzykroć zadzwoniono i pociąg wyruszył ze stacji, mężczyzna w długim ubraniu odwrócił głowę od okna i spojrzął na nowego towarzysza podróży. Pan Stanisław Żerbek, tak się nazywał mój właściciel terazniejszy, siedział w środku pod lampą, która mimo że okopcona, na

tyle jednak światła rozlewała, że można było rozróżnić wszystkie twarze.

— A, pan Zerbek! Jak się pan ma? — przemówił żyd, bo żyd to był najprawdziwszy, przysuwając się do mego właściciela.

— To pan, panie Goldstock — odparł zapytany i drgnął nerwowo.

— Pewnie że ja... A pan z kąd jedzie, z daleka?

— Z Wiednia.

— Z Wiednia? — powtórzył żyd głosem, w którym przebijał odcień zdziwienia, jakkolwiek widocznem było, że się z niem nie chciał zdradzić.

— Z Wiednia... wracam do domu.

— A ja z Warszawy... Byłem na weselu mojego syna, który tam się ożenił z kuzynką bankiera. Strach jaka pani! Taka edukowana, a taka bogata! Ciu, ciu, ciu! — Mówiąc to przedziwnie emokał ustami i językiem. — Pan mówi, że pan wraca z Wiednia? — ciągnął żyd dalej każde słowo przeciągając. — Pan miał tam pewnie ważne interesa. Ze Lwowa kolej tyle kosztuje, a teraz takie zimno... Pan miał interesa?

— Miałem.. jeździłem do ministra.

Po ostatniem słowie, jegomość w futrze wysunął głowę z kołnierza i ze zdziwieniem spojrział na mówiącego.

— *Minister... Sie haben Seine Exzellenz gesehen?* — zapytał po niemiecku.

— Pewnie że widziałem — odparł pan Żerbek.

— *Und Sie haben auch Seine Exzellenz gesprochen?*

— Rzecz naturalna, przecie po to do niego jeździłem. Człowiek jak każdy inny.

— *Mein Herr! Exzellenz ist immer Exzellenz!*
— zawołał prawie gniewnie właściciel futra wytartego, czapkę głębiej nacisnął i utonął w kołnierzu.

Pan Żerbek uśmiechnął się z politowaniem, Goldstock zaś przysunął się doń jeszcze bliżej, mówiąc głosem zniżonym:

— To jakiś stary biurokrata... jemu zdaje się, że minister to sam Bóg, a pan tymczasem z nim rozmawiał jak z każdym innym. Prawda? Ja zawsze mówił, że pana jeszcze powołają do ministerjum... Pan taki porządny urzędnik, a taką ma głowę! Ciu, ciu, ciu! A co on panu powiedział ten minister?

— Ach! panie Goldstock, mnie nie powołują do Wiednia, ja zostaję we Lwowie — odrzekł zapytany, drżąc na całym ciele, bo go mokra odzież ziębiła.

— Panu zimno, proszę, niech się pan nakryje moim szalem, zdrowie to pierwsza rzecz. Jak

będzie zdrowie, będą i pieniądze. Proszę, niech pan weźmie, a we Lwowie to mi pan odda.

Lubo niechętnie, pan Żerbek wziął szal czerwony, który mu żyd podał, i zarzucił go przez plecy. Wiele ten czyni, kto musi!

— Tak będzie lepiej, zaraz się panu ciepło zrobi — zaczął żyd po krótkiej przerwie. — Wiedeń to piękne miasto, bardzo piękne!... Szkoda że się pan tam nie przeniesie. Więc pan zostaje we Lwowie? Ale pan będzie awansował...

— Udawałem się do ministra z prośbą, żeby o mnie nie zapominali. Służę lat dwadzieścia, robię za dziesięciu, bo wszyscy w biurze na mnie robotę zwalają, ale że przełożony mnie nie lubi, bo kłaniać się nie umiem, więc od dziesięciu lat stoję na ośmiuset guldenach, z których nie sposób wyżyć. Mam dwóch synów, których przecie muszę kształcić, trzy córki i żonę od kilku lat chorą. Z taką pensją w moich warunkach, trzeba albo z głodu umrzeć, albo zostać łotrem jak inni i oszukiwać.

— Uchowaj Boże! — zawołał żyd z przestraszeniem — kto każe oszukiwać! Ja zawsze mówię, że pan Żerbek to człowiek honorowy na cały Lwów. Na co oszukiwać! Kiedy pan był u ministra to już wszystko będzie dobrze. A ile pan teraz będzie miał... tysiąc dwieście?

— Tego nie wiem. Wprawdzie minister przyrzekł pamiętać o mnie, lecz Bóg wie czy nie zapomni.

— Nie, nie zapomni, czemu by miał zapomnieć.. Pan taki porządny! A prawda, że panu teraz cieplej?... Przed wyjazdem do Warszawy widziałem pannę Marynię... ciu, ciu, ciu, jaka śliczna! Jeszcze rok a pójdzie za jakiego hrabiego. Władzio także bardzo ładny i mądry panicz, a jaki delikatny! Mój syn najmłodszy siedzi z nim w jednej ławce, to się go nachwalić nie może. On jeszcze będzie ministrem.

Słuchający machnął ręką niecierpliwie.

— Czemu nie? Co tak wielkiego! Dziś adwokat, jutro minister... teraz inaczej jak dawniej. Kto ma takie dzieci, ten ma więcej jak majątek. Mnie bardzo cieszy że pan będzie miał więcej...

— Dałby Bóg, żeby jak najprędzej, bobym przynajmniej nie potrzebował długów robić.

— Prawda... Ale pan pamięta że pojutrze termin?

— Pamiętam, panie Goldstock, pamiętam, i ten dług właśnie zmusił mnie do wyjazdu.

— To bardzo ładnie że pan pamięta. A może by pan dziś zapłacił, to pojutrze nie potrzebowałbym przychodzić.

— Zlituj się panie Goldstock, przecie wiesz że pojutrze pierwszego, a któryż urzędnik ma pieniądze przed pierwszym? Jak odbiorę pensję, dam ile będę mógł.

— To pan wszystkiego nie zapłaci? U mnie już nie wiele, sto pięćdziesiąt reńskich... jam myślał że pan teraz wszystko zapłaci. Ja tak potrzebuję.

— Chybabym musiał znaleźć, albo kogo zrabować. Miesięcznie biorę sześćdziesiąt sześć guldenów, więc jakim cudem zapłacę na raz sto pięćdziesiąt? Ale nie bój się panie Goldstock. Chocoby nie dostał większej pensji, za miesiąc dostanę zaliczkę, bo dawniejszą już umorzyłem, a wtedy panu wszystko oddam.

Żyd chwilę podumał, głową kiwając.

— Ja tak rachował dwa a dwa cztery, że tego pierwszego wszystko odbiorę. Ja miałem takie wydatki! Ale kiedy mnie pan tak zgryzł, to może choć dostanę co na procent.

— Miej-że miłosierdzie! Widzisz pan że jestem w drodze, a w domu czeka mnie rodzina, której odjeżdżając nie wiele zostawiłem.

— Niech się pan nie obraża, panie Żerbek. Przecie pan wie że ja jestem pański przyjaciel. A jak pan potrzebował pieniędzy, czy Goldstock nie

dał zaraz? Ja pana nie męczę, ja jestem delikatny, ale pan pamięta że termin pojutrze?

— Pamiętam do kroćset! Pamiętam! — zawołał pan Żerbek tak głośno, że aż drzymiący w futrze jegomość głowę podniósł i na rozmawiających spojrział z przestachem.

— Niech się pan nie gniewa — odrzekł żyd nieco się cofając — tu nie ma rozboju, ja tylko delikatnie przypominam...

Na tych słowach urwała się rozmowa, bo właśnie pociąg zatrzymał się na większej stacji, gdzie do naszego wagonu wsiadło kilkanaście osób różnej płci i wieku.

Mój właściciel korzystając ze sposobności odsunął się od swego anioła opiekuńczego, a położywszy sobie zawiniątko pod głowę, udawał że usnął.

Podróż trwała noc całą. Monotonny ruch wagonu każdego ukołysał, lampa świeciła się coraz bledziej, póki nareszcie całkiem nie zgasła, a im bliżej było świtu, tem głośniejsze chrapania dawały się słyszeć w wagonie. Najdłużej trzymał się p. Goldstock. Inni już spali, a on jeszcze coś mruczał, liczył na palcach i notował na karteczce, którą razem z ołówkiem wyjął z bocznej kieszeni. Gdy całą zapisał i od początku do końca uważnie odczytał, spojrział badawczo na każdego z po-

dróżnych, a przekonawszy się, że wszyscy spią jak zabici, odwinął szybko połę wierzchnią odzieży, poczem ukazał się w jego ręce pugilares skórzany, podarty i niewiadomego koloru, a gruby na pół stopy. Włożyć weń karteczkę i schować pugilares, było dziełem jednej sekundy. Jeszcze raz powiódł kolejno okiem po spiących towarzyszach, poczem sam się układając, taką przybrał pozycję, że na owym pugilaresie spoczywał całym ciężarem ciała.

Już oddawna dzień się zrobił, i deszcz który w nocy ustał zaczął na nowo dzwonić w szyby waganów, gdy pociąg słabnąc w biegu zatrzymał się na nowej stacji. Wołania służby kolejowej: Lwów! Lemberg! i otwieranie drzwiczek od wagonów wszystkich pobudziły.

Pan Żerbek wziął zawiniątko, a zwracając swemu wierzycielowi szal pożyczony, rzekł uprzejmie :

— Dziękuję panu i przepraszam. jeżeli mi się wyrwało jakie słowo gwałtowniejsze.

— No, za co bym ja się miał gniewać, — odpowiedział żyd obojętnie. — Do widzenia panie Żerbek, i niech pan z łaski swojej pamięta że pojutrze...

Mój właściciel nie słyszał ostatniego słowa.

Wyskoczywszy z wagonu szybko minął peron i znalazł się na drodze wiodącej do miasta.

— Ach! jak ten żyd mnie męczy! — mówił do siebie.. Grubianinem nigdy jeszcze nie był, a mimo to wypruł już ze mnie ostatnią żyłą cierpliwości. Mój Boże, kiedy ja się od nich uwolnię!

Kamieniczka, w której mieszkał pan Żerbek, stała na przeciwległej stronie miasta. Chociaż szedł szybko i wybrał drogę najkrótszą, upłynęła jednak cała godzina, zanim stanął w bramie swojego domu.

Minąwszy sień i niezbyt obszernie podwórze, skręcił na lewo ku oficynie i po wąskich schodach drewnianych wszedł na drugie piętro.

Mieszkanie, w którym mieściła się jego liczna rodzina, składało się z ciemnej kuchni, dość obszernego pokoju i alkowy także ciemnej. W kuchni nie zastał nikogo; tylko pies mały, który po krokach poznał swego pana, przywitał go w drzwiach łaszcząc się i radośnie skowycząc.

Na ten głos z przyległego pokoju wybiegło czworo dzieci, z których najmłodsze mogło mieć cztery lata, najstarsza zaś dziewczynka piętnaście. Uszczęśliwione widokiem ojca, rzuciły się dzieci wołając:

— Tatko! Tatuńcio!

Gdy sobie przypomnę tę biedną rodzinę, która walcząc z ubóstwem w domu, na ulicę wychodziła zawsze z twarzą uśmiechniętą, by złym sąsiadom nie dać powodu do szyderstwa, a skargą ojcu nie ubliżyć, który jako urzędnik państwowy starał się swoją godność utrzymać; gdy przywiodę na pamięć tę biedną kobietę, która mimo cierpień długoletnich nie cofnęła się przed żadną pracą — i jej córkę najstarszą, Marynię, która po całych dniach i nocach szyla, aby choć w części powiększyć dochody ojca i nieraz ze dzbankiem wybiegała po wodę, bo u biednych sługi nie lubią się trzymać; — gdy sobie to wszystko przypomnę, mimo że jestem zimnym, na nędzę ludzką nieczułym dukatem, łzy cisną mi się do oczu. Ileż to takich nędzarzy ukrywa się wśród murów miast wielkich! Gdyby też ksiądz Augustyn, zamiast odwozić pieniądze do Rzymu i niemi tuczyć kardynałów, chciał takich nędzarzy wyszukiwać i wspierać! Ale tacy na cóżby mu się przydali?... Z Rzymu może przyjść pochwała, infuła, nawet kapelusz kardynalski — tacy zaś umieją się tylko modlić...

Pierwszego dnia po powrocie z Wiednia, wesoło było w mieszkaniu pana Żerbka. Żona i dzieci słuchały opowieści ojca o Wiedniu, ministrze i nadziejach jakie miał na przyszłość; wszystkich

oczy były rozpromienione, w każde serce wstąpiła otucha, a gdy w południe najstarszy syn Władysław przyszedł ze szkoły, ojciec wziął mnie i pokazał młodziencowi mówiąc :

— Widzisz Władziu, oto dukat holenderski znaleziony w Krakowie. Ucz się moje dziecko, a jak zdasz maturę, dam ci go na pamiątkę.

Chłopiec pocałował ojca w rękę, reszta dzieci oglądało mnie klaszcząc w dłonie — i tylko jedna matka nie podzielała ogólnej radości. Boleśny uśmiech na jej twarzy zdradzał, że nie wierzyła, by dukat mógł tak długo przechować się w jej rodzinie.

Trzeciego dnia był pierwszy nowego miesiąca, dzień uroczysty dla wszystkich, którzy stałą pensję pobierają. Pan Żerbek jak według zwyczaju poszedł do biura, bez wytechnienia pracował do południa, a gdy napisał kwit na 66 guldenów i 66 centów waluty austriackiej, wsparł głowę na rękę, zadumał się, i kilka łez gorących stoczyło mu się po wyblądłych policzkach. Inni koledzy dawno już wyszli, a on jeszcze siedział, jeszcze dumał.

Nareszcie obtarłszy oczy udał się do kasy.

Przeliczywszy otrzymane pieniądze, nie wrócił do biura, lecz kroki swoje skierował ku głównej bramie. Tu w sieniach, przy bramie, na chodniku,

a nawet na ulicy i pod kamienicami przeciwległemi stało kilkudziesięciu żydków, z których każdy wpatrywał się w bramę jak w obraz, śledząc okiem badawczem wszystkich wychodzących. Za ledwie pokazał się mój właściciel, pięciu z nich zaraz się przysunęło. Pan Żerbek dał ręką znak jednemu by się zbliżył.

— Panie Izaak — rzekł eicho — chodźcie za mną do pana Ferdynanda, bo moja żona chora więc by ją to zirytowało.

Żyd skinął głową nie nie odpowiedziawszy. Pan Żerbek ruszył pierwszy w ulicę na lewo, a pięciu żydków pospieszyło za nim w oddaleniu dwudziestu kroków.

Wszyscy oni byli wierzycielami biednego urzędnika.

W chwilach nieubłaganej konieczności, kiedy żonie nie było za co kupić lekarstwa, lub Maryni podarły się ostatnie trzewiczki; kiedy dzieci wołały: chleba! — a chleba w domu nie było; kiedy wreszcie on sam nie mając dobrego surduta nie mógł już wyjść do biura, — w chwilach takich ciągał długi u żydków, którzy potem każdego pierwszego czatowali na swoją ofiarę przed bramą kasy rządowej. I nie były to wielkie długi. Goldstockowi był winien najwięcej 150 guldenów — tym pięciu zaś razem ledwie 100, ale za tych 250 pła-

cił miesięcznie przeszło 30 guldenów odsetków. Cóż mu zostawało?

Gdy ze swoją asystencją wszedł do pokoju pana Ferdynanda, ten widocznie przyzwyczajony do sceny powtarzającej się co miesiąc od lat kilku, przywitawszy przyjaciela dalej czytał dziennik, paląc fajkę na długim cybuchu.

Żydki powyjimowali weksle. Rozpoczęła się scena, której szczegółowo nie będę opowiadał, tak była ona dla mnie wstrętną i bolesną. Największy wierzyciel miał weksel opiewający na 40 guldenów, innym był pan Zerbek dłużny po 30, 10, a jednemu tylko 5 guldenów. Mimo to krzyk był piekielny, jakby szło o miliony.

— Ja nie mogę czekać, — wołał jeden — ja bardzo potrzebuję! A jeżeli pan nie może oddać, to musi mi pan procent podwyższyć, bo ja mam stratę!

— Sześć reńskich od czterdzieści na miesiąc jaki to procent? — mówił drugi. — Inni panowie więcej płacą. Ja jakbym dziś miał te pieniądze to bym dostał trzy razy tyle. Niech pan da kapitał albo ośm reńskich, bo ja inaczej nie „obstanę“.

— Dziesięć reńskich to bagatel! — utrzymywał trzeci. — Niech pan dziś wszystko odda, a jak panu będzie potrzeba, to ja znowu pożyczę. Nie może pan oddać? To proszę napisać dwadzie-

ścia na trzy miesiące, bo na krótszy termin ja nie mogę, mnie samego więcej kosztuje.

— *Hörste*, jaki pan skąpy! — wołał czwarty. — A jak pańska żona była chora, to Filk nie dał pieniędzy? Czemu panu kto inny wtedy nie pomógł?

— Ja będę skarżył — utrzymywał piąty — ja panu zrobię *bagatelkę*... Już pięć miesięcy czekam, a pan mi zawsze mówi na pierwszego... Kiedy ten pierwszy ma być?

O plemię parjów, które bezpośrednio samo nie ludzkości nie przynosząc, żyjesz kosztem własnego upodlenia!

Nieszczęśliwy mój właściciel prosił, zaklinał, niekiedy nawet się unosił i pot z czoła obcierał — a żydzi ciągle krzyczeli, grozili, dręczyli. Nareszcie stanęła ugoda. Każdy coś dostał, na każdym wekslu dłużnik coś napisał, a gdy po oddaleniu się żydów, biedny pan Żerbek obliczył swoją gotówkę, postrzegł, że miał już tylko 40 guldenów, chociaż przez dopisanie na niektórych wekslach dług zamiast umniejszyć się zwrósł o 20 guldenów.

Zaledwie ostatni lichwiarz drzwi zamknął za sobą, w pokoju pojawił się pan Goldstock. Kto mu powiedział że swoją ofiarę tu zastanie, o tem na tym świecie nikt się nie dowie... Układy z nim jednym trwały przeszło godzinę, lecz że to był

człowiek bardzo „delikatny“, że miał serce „bardzo miękkie“, i był wielkim „przyjacielem“ pana Żerbka, więc wziął mu nie więcej jak 10 guldenów, a 30 kazał sobie na wekslu dopisać.

Złamany moralnie i fizycznie, biedny pan Żerbek wrócił do domu. Gdy tu zapłacił służbę dochodzącą, mleczarkę i przekupnia sprzedającego pieczywo — z całej pensji zostało mu się tak mało, że nie wiedział czy przetrwa jeden tydzień. A miał do wyżywienia siedm osób — mieszkanie zaś od dwóch miesięcy nie było zapłacone. Lecz prawda, miał jeszcze mnie...

Kilka tygodni wlokło się życie pełne niedostatku i udręczeń, którego jedyną pociechą była nadzieja, że na wniesioną prośbę minister przychylnie odpowie. Atoli po dwóch miesiącach zgasła i ta gwiazda! Minister stosownie do zwyczaju, zapytał prezydenta, czy pan Żerbek zasługuje na awans, a prezydent rozgniewany, że podwładny urzędnik ośmielił się zanosić prośbę do wyższej instancji bez jego wiedzy i zezwolenia, w tak pięknym przedstawił go kolorach, że w kilka dni potem, biedny mój właściciel otrzymał swoje podanie z dopiskiem: *Dem Gesuch wird keine Folge geleistet*. Nie koniec na tem. W ostateczności miał on zamiar prosić o zaliczkę rządową, którą w języku biurokratyczno - galicyjskim nazywają

Vorszusem. Wszelako i tu spotkało go rozezarowanie. Prezydent chcąc krnąbrnemu urzędnikowi dać uczuć całą potęgę swojej władzy, odrzucił podanie *aus finanziellen Rücksichten.*

Wierzyciel pana Goldstocka i pięciu jego współwyznawców ujrzał się więc opuszczonym i prawie na ulicy, bo właściciel domu nie otrzymując czynszu od czterech miesięcy, wniósł skargę do sądu, który zagrabiwszy wszystkie ruchomości oskarżonego, oświadczył mu na arkuszu siwego papieru, że jeżeli do sześciu dni nie zapłaci, z zajmowanego mieszkania zostanie przemocą wyrzuconym.

Nieszczęścia chodzą zawsze gromadnie. W tym samym czasie, żona przeziębwszy się znowu zachorowała, Marynia na oczy tak zapadła, że dłuższy czas nie mogła igłą zarabiać — a Władzio dostał niebezpiecznej gorączki. Patrząc na chorych i myśląc co mu grozi, biedny mój właściciel łamał ręce i chodził bezprzytomny. Nie płakał, nie skarżył się, nie rozpaczał, ale w oczach straszny ogień mu płonął — bałem się by nie oszalał...

Gdy nieszczęście osiągnęło szczyt najwyższy, a z nikąd nie błysła nadzieja, pan Żerbek zebrawszy całą odwagę udał się do kilku znajomych, prosząc o pomoc, o ucziwą pożyczkę. Daremne zabiegi! Każdy wymówił się brakiem gotówki i

ciężkimi czasy. Wtedy stawiając resztę na kartę, poszedł do Goldstocka.

Żyd przyjął go obojętnie, nie okazując zdziwienia, jak gdyby jego odwiedzin oddawna się spodziewał.

Po kilku wstępnych słowach, pan Żerbek przystąpił od razu do rzeczy, prosząc żyda by mu pożyczył jeszcze 100 guldenów.

Goldstock głową pokręcił.

— Sto reńskich? to wielki pieniądz... Dziś takie ciężkie czasy, że mnie samemu nikt by nie pożyczył jakbym broń Boże potrzebował. Sto reńskich, to nie bagatel! Pan i bez tego dużo mi już winien.

Nieszczęśliwy ojciec rodziny postanowiwszy nie ustąpić tak prędko, odmalował żydowi całą rozpaczliwość swego położenia i już nie prosił, lecz błagał o pomoc. Nie tań także że w ostatnich dniach napróżno zgłaszał się do kilku przyjaciół.

Goldstock przymknął oczy, zwiesił głowę i chwilę podumał.

— Panie Żerbek, ja nie mam pieniędzy, ale ponieważ ja jestem pański przyjaciel, to ja panu inaczej pomogę. Niech pan pójdzie do pana Ferdynanda, kiedy pani dobrodziejka chora, a za pół godziny to ja tam przyjdę... Ale co ja za to będę mieć?

— Drogi panie Goldstock! — zawołał mój

właściciel nie posiadając się z radości — dam panu wszystko co mam, jedyne dukata, którego chciałem zachować dla syna, gdy zda maturę.

— Dukata? A może on obcięty?

— Nie, nie obcięty! nowy, jakby dziś wyszedł z mennicy.

— No, no już my się pogodzimy, ja wiem że pan honorowy człowiek, pan nie zechce mojej straty. Niech pan teraz idzie, a ja tam zaraz przyjdę.

W pół godziny Goldstock przyszedł rzeczywiście do przyjaciela pana Żerbka z jakimś jeszcze młodym i dziwnie koso patrzącym towarzyszem. Pan Ferdynand mając pilny interes zostawiwszy ich samych, wyszedł do miasta.

— To jest pan Fitker, bardzo porządny kupiec — przemówił Goldstock prezentując nową osobistość. — On panu dobrodziejowi chce pożyczyć 100 reńskich, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Pan będzie łaskaw obok swego nazwiska na wekslu postarać się także o podpis swego prezydenta.

— Co pan mówisz? Czyś oszalał! Ja mam być fałszerzem? Przecie pan wiesz, że prezydent nie podpisze — zawołał mój właściciel o krok się cofając. — To żądanie jest nikezemne, rozbójnicze!

— Na co ja mam oszaleć.. tu nie ma rozboju... Czemu prezydent nie ma podpisać? Wprawdzie ja Fitkerowi mówił, że pan Żerbek to bardzo porządny człowiek i że tego nie potrzeba, ale co ja temu winien, że on mnie nie chce słuchać. Prawda panie Fitker?

Zapytany skinął głową na znak potwierdzenia, a Goldstock dla okazania, że działa z najszlachetniejszych pobudek, zaczął go sam przekonywać w żargonie polskich żydów, że podpis prezydenta jest całkiem niepotrzebny. Fitker był jednak niewzruszonym, a nawet udawał oburzonego, co widząc Goldstock, rzekł:

— Widzi pan, on się jeszcze na mnie gniewa. Ja panu dobrodziejowi zaraz powiem, dla czego on chce podpisu prezydenta. Pan ma więcej długów, a jak te paskudne lichwiarze zlecą się na pierwszego, to panu połowę pensji zabiorą i na ten dług nic nie zostanie. Jeżeli pan prezydent podpisze, to pan będzie lepiej pamiętał i ten dług będzie pierwszy. A prezydent czemu nie ma podpisać? Przecie pan będzie płacił, nie on... Pan sam może weksel zapieczętować, tak że o tem nikt nie będzie wiedział... No, zrobimy interes?

Biedny mój właściciel chodził prędko po pokoju, obcierając pot z czoła. Czuł że żyd zmusza go do podrobienia podpisu swego przełożonego

i wiedział co by nastąpiło, gdyby weksel nie był w terminie wykupionym. Żyd zaś mógłby się tłumaczyć, że on nawet nie przypuszczał, by tak porządny urzędnik mógł mu przynieść podpis fałszywy.

— Nie! nie zrobię tego! — zawołał nakoniec, choćbym z głodu umarł.

— Ja nie siłuję — odpowiedział Goldstock. Podam do nóg panu dobrodziejowi.

Na tem skończyły się tego dnia układy

Nazajutrz pan Żerbek wybiegł do dnia z domu, odwiedził kolejno wszystkich lichwiarzy, których znał bądź osobiście, bądź z widzenia lub nazwiska, ale wszędzie otrzymał jedną odpowiedź:

— Nie ma pieniędzy... A Goldstock czemu nie chce pożyczyć?

Miałąz ta odpowiedź znaczyć, że Goldstock już uwiadomił swoich współwyznawców, że pan Żerbek nie powinien u nich znaleźć kredytu?

Cały dzień pasował się z sobą, wszelako nad wieczorem opuściła go odwaga. Żonie pogorszyło się, nazajutrz zaś o ósmej rano mieli przyjść woźni i wyrzucić go na ulicę.

Był już późny wieczór gdy wszedł do mieszkania Goldstocka.

— Mam podpis prezydenta, — rzekł głosem

stłumionym żydowi w oczy nie patrząc, — poszlij pan po Fitkera.

— Pan ma podpis? Widzi pan że prezydent nie odmówił. A na ile on podpisał?

— Kwoty nie ma wymienionej.

— *In bianco*? Ciu, ciu, ciu! a widzi pan jak on panu ufa! Ja to zaraz gadał.

Przy tych słowach żydowi usta i oczy uśmiechały się szatańsko.

— Gdzie pan Fitker? — zapytał biedny człowiek. — nie mam chwili do stracenia.

— Nie potrzeba Fitkera... On mi zostawił pieniądze na przypadek, jeźliby pan przyszedł... a jaki będzie procent?

Rozpoczął się targ, który jednak nie trwał długo. Pan Żerbek tyle już uczynił, że nie mógł dbać o kilkadziesiąt guldenów. On teraz myślał tylko o żonie i dzieciach.

Weksel opiewający na 150 guldenów, a płatny za miesiąc, stał się własnością żyda; pieniądze przeszły w posiadanie pana Żerbka.

— A za moją fatygę? — zapytał Goldstock. — Przecie pan mi obiecał dukata, bo to nie mój interes.

— Masz pan, masz! — zawołał pan Żerbek rzucając mnie na stół i krokiem chwiejnym, jakby był pijany, wyszedł z mieszkania lichwiarza.

Żyd mruknął coś pod nosem, a gdy na schodach ściebły kroki odchodzącego, wziął małą wazkę i na nią mnie położył. Musiałem mu się podobać bo uśmiechnął się z zadowoleniem. Potem z szafy w rogu stojącej wyjął nóż w półksiężyc zgięty, i bez litości zaczął mnie obcinać, składając okrawki do puszek blaszanej.

Jak sprawiedliwą jest Opatrzność! Niegdyś w kieszeni Francuza szydziłem z mego kolegi, że jęczał w niewoli Jerozolimskiej i kuso wyglądał — teraz za karę i jam się dostał do tej niewoli i mnie obcięto obrączkę.. Po co mnie zły genjusz zaprowadził do tej Galicji!

Gdybym wam chciał opowiedzieć wszystko, co podpatrzyłem w charakterze i życiu Goldstocka, musiałbym być rozwlekłym, bardzo rozwlekłym. Poprzestanę zatem na kilku rysach ogólnych, które na baczniejszą zasługiwały uwagę, a co do całego tła obrazu wypełnicie go sami, bo przecie w całej Galieji nie ma wioski, zakątka, w którym byście nie znaleźli choćby jednego Goldstocka.

Bez duszny mój tyran — trudno go nazwać inaczej po operacji jaka mnie spotkała w jego domu, — był zajęty od świtu do ciemnej nocy. Po odmówieniu modlitwy porannej i wypiciu szklanki napoju, który miał się kawą nazywać, wybiegał do miasta, gdzie bawił do południa. Ledwie zjadł

objad w gronie ukochanej rodziny, składającej się z pięciu córek i trzech synów, z których dwaj mieszkali przy ojcu ze swemi żonami i dziećmi, Goldstock biegł znowu do miasta i nie wracał aż po zachodzie słońca. Gdy wszystko do snu się ułożyło w dwóch niewielkich pokoikach, wyjmował pugilares, a przeglądnąwszy kilkaset weksłów, które się w nim znajdowały, robił dokładny wyciąg, aby zapamiętać do kogo na drugi dzień miał się zgłosić po pieniądze. W mieście też niczem innem się nie zajmował, tylko bądź ściąganiem należitości, bądź udzielaniem nowych pożyczek.

Klientów miał rozmaitych. Jedni wypłacali się rzetelnie i od tych brał znacznie mniejszy procent; — drudzy dziesięć, nawet dwadzieścia razy z kolei witali go słowami: „Dziś nie mam, przyjdź pan jutro!” — i ci płacili odsetki bajeczne, a w dodatku musieli mu każdym razem dać coś „za fatygę”. Goldstock przyjmował wszystko, nawet dziesięć centów, bo z tych podarunków robiły się rocznie setki guldenów, a chociaż przed otrzymaniem za „fatygę” solennie upewniał, że nie zgłosi się tak prędko do swego dłużnika, po schowaniu pieniędzy zawsze pytał: .

— A kiedy mam przyjść, jutro?

Pożyczał wszystkim: magnatom i najbiedniejszym kupcom, generałom i chudym literatom, pre-

zydentom rozmaitych urzędów i mizernym woźnym. Ilekroć nadarzyła mu się sposobność zrobienia dobrego interesu, zawsze go zrobił, bez względu na gotówkę, jaką w danej chwili rozporządzał. Gdy nie miał pieniędzy, co dość często się zdarzało, bo gotówka była w ciągłym obrocie, zastawiał w banku wszystkie swoje akcje, które chował na gorące czasy i klejnoty żony; dopiero gdy to nie wystarczało, udawał się do swoich współwyznawców i albo od nich pożyczał, albo brał ich do spółki. Za mego pobytu w kieszeni Goldstocka, raz się nawet zdarzyło, że do pewnego interesu, który wymagał kilkudziesięciu tysięcy, zawiązał spółkę aż z trzydziestu uczestników. Spółkę zawiązywał także wtedy, gdy interes rokował wielkie nadzieje, ale nie był całkiem pewnym. — Jak nie odbierzemy — mówił w takich razach — to przynajmniej każdy z nas nie wiele straci.

Widząc jak rzetelnie rozliczali się ci żydzi po rozwiązaniu spółki, i z jaką dokładnością przestrzegali terminów, ilekroć pożyczali sobie pieniądze na prostą kartkę lub żywe słowo, nie mogłem się dość nadziwić, że społeczeństwo wśród którego żyją, nie nauczyło się od nich choć w części tej cnoty, i nie wyrobiło w sobie kupieckiej słowności, bez której o handlu i przemyśle nawet marzyć nie można.

Nie tylko właścicielom posiadającym dobra ziemskie, domy albo fabryki; nie tylko kupcom mającym towary; nie tylko urzędnikom i wojskowym utrzymującym się ze stałej pensji Goldstock pożyczał: — on dawał także „na głowę“, „na charakter“, a nawet „na urodę“.

— „On ma dobrą głowę, więc sobie da radę“ — mawiał o pierwszym. — „On jest człowiekiem uczciwym, to też prędzej lub później wszystko mi odda“ — twierdził o drugim. — „Przystojny chłopiec, dobrze się ożeni“ — wyrokował o trzecim. W stosunku do tych, Goldstock nie był zatem lichwiarzem, lecz filantropem, bo na takie hipoteki żaden bank nie pożycza... Zdrowie swoich dłużników, zwłaszcza tych, którzy nie posiadali nieruchomości, cenił wyżej jak własne. Bolała któregoś głowa, radził mu by się nie martwił i na cały dzień do łóżka położył, a często brał coś na poty; spotkał drugiego w lekkim ubraniu w dzień dżdżysty a zimny, błagał na wszystko, by co prędzej wrócił się do domu po paletot; poskarżył mu się trzeci, że nie ma pieniędzy na lekarza, pożyczał mu zaraz kilka guldenów „na słowo“ i sam mu lekarza przysyłał. Na świecie żyją jednak istoty, którym Goldstock nie pożyczylby nigdy ani guldena — a temi są kobiety. On tak jest „delikatny i nerwowy“, że nie może znieść widoku osób

delikatnych i nerwowych ; ja jednak sądzę, że powodu jego niechęci do kobiet gdzieindziej trzeba szukać. Kobiety są zwykle bardzo oszczędne i nie skłonne do płacenia wysokich odsetków, więc interes z nimi byłby dlań niemożliwym do przeprowadzenia. On płęć piękną bardzo szanuje, ale kocha tylko płęć brzydką.

Ilekróć zgłosił się doń jaki nieznajomy po pieniądze, prosił go zawsze, by poczekał do dnia następnego, lub przynajmniej do popołudnia. Nieznajomy rad nie rad musiał się zgodzić, a Goldstock zasięgał tymczasem języka i bądź dawał, bądź grzecznie odpowiadał: — Przepraszam, ale nie mogłem odebrać. — Nie zdarzyło się atoli nigdy, by odprawił kogo słowami: — Nie dam, bo nie chcę — albo — boję się dać, bo panu nie ufam.

Już dwadzieścia lat Goldstock na lichwę pożyczka, a mimo to do dnia dzisiejszego sam nikogo nie ściagał sądownie. Gdy ma złęgo dłużnika, odwiedza go z początku raz na miesiąc ; potem co tydzień, nakoniec co dzień, nawet dwa i trzy razy na dzień. Gdy to nie pomoże, uważa pieniądze za stracone, ponieważ według jego przekonania, z człowiekiem, który do ostatka wytrzymał jego przesładowanie, nawet sam sąd nie poradzi.

Rzadki wyjątek stanowią tylko tacy, którzy

nie chcą płacić mimo że coś posiadają. Wiedząc, że kołatanie do ich serc zatwardziałych na nie się nie przydaje. Goldstock odstępuje ich weksle niejakiemu panu Fitkerowi, a dopiero ten rozpoczyna kroki sądowe. Tak więc Goldstock może zawsze powiedzieć:

— Ja pana nie skarżył, ja pański przyjaciel, ale ten Fitker wszystkiego narobił. Potrzebując pieniędzy, pożyczyłem od niego na pański weksel, potem nie miałem czem wykupić, i tak się stała nieprzyjemność. Ale ja nie winien, ja pański przyjaciel!...

Ileć widzi interes niejasny, mogący zaprowadzić obie strony przed kratki sądowe, nigdy go sam nie robi. Wtedy podstawia zawsze tego samego Fitkera, który za połowę zysku przyjmuje odpowiedzialność za następstwa. Fitkera posyła także do takich klientów, od których sam nie ma odwagi żądać zbyt wygórowanych odsetków.

Czy Goldstock zrobił kiedy zły interes? O tem ani ja, ani nikt na świecie jeszcze się nie dowiedział. Zły interes to hańba dla żyda, za którą idzie w gminie brak zaufania i kredytu. Na taką śmierć Goldstock nie może się narazić, więc ani się chwali dobrymi interesami, ani na złe uskarża.

Są jednak straty, o których często wspomina. Jeżeli obliczy, że powinien zarobić 100, a zarobi

tylko 50, wtedy głośno narzeka, że stracił 50. Współwyznawcy jego z głębokiem skupieniem ducha słuchają wynurzeń Goldstocka, bo każdy z nich chciałby jak najczęściej takie straty ponosić.

Na ulicy klientom nigdy się nie kłania, aby ich nie kompromitować; lecz na tydzień przed terminem kapelusz szybko zdejmuje, bo wtedy ten ukłon znaczy: — termin się zbliża... Gdy dłużnik go unika, przechodzi mu często w poprzek drogę od przodu, jeżeli się w domu zamyka, stoi w bramie sześć godzin z rzędu, bawiąc się widokiem przechodniów; ale gdy i to nie pomoże, i klient wymknie mu się po za plecy na ulicę, Goldstock bierze go na oko, i chodzi za nim po całym mieście, wyczekując pod każdą kamienicą do której wstąpi, póki go nie schwyci gdzie w sieni, lub w cieniu pod murem. Jeżeli czasem przechodnie zasłonią zwierzynę — przerażony biegnie na środek ulicy, szukając jej wzrokiem, albo przechodzi na drugi trotoar, aby ztamtąd bezpieczniej śledzić poruszenia uciekającego.

Goldstock nie lubi wiele mówić, za to słucha z prawdziwą przyjemnością. Ze sposobu jak się klient wysławia, Goldstock odgaduje czy mówiący bardzo potrzebuje czy nie, czy mówi szczerze czy okłamuje, czy zapłaci mniejszy czy większy procent, czy jest rzetelnym, czy niesłownym. On

słucha i patrzy, cały swój spryt w jednym kierunku skupiając, a że każdą zdolność można w sobie niepospolicie wyrobić, jeżeli jej jednej człowiek poświęca całą uwagę, więc dziwić się nie można, że spryt potrzebny do poznawania ludzi Goldstocka nigdy nie zawodzi. On każdego na wskroś przejrzy, a że Polacy są z natury bardzo otwarci, to też Żydzi wyzyskują ich na każdym kroku.

Goldstock jest bardzo oszczędnym. W jednym ubraniu chodzi bez przerwy lat kilka, a na wyżywienie siebie i całej rodziny nie wydaje dziennie nawet guldena. Zbytkaami są dlań tylko łaźnia i szabas, których wyprzeć się nie może, bo mu religja obadwa nakazała. Religijnym jest on bardzo, ale nie zfanatyzowanym. O zasadach postępowych chętnie rozmawia. Francuzów woli jak Niemców, bo jak sam utrzymuje, Francuzi przodują cywilizacji i więcej niż Niemcy mają pieniędzy — a chociaż jest dobrym Żydem i słucha rabina, byłby jednak zdolnym do bardzo wielu następstw na rzecz postępu i dobra powszechnego, jeźliby tylko był pewnym, że mu one zapewnią polepszenie stanowiska społecznego. W głębi ducha zawsze go to martwi, że jest pogardzanym przez ogół lichwiarzem, parją w społeczeństwie. Dlatego syna najmłodszego posyła już do szkół, pragnąc, by został lekarzem, adwokatem albo urzędnikiem.

W kłopotcie wielkim, równającym się rozpaczy, szanownego Goldstocka tylko raz widziałem.

Było to jakoś w karnawał. Miasto szalało jak nigdy, młodzi ludzie zgrywali się w karty i spijali szampana. Pewnego wieczora do mieszkania mego właściciela weszli dwaj dżentelmeni, z których starszy mógł mieć około lat trzydziestu, młodszy dwadzieścia trzy, cztery. Starszego znał Goldstock osobiście oddawna; młodszego tylko z nazwiska i widzenia. Ponieważ obadwaj należeli do arystokracji lwowskiej, bo byli hrabiami austriackimi i mieli reputację wielkich lekkomyślników, więc Goldstock pospieszył ich powitać ukłonem i uśmiechem.

— Kochany panie Goldstock — przemówił starszy — przyszliśmy do pana w pilnym interesie. Mój przyjaciel, hrabia Gustaw, potrzebuje natychmiast tysiąca guldenów.

— No, dobrze, a kto podpisze? — zapytał żyd przeciągle, przypatrując się uważnie nowemu klientowi.

— Kto podpisze? — podchwycił hr. Gustaw — ja podpiszę. Czy nie wystarcza?

— Z przeproszeniem pana hrabiego, ale mnie się zdaje, że pan hrabia nie jest jeszcze pełnoletnim.

— Nie jestem, ale będę za sześć miesięcy.

Zresztą co to ma do rzeczy, nie pełnoletność płaci, lecz honor.

— No, prawda... A ten majątek na Podolu, w którym tatko mieszkał, czyj on teraz?

— Czyj? mój! Matka zarządza nim do mojej pełnoletności, a po sześciu miesiącach odbiorę go na siebie.

— To bardzo ładny majątek, wart pół miliona. Nieboszczyk pan hrabia to był bardzo honorowy obywatel... teraz już takich nie ma!... Ja nie raz z nim handlowałem. A mamunia, pani hrabina, nie ma swego majątku?

— Jej przypada czwarta część.

— Czwarta część?... To pan hrabia mówi, że za sześć miesięcy pan hrabia będzie *volljährig*?

— Tak, tak, ale na co się zdało to całe gadanie. Albo pan daj pieniądze, albo bądź pan zdrów!

— Zaraz panie hrabio, zaraz... A możeby pan hrabia zatrzymał się do jutra?

— Powtarzam panu, że dziś potrzebuję. Gdybym mógł poczekać do jutra, nie przyszedłbym był do pana.

Nowy klient był dla lichwiarza zbyt ponętą zwierzyną, by ją mógł wypuścić i wpędzić do cudzej matni. Kręcił coś głową, wypraszał się do jutra, w ostateczności chciał dać najpierw trzecia

część, potem połowę, lecz gdy wszystko nie pomogło, wyliczył nareszcie 1.000 guldenów, otrzymawszy weksel z sześciomiesięcznym terminem na 2.500!

Młody człowiek o procent wcale się nie spierał, sam przyznając, że jako małoletni musi zapłacić więcej jak każdy inny.

W nocy Goldstock nie spał spokojnie, mimo że zrobił tak świetny interes. Kilka razy budził się, zapalał szabasówkę, oglądał weksel na wszystkie strony, uważnie przypatrywał się podpisowi i wzdychał często powtarzając :

— Czemu nie żądałem, by ten drugi także podpisał ?

Widocznie jakaś wątpliwość wkradła mu się do mózgu i nielitościwie go peżerała.

Zrana wstał blady, prędko się ubrał, poszedł do szkoły, a pomodliwszy się gorąco, rzucił się między swoich współwyznawców, przechadzających się od świtu po wałach hetmańskich. Wiadomości, których mu udzielili, nie musiały być dobre, bo gdy o godzinie dziewiątej szedł do urzędu, w którym mieści się tabula krajowa, nogi pod nim drżały i temu mu w piersiach brakowało. Z tem wszystkim udawał spokojnego i najbystrzejsze oko nie byłoby w nim dostrzegło pomięszania. W tabuli stary urzędnik otrzymawszy dwa guldeny dla

przyspieszenia sprawy. o którą go prosił, podał mu na karteczce wyciąg z wielkiej księgi, którą miał przed sobą. Goldstock spojrział, przeczytał raz, drugi, kilka razy zaklął pod nosem i kartkę schował do kieszeni. Odtąd przypuszczenia i pogłoski były dlań smutną rzeczywistością... Hrabia Gustaw podszedł go podstępnie mówiąc, że majątek jest jego własnością. Dobra należały do matki, która mogła niemi dowolnie rozporządzić — po ojcu zaś nie zostało mu nic, gdyż nieboszczyk hrabia wszystko stracił za życia.

Strasznie przeklinał Goldstock swoją nieogłębność, złorzeczył chwili, w której młody człowiek wszedł do jego domu, przysięgał zemstę jego przyjacielowi i mało sto razy powtórzył jedno słowo: **tysiąc!**

Położenie było w rzeczy samej nie do pozazdroszczenia, ale lichwiarz nie dał za wygrane. Jak wąż rzucił się znowu między swoich kolegów, ostrzegając, by żaden z nich nie ośmielił się wchodzić z hr. Gustawem w pieniężne stosunki, ponieważ on sam ma do tego młodzieńca wielką pretensję. Życiżi słuchali kiwając głowami, co znaczyło że solidarności nie złamią.

Do wieczora znał lepiej stosunki hr. Gustawa niż on sam. Wiedział, że matka prócz całego utrzymania daje mu rocznie 5.000 guldenów; że martwi

się jedynakiem, który bawi się w wielkiego pana; że już kilkanaście razy popłaciła jego długi, ale niedawno dała mu słowo, że tego więcej nie uczyni; wreszcie że hrabina jest kobietą dobrą, lecz zdrowia wątłego i bardzo nerwową. Hrabina bawiła teraz na wsi, jednak pod koniec karnawału miała przyjechać do miasta.

Goldstock wyglądał jej przyjazdu jak zbawienia. Gdy to nastąpiło, wystroił się jak nigdy jeszcze, a wybrawszy taką godzinę, w której młodego człowieka nigdy w domu nie było, poszedł odwiedzić jego matkę. Wprawdzie służba nie chciała żyda wpuścić, lecz gdy powiedział, że przychodzi w pilnym interesie młodego pana hrabiego, pozwolono mu wejść do pierwszego pokoju, gdzie niebawem pojawiła się gospodyni domu, więcej zaniepokojona jak zdziwiona tą wizytą.

— Czego pan chcesz? — szybko zapytała.

— Nic, proszę jaśnie panią hrabinę, ja się tylko przyszedł przedstawić... Jestem Goldstock... Ja z nieboszczykiem panem hrabią nie raz handlowałem. Ciu, ciu, ciu, jaki to był pan! Takich już dziś nie ma. A pani hrabina pamięta, że Goldstock z nim handlował?

— Być może, lecz co mnie to obchodzi... Jaki pan masz do mnie interes?

— Ja nie mam żadnego interesu... Ale my-

ślałem sobie, pójdę, przypomnę się, może jaśnie pani hrabina będzie miała kiedy jaki interes do Goldstocka.

— Niepotrzebnieś się pan trudził.. Zegnam pana.

— Przepraszam panią hrabinę, jeszcze słowko. Czy hrabia Guccio, ten piękny panicz, to syn pani hrabiny?

Hrabina drgnęła, a wpatrując się bystro w oczy mówiącemu, odrzekła :

— Syn.

— Ciu, ciu, ciu! Jaki to śliczny panicz, jaki mądry, a jaki delikatny! On mamunię tak kocha, a tak się boi, żeby się mamuncia czem nie zirytowała, że aż strach! Ja chciałem zapytać, czy mogę mu służyć jaką bagatelką, gdyby przypadkiem potrzebował?

— Niech pana Bóg strzeże! — zawołała matka energicznie. — Mój syn ma tyle, ile potrzebuje, i długów nie pozwalam mu robić. Nie chciałabym go widzieć lekkomyślnym.

— Kto powiedział, że on lekkomyślny. To taki stateczny panicz! A gdyby był trochę lekkomyślnym, co by mu to szkodziło? On jeszcze młody... Taki, co za młodu lekkomyślny, zawsze najlepszy... A jak ja był młody, czy pani hrabina myśli, że ja także nie był lekkomyślny? Oj, oj! żeby ja miał

te pieniądze, co ja wtedy stracił, a teraz przecie inaczej. Ale młody pan hrabia nie jest lekkomyślny. On taki skąpy że aż strach!

— Mój panie, z całej rozmowy widzę, że on już panu coś winien, lub dopiero chce pożyczyć.

— Uchowaj Boże! On taki porządny, on mamuncię tak kocha!

— Dobrze, dobrze, mój panie Goldstock. Jeszcze raz ci powtarzam, że mój syn nie może robić długów, bo własnego majątku nie ma, a ja dałam słowo, że za niego grosza nie zapłacę. Jeżeliby więc kiedy zgłosił się do pana, powiedz mu, że dla niego nie masz pieniędzy. Żegnaj pana.

— Ktoby pożyczał, kiedy pani hrabina nie każe!

Czwartego dnia po tej rozmowie, hr. Gustaw pojawił się drugi raz w mieszkaniu mego właściciela. Kroki przedsięwzięte przez lichwiarza były skuteczne, bo młody człowiek w całym mieście nie znalazł pieniędzy. Znowu żądał tysiąca guldenów. Goldstock przyjął go bardzo uprzejmie, nie zdradzając ani jednym słowem swoich przykości, a wysłuchawszy żądania odpowiedział spokojnie:

— Chociaż teraz bardzo ciężkie czasy, nie mogę odmówić panu hrabiemu... Ja wiem, że o procent nie będziemy się targowali, bo przecie pan hrabia nie zechce mojej krzywdy, ale ja panu hra-

biemu coś powiem. Dawniejszy weksel i dzisiejszy przepisemy na jeden, a mamuncia także podpisze.

— Na co?

— Proszę pana hrabiego my jesteśmy ludzie śmiertelni, sześć miesięcy to długi czas, a jakby broń Boże pan hrabia umarł, przepraszam że tak mówię... niech pan hrabia sto lat zdrów żyje... ale przypuściwszy, to jakibym ja potem miał kłopot! Gotowiby jeszcze powiedzieć, że weksel podrobił. Ja tu poczekam, pan hrabia pojedzie do mamunci, ja do niej sam nie pójdę, ona podpisze, i wszystko będzie dobrze. Ja nawet panu hrabiemu dam weksel wypełniony, żeby jeszcze prędzej skończyć.

Młody człowiek wahał się chwilę.

— Szkoda czasu — perswadował lichwiarz.

— Czemu ona nie ma podpisać? Przecie pan hrabia zapłaci ze swego majątku, a jej podpis tylko uchwaj Boże od przypadku. A majątek czy nie pana hrabiego?

— Spodziewam się że mój! — odparł młodzieniec dotknięty w miłości własnej, wziął weksel, wybiegł, a po upływie kwadransu wrócił.

Dostał drugi tysiąc — na wekslu było pięć tysięcy!

— Panie Goldstock — rzekł chowając pieniądze — nie ma pan przypadkiem dukata holender-

skiego. Chciałbym sobie kupić jednego na „inkluza“, aby pieniądze lepiej się mnie trzymały.

— Mam, mam, śliczny! Ale to rzadkość, w całym Lwowie nie ma drugiego. Kosztuje dziesięć reńskich. Niech pan Bóg da szczęście!

— Dobrze — odparł Guccio, a wzięwszy mnie z rąk żyda, schował do małej portmonetki, rzucił dziesięć guldenów i wyszedł nucąc aryjką z „Pięknej Heleny“.

Złapał on lichwiarza — dziś lichwiarz jego złapał.

Wszak żadna jeszcze matka nie wtrąciła jedy-naka za to do więzienia, że jej podpis podrobił. Po sześciu miesiącach musiała więc zapłacić.

Zanim opowiem jakie koleje przechodziłem zostawszy niewolnikiem hr. Guccia, poświęcę jeszcze kilka słów lichwiarzom galicyjskim, w których ręce nie chciałbym drugi raz się dostać.

Goldstock nie należał do najgorszych. Są tacy, którzy za 100 biorą 500 i 600. Słyszałem jak mówiono o pewnym urzędniku, który w nagłej potrzebie pożyczony 60 guldenów, po dwóch latach, mimo że nie dopożyczył ani grosza, był winien 850. Kwota rosła jedynie wskutek ciągłego dopisywania odsetków.

Spotkałem pensjonowanego dygnitarza, który mimo że pobierał rocznie kilka tysięcy, przez syna

lekkomyślnego w takie popadł długi, że musiał oddać całą emeryturę. Ale że żyd lękał się, by starzec z głodu nie umarł, więc wyznaczył mu dziennie 25 centów!! Widziałem kasjerów bankowych, którzy gdy ich żydzi przycisnęli, sprzeniewierzywszy niewielkie kwoty poszli do więzienia; — słyszałem o takich, którzy ścigani przez lichwiarzy, życie sobie odbierali; — widziałem innych, którzy z rozpaczki dostawali pomieszania zmysłów!

A biedny pan Zerbek, co się z nim stało?

O nim myślałem, gdy hr. Guccio niósł innie do kasyna.

IV.

SPRAWA ŻYDOWSKA.

Hrabia Guccio był dżentelmenem w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, w języku galicyjskim. Lubił konie, psy, polowanie—przepadał za pięknymi twarzyczkami, grał we wszystkie gry hazardowe, robił długi nie tyle z potrzeby co z zamiłowania, całemu światu „zadawał szyku“, nie nie czytał, prócz biletów miłosnych i weksłów nie więcej nie pisał i... i... czy tego nie dosyć?

Ale piękny Guccio nie był bez ambicji. Ilekroć słyszał, że chwalono tego lub owego ministra, generała, albo posła na Sejm krajowy, oczy iskrzyły mu się blaskiem namiętym, i wtedy zawsze powtarzał:

— Zobaczycie że ja będę jeszcze większym człowiekiem.

Dalekim był jednak od dobijania się świetnej przyszłości pracą i nauką. Takie rzeczy zostawiał parwenjuszom. On postanowił iść inną drogą,

drogą, którą po swojemu nazywał polityką. Na czem ona polegała?

Odezuwając instynktowo charakter masy, która go oblewała, wiedział, że w Galicji hrabia lub książę łatwiej podbije powszechną opinię grzecznym ukłonem, wdzięcznym uśmiechem i pozornie przyjacielskim ręki uściśnieniem, niżeli człowiek z niższej warstwy prawością charakteru, czystością przekonań narodowych, pracą i rozumem. Ogół galicyjskiego społeczeństwa poczytuje sobie za zaszczyt, nawet za łaskę, jeżeli hrabia raczy się doń zbliżyć, a uczeiwą pracę jednostek nie mających karet i służby w liberji, uważa za obowiązek, za który nie należy się nawet podzięka.

Hr. Guccio znając z tej strony Galicję, za poradą swojego wuja, który dość wybitnego stanowiska dobił się także „polityką“ — postanowił być popularnym. Trzymając się zasady, że nikt nie przewidzi, na co w danej chwili może się kto przydać, zapoznał się z wybitniejszymi osobistościami wszystkich warstw i stronnictw, i nie raz książę Artur, jadąc z nim w jednym powozie, gorzył się niezmiernie, że hr. Guccio kłaniał się adwokatom, kupcom, lekarzom, a nawet... nawet literatom. Zdziwienie ustępowało jednak miejsca wesołości, gdy młody człowiek zapytany o powody

takiego pospolitowania się, odpowiadał pogardliwie.

— To dla głupiej ulicy! Może i ona przyda się kiedyś

Oddajmy jednak pięknemu kawalerowi tę sprawiedliwość, że z „ulicą“ wdawał się bardzo rzadko, chyba wtedy, gdy w „towarzystwie“ po wyjeździe dam najpiękniejszych do wód albo na wieś zapanowała *saison morte*, lub gdy zbliżające się wybory polityczne nakazywały mu pojawiać się w gronie agitatorów, aby nie być zapomnianym.

Zdarzyło się raz, że Lwów miał wybrać jednego posła na Sejm krajowy.

Miasto zazwyczaj tak apatyczne, ożywiło się nadzwyczajnie, a ożywiło nie pragnieniem przysporzenia narodowi dzielnego szermierza, lecz współzawodnictwem dwóch stronnictw wrogo przeciw sobie stojących, z których jedno chciało przeprzeć jakiegoś safandulę, drugie zaś człowieka energicznego. Pierwsze składało się z samych konserwatystów o słabych głowach a wielkim uporze; drugie z ludzi postępowych o głowach wprawdzie lepszych, lecz mających za to nieproporcjonalnie wielką ambicję.

Położenie było tego rodzaju, że postępowi, jakkolwiek nie zszeregowani, mieli tym razem widoki powodzenia.

Hr. Guccio, wiedząc mimo młodego wieku, że tylko ten jest dobrym politykiem, kto zawsze ma większość za sobą, wbrew zwyczajowi postanowił teraz iść z postępowymi, tem śmieiej, gdy wybory odbywały się w drugiej połowie lata, a więc w czasie, kiedy wszyscy jego najbliżsi, którzyby mu mogli zarzucić dezercję z własnego obozu, byli bądź u wód, bądź na wsi, a on sam tylko przypadkiem znalazł się w mieście.

Stronnictwo postępowe nie miało organizacji, nie miało naczelnika. Całem jego działaniem kierowało kilku młodych ludzi, przejętych najlepszymi dla kraju zamiarami, którzy wzmocnwszy się zaciężnymi z rozmaitych warstw społeczeństwa, nazwali się „Towarzystwem ludzi dobrych chęci“. Towarzystwo zbierało się w rozmaitych miejscach, a ilekroć zeszło się kilkunastu członków, co jednak rzadko się zdarzało, poruszano na zebraniu sprawy najrozmaitsze, aby poprawianiem stosunków przyczynić się do dźwignienia ojczyzny z upadku.

Na kilka dni przed wyborami, hr. Guccio spotkawszy na ulicy jednego z lepszych znajomych, dowiedział się od niego, że nazajutrz o godzinie ósmej wieczorem „Towarzystwo ludzi dobrych chęci“ zbierze się bardzo licznie, ponieważ chciało zastanowić się bliżej nad sprawą żydowską, która w Galicji domaga się jak najrychlejszego uporząd-

kowania. Powodem postawienia właśnie tej a nie innej sprawy na porządku dziennym, była okoliczność, że żydzi wbrew oczekiwaniu, nie chcieli tym razem iść ze stronnictwem narodowem, lecz zamierzali postawić własnego kandydata. Znajomy prosił hrabiego, by przyszedł na posiedzenie, na którem prócz członków Towarzystwa mieli pojawić się także mieszczanie, właściciele wiejscy, a nawet żydzi.

Piękny Guccio, był uszczęśliwiony tą wiadomością. Sprawa żydowska należała do tych, które mu w życiu najwięcej dokuczały, bo samych odsetków zapłacił już żydom kilkanaście tysięcy—chciał więc na zgromadzeniu wystąpić przeciw żydom jako lichwiarzom, i tem zaskarbić sobie względy słuchaczy, którzy według wszelkiego prawdopodobieństwa, także nie należeli do przyjaciół narodu izraelskiego.

Niktby nie dał wiary, jaka to przyjemność być czasem dukatem, o którym każdy myśli, że on nie nie widzi, nie nie słyszy, nie nie czuje.

Ile to rzeczy taki jeden dukat może podpatrzeć!

Gdyby hrabia Guccio przeczuwał był wtedy, że dukat będący jego własnością opowie kiedyś epizody z jego życia, które przejdą do powszechnej wiadomości, nie byłby przed udaniem się na zgro-

madzenie tak starannie do zwierciadła układał swojej twarzy, nie byłby się głośno sam przed sobą popisował frazesami krasomówczemi, nie byłby nakoniec robił wyciągów z kilku książek, które aż po ten dzień leżały nietknięte w głębi szafy starożytnej, nazywającej się biblioteką.

Tak więc mój właściciel wyszedł z domu, z zasobem erudycji, jaką żaden z członków „towarzystwa“ nie byłby się poszczycił.

Zgromadzenie było liczne. W dość obszer-
nym pokoju siedziało kilkadziesiąt osób różnego wieku i stanu. Mimo że posiedzenie było już rozpoczęte, na widok wchodzącego hrabiego wszyscy powstali. Każdy cisnął się do nowego gościa, aby mu się przedstawić; każdy uśmiechał się czule gdy mu hrabia rękę ścisnął. Największą uniżonością odznaczali się panowie mieszczańscy i adwokaci — najmniejszą właściciele ziemscy i literaci. Ci drudzy byli grzeczni lecz nie serwilistycznie.

Gdy wszyscy dawne miejsca zajęli, mężczyzna w średnim wieku, o czole wysokim i rozumem, siedzący w środku za stołem, w te słowa przemówił:

— Panowie! W bardzo ważnej sprawie ośmieliłem się zaprosić dziś panów. Za kilka dni miasto nasze ma wybrać posła na Sejm krajowy. Chociaż nasz obóz zazwyczaj rozbity i niekarzy,

wystąpił dziś zgodnie w obronie swego kandydata, mimo to partja wsteczna, rozporządzająca jak wiadomo potężnymi środkami materialnymi, może łatwo odnieść nad nami zwycięstwo, jeżeli nie znajdziemy poparcia u Izraelitów. Komitet naszego stronnictwa porozumiewał się już z Kahałem i układy tak stoją, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Izraelici pójdą z nami ręką w rękę. Nie nad tem więc w chwili obecnej mamy się zastanawiać, albowiem komitet powinien sam ukończyć dzieło rozpoczęte. Według mego przekonania jeśli kiedy, dziś właśnie największy czas zapytać, dlaczego na Izraelitów żyjących na naszej ziemi nie zawsze liczyć możemy; dlaczego nieraz stają oni przeciw nam wrogo, i dlaczego nie uważają się za synów tej ziemi, która ich przytuliła i żywi. Potem zastanowimy się, jakie należy przedsięwziąć środki, abyśmy przecie raz rozwiązali sprawę żydowską, która bądź co bądź jest najstraszliwszą chorobą niszczącą nasz organizm narodowy. Pragnąc by dyskusja, o ile to zresztą możliwe, była wyczerpującą, uprosiłem doktora Mośesa, kandydata na rabina, męża znanego z poglądów bezstronnych i prawości charakteru, aby światłą swoją radą wsparł naszą pracę. A teraz mam zaszczyt przedstawić go szanownemu zgromadzeniu.

Po tych słowach Dr. Moses, mężczyzna około lat trzydziestu, powstał i z godnością skłonił się obecnym. Każdy ciekawie spojrział na przyszłego rabina, a hrabia Guccio uśmiechnawszy się ironicznie, wyjął chusteczkę naperfumowaną i do nosa ją przyłożył.

— Szanowni obywatele i wielmożni panowie! — zawołał basem przedmieszczanin w kapocie, o kilka kroków naprzód postępując. — Jak Boga kocham nie rozumiem, nad czym my tu sobie mamy długo głowę łamać. Jak ja widzę moim prostym, mieszczzańskim rozumem, to tego żydostwa tyle jest już u nas, że nie sposób wdać się z nimi w jakiegokolwiek układy. Ta ci to panie mnożą się nieprzymierzając jak króliki. Chłopów rozpijają, mieszczan niszczą, obywateli na wsi rujnują i sami chcą być panami. Strach jak oni męczą chrześcian! Znałem tu jednego urzędnika bardzo porządnego, nazywał się pan Żerbek. W wielkiej potrzebie zapożyczył się u żyda, ale lichwiarz psia wiara zmusił go, że na wekslu podpisał swego prezydenta. Nieszczęśliwy człowiek tak się tem zgryzł, że dostał pomieszania zmysłów... Odwieźli go do warjatów... Tak dłużej trwać nie może! Kiedy nie chcą ochrzcić się i zostać dobrymi katolikami jak Bóg przykazał, to

trzeba tak z nimi postąpić żeby ich na nasienie nie zostało.

Biedny Żerbek! — pomyślałem.

Po tem przemówieniu wszczął się gwar piekielny. Jedni protestowali, drudzy bili brawa. Kilkanaście osób żądało głosu, a przewodniczący ciągle dzwonił wołając: Ucisze się panowie! Na koniec gdy porządek zapanował, przewodniczący rzekł:

— Pan hrabia ma głos.

Mój piękny właściciel, ktoby się tego spodziewał! powstał, a włożywszy lekceważąco jedną rękę do kieszeni, przemówił w te słowa:

— Środek proponowany przez mowę poprzedniego wydaje mi się zbyt radykalnym i dla tego żadną miarą nie mogłbym się nań zgodzić. Gdybyśmy na tej drodze chcieli pozbyć się żydowstwa, co by na to wysoki rząd powiedział, co ościenne mocarstwa? Taki krok byłby niebezpiecznym, bo niepolitycznym. Według mego przekonania, najlepiej postąpimy, jeżeli ich z kraju wypędzimy. Myśl to nie nowa, urodziła się ona w Warszawie w roku 1818, i była odpowiedzią na broszurę generała K. wydaną tegoż samego roku pod napisem: *Apercu sur les Juifs de Pologne*. Jeżeli wtedy nie weszła w życie, to jest, jeżeli wtedy nie wypędzono żydów na granicę Wielkiej Tartarji, jak tego chciał jej

twórcą, pytam panów, czemubysmy jej nie mieli dziś podnieść i urzeczywistnić?

Wystąpienie mego właściciela na chwilę tak wszystkim zaimponowało, że dość czasu minęło, zanim dały się słyszeć nowe głosy :

— Niepraktyczna! Zniszczyć ich walką ekonomiczną! Odebrać im sposób do życia!

— Ochrześć! — wołali drudzy.

— Wyciąć! — wtórowali inni.

— Ma raeję hrabia — twierdzili ostatni. —

Wypędzić! Wypędzić!

Dr. Moses, który słuchał z oczyma w dół spuszczone, a z widocznym umysłu skupieniem, nagle powstał o głos prosząc.

— Czcigodni panowie! — przemówił spokojnie, czysto po polsku. — Chociaż wśród ogólnego zamieszania i namiętych krzyków nie powinienem może głosu zabierać, uczynię to jednak dlatego, że w czcigodnym tem zgromadzeniu tylko ja jeden jestem żydem. Nauczywszy się szanować cudze przekonania, nie wątpię, że i moje będą przez panów szanowane... Mówicie panowie, że ponieważ w Polsce żydów jest za wiele, więc albo ich trzeba w pień wyciąć, albo wypędzić, albo ochrześć albo złamać walką ekonomiczną. Co do pierwszego twierdzenia uważam je za całkiem słuszne, lecz za to co do środków zaradczych, któreście

panowie do tej chwili zaproponowali, o tych muszę powiedzieć, że jedne z nich są niemożliwe, drugie niepraktyczne. Nie przeczę, że ten wielki król, który nam w Polsce swobodny pobyt zapewnił, zawiódł się w swoich obliczeniach, myśląc, że z nas zrobi zdrowy stan średni, którego Polska tak potrzebowała i dziś jeszcze potrzebuje; ale zdaniem mojem ani on nie winien, ani my. On nie winien, bo nie znał wszechstronnie charakteru żydów, ani ich organizacji — my, bośmy chcieli zachować naszą odrębność plemienną. A któż z plemię panowie wyrzeka się dobrowolnie swoich właściwości? Jeżeli na kim ciąży odpowiedzialność za zło, które jeszcze dziś widzimy, to chyba na tych, którzy przez ciąg długich wieków kierowali nawą państwa. Czemu ci nie zajmowali się reformą żydów, czemu nie zmuszali nas do ustępstw na korzyść całego narodu? Lecz nie bierzmy i im za zło! Wszak oni samych siebie zgubili, bo się sami nie organizowali... Mówicie panowie, żeby żydów wypędzić... to chyba żart! W Polsce jest nas półtora miljona, w samej Galicji przeszło pół miljona. Czy taką masę można wypędzić w drugiej połowie dziewiętnastego wieku? Któż państwo dałoby nam przytułek, które zresztą pozwoliłoby nam choćby przejść przez swoje terytorjum? Rozumiabym jeszcze, gdyby myśl taka powstała w Polsce

niepodległej, mającej byt polityczny, ale czy można ją podnosić dziś, gdy Polska rozewiertowana nie rozporządza wolnością ani jednego człowieka, mieszkającego na jej ziemi? Słyszałem głosy, że sprawa żydowska wtedy skutecznie będzie rozwiązana, gdy nas w pień wytniecie. Środek to bardzo radykalny, ale niemożliwy i niepraktyczny. Niemożliwy, bo takiej masy nikt jeszcze nie wymordował, zwłaszcza że wszystkie rządy ze swemi armjami sprzeciwiłyby się temu; a niepraktyczny, bo mordowanie żydów naszej sprawy nigdzie nie rozwiązało. W Spirze, Wormacji, Moguncji, zabijano nas bez litości. W roku 1096 w samej Moguncji wymordowano 14.000; w r. 1349 spalono w Strassburgu przeszło 2000, a ile żydów zginęło w Hiszpanji, Portugalji, nawet w Czechach, tego nikt nie zliczy. Czy jednak ta rzeź rozwiązała sprawę żydowską w owych krajach? Nie panowie! Żydzi są wszędzie jak byli, a jeżeli tam nie tworzą państwa w państwie, przyczyniły się do tego zupełnie inne okoliczności, o których przy sposobności nie omieszkam pomówić. Utrzymujecie dalej, że najlepiej się stanie, jeżeli nas zwalcycie na polu ekonomicznem, to jest gdy nam odbierzecie możność wyżywienia się na waszej ziemi. Uczynicie to panowie, a postawicie sobie pomnik, jakiego w historii jeszcze nie było. Ale czyście rozważyli, że

żyd aby wyżyć, potrzebuje zarobić tylko kilka groszy, które dla każdego z was są niczem, bo wymagania waszej rasy są zupełnie inne; że zaspokajając się małym zarobkiem, gdy kupuje lepiej płaci, a taniej od was sprzedaje; że od wieków przyzwyczajony do handlu, ze zmysłem doń potrzebnym już na świat przychodzi, gdy tymczasem wy, wychowani w tradycjach rycersko-rolnych, jeszcze dziś na kupców krzywem patrzycie okiem? Słyszałem tu także uwagę, że najlepiej się stanie, jeżeli nas do przyjęcia chrztu zmusicie. Nie wiem czy wszystkim panom wiadomo, że z końcem ubiegłego stulecia, znalazł się między żydami polskimi reformator, nazwiskiem Józef Jakób Frank, człowiek wielkiego serca i wielkiego rozumu, który przez chrzest postanowił wcielić swoich współwyznawców w organizm narodowy. Jakież atoli tej reformy były następstwa? Oto zwolennicy Franka wyrzuceni ze swojej gminy, nie zostali przez Polaków tak przyjęci, jak się tego spodziewali... W „Liście przyjaciela Polaka“ wydanym 1790 roku, znajdziecie panowie te słowa, odnoszące się do Frankistów: „Żyd szalbierz, dla pokrycia kradzieży przemienił się tylko w żyda kontuszowego, aby mógł skryciej szkodzić mniej bacznym i tem zgubniej na sprawy kraju oddziaływać“ — Włodek zaś w dziełku „O naukach wyzwolonych“ wydanem w Rzymie

1780 roku mówi: „że żyd polski chrzczony, a wilk chowany, to jedno“. Tak moi panowie przyjmowano Frankistów, dopóki w końcu jego samego z kraju nie wydano, posądzając go najniesłuszniej o zgubne działanie dla Polski... Od śmierci Franka świat na szczęście tak postąpił w cywilizacji, że już przestano rozróżniać narodowości według religii. W Polsce mieszkają przecie ormianie, szymatycy, kalwini, lutrzy, nawet mahometanie, a czyż nie są oni tak samo dobrymi Polakami jak rzymscy katolicy? Nie wątpię także panowie, że gdyby was dziś zapytano, kogo wolicie, żyda czy przechrztę, bez wahania oświadczylibyście się za pierwszym. Niech każdy żyje i umiera w religii, w której się urodził i wychował. Jeden z naszych wielkich rabinów tak raz powiedział: Wiara, to wielka orkiestra, która Bogu przygrywa; religje zaś to pojedyncze instrumenta, które orkiestrę składają. Jak niemiłą byłaby dla ludzkiego ucha orkiestra złożona z samych trąb, skrzypców lub fletów, tak monotonna byłaby dla Boga wiara, gdyby na całym świecie miała tylko jedną formę. Lecz jak orkiestra dopiero wtedy jest dobrą, gdy wszystkie instrumenta są dobrze nastrojone, tak i religje wtedy są Bogu miłe, gdy mają dobry nastrój moralny... Wy wierzycie w Boga i nieśmiertelność — my także w to wierzymy. Wasza uczy: nie czyń

drugiemu co tobie niemiłe — nasza tę samą zasadę wypowiada. O cóż więc idzie? W Talmudzie są wprawdzie błędy, lecz Talmud to nie zakon Mojżesza!

Tu młody rabin przerwał. Mimo że długo mówił, zgromadzeni słuchali go z uwagą natężoną. Jeden tylko mieszczanin, który pierwszy głos zabierał, kręcił się coś na swoim krześle, a gdy mowca skończył, korzystając zaraz ze sposobności powstał i rzekł:

— Pan rabin tyle nam tu nagadał, żeby tego człowiek nie spisał nawet na skórze wołowej. Ja tam nie uczony, na historii się nie znam, a chociaż możebym się już i zgodził, żeby ci żydzi zostali, kiedy inaczej być nie może, to przecie raz jeszcze powtarzam, że coś koniecznie trzeba z nimi zrobić, bo to panie niszczą człowieka lichwą, rozpijają chłopą, wykupują grunta i mieszczan z torbami puszczają. Tak dłużej być nie może, my musimy z nimi zrobić jakiś porządek!

— W tym względzie z szanownym mowcą zgadzam się najzupełniej — odpowiedział Dr. Moses — i radbym, by ten porządek już jutro stał się rzeczywistością. Nie sądźcie atoli panowie, że reformując żydów, już tem samem wyleczycie rozmaite choroby, których według waszego przekonania tylko oni są sprawcami. Bynajmniej! Refor-

mujać nas, reformujcie także siebie. Nie dlatego tylko jest lichwa w Polsce, którą i ja potępiam, że są żydzi, ale dlatego, że Polacy są tacy a nie inni. Nie będą żydzi lichwiarze, będą u was Niemcy lichwiarze. Czemu na Zachodzie, gdzie lud jest pracowity i oszczędny, gdzie ma tysiące przystępnych instytucyj finansowych, lichwa tak nie kwitnie jak u nas? Czemu tu wieśniak połowę roku obraca na święta i odpusty, na których pije, a w drugiej połowie czemu pracuje tylko kilka godzin dziennie i to jak za napaść? Czemu tu kupiec otwierający sklep najczęściej pożyczonemi pieniędzmi, lub bardzo małym własnym kapitałem, chce zaraz tak żyć jak ten, który dorobił się już tysięcy? Czemu moi panowie żony biednych urzędników muszą koniecznie chodzić w jedwabiach, atłasach i aksamitach? Czemu właściciel małej wioski chce dorównać magnatowi, a rzemieślnik czemu traci wszystko w jedną niedzielę co zarobił przez cały tydzień? Zróbcie naród więcej pracowitym; wykorzenieńcie zeń wrodzone lenistwo; odzwyczajcie go od zbytku, który tam tylko jest naturalnym, gdzie jest wielkie bogactwo; załóżcie tyle instytucyj finansowych, ile jest wsi i miasteczek; załóżcie przynajmniej tyle domów zastawniczych, pożyczających na każdą rzecz, choćby najmniej wartościową, a za małemi odsetkami, ile jest powiatów;

a przekonacie się, że lichwiarze oglądają się za innym zarobkiem. Ustawy przeciw lichwie nie tu nie pomogą, bo każdą ustawę, zwłaszcza austriacką, wyśmienicie można obejść. Czy nie wstyd panowie, że Lwów, miasto stutysięczne, nie ma ani jednego domu zastawniczego, pożyczającego na rzecz każdą? Założenie takiego domu nie wiele wymaga pieniędzy, a mimo to dopuszczacie, że cała warstwa robocza zastawia się tu u żydów, którzy ją wyyskują.

— Przepraszam, że przerywam — zawołał jeden ze słuchających — już dość długo mówimy, a do tej chwili nie przyszedliśmy do żadnego wniosku praktycznego.

— Jeszcze słowo — wtrącił hrabia Guccio. — Szanowny pan Moses zechce mi powiedzieć, dlaczego żydzi nie myślą sami o swojej reformie, tylko czekają aż my się nią zajmimy. Zdaniem mojem powinnyby to uczynić, choćby wywdzięczając się za przytułek, który znaleźli w Polsce, gdy ich wszędzie prześladowano.

— Pan hrabia pozwoli — odparł żyd — że na pierwszą połowę jego zapytania odpowiem odwołaniem się do tego, com nadmienił o Frankistach. Myśmy chcieli reformy — ale nas odepchnięto. Jeżeliśmy usiłowań reformatorskich często nie powtarzali, pochodziło to ztąd, że jesteśmy ludzmi ..

Człowiek wtedy tylko ustępuje, gdy musi; my zaś silni naszą organizacją nie byliśmy nigdy do ustępstw zmuszani. Co do wdzięczności, o której wspomniał pan hrabia, na nią odpowiem krótką historyjkę: Przed pięciuset laty sąsiadowali dwaj rycerze, z których jeden nazywał się Adam, drugi Bolesław. W groźnym wypadku pan Adam ocalił życie swemu sąsiadowi, za co nietylko sam pan Bolesław był mu wdzięcznym, lecz także jego synowie i wnuki. Dłuższy czas pamięć szlachetnego czynu żywo się utrzymywała, ale potem nastąpiły kwasy sąsiedzkie, rozpoczęły się procesy graniczne, targi familijne, a dziś na tem już stanęło, że potomkowie pana Bolesława nienawidzą potomków pana Adama. Czy przyszło komu na myśl, żądać teraz od nich wdzięczności za czyn, który przed wiekami zachował życie ich protoplaście? Jeżeli takiej wdzięczności nie można domagać się od człowieka pojedynczego, jak możemy jej żądać od całego plemienia? Historyczna wdzięczność panowie, to sentymentalizm, niemożliwy do urzeczywistnienia, bo ani państwa, ani narody, ani plemiona, nie kierują się polityką sentymentalną. One mogą łączyć się z sobą i wzajemnie wspierać tylko wtedy, gdy im to nakazuje wspólny interes.

— A Polska — zauważył ktoś ze słuchają-

nych — nie kierowała się w polityce nigdy własnym interesem.

— I dlatego upadła — odparł żyd spokojnie.

— Jeżeli szanowny mowca tak twierdzi — przemówił Gucio — to nie pozostaje nam nic innego, jak wprowadzić w życie projekt Andrzeja Zamojskiego, podany do zatwierdzenia sejmu w r. 1778. Znakomity kanclerz żądał w nim, aby Żydzi mieszkali w osobnych dzielnicach, aby się tylko tacy żenili, którzy mają pewny sposób do życia i krajowi korzyść przynoszą, nareszcie aby każdy żyd wykazał się, że posiada przynajmniej 1000 złp. majątku i bądź umiał rzemiosło, bądź ziemię uprawiał. Żyd, któryby nie dopełnił tych warunków, miał być z kraju wypędzonym. Oto według mego przekonania najlepsza reforma.

Mój właściciel przestał mówić i dumny ze swej erudycji, która kilku słuchaczów w zdumienie wprowadziła, usiadł, czekając odpowiedzi. Sąsiad nasz najbliższy, jakiś szlachcic otyły i szpakowaty, szepnął tymczasem do ucha pięknemu Guciovi:

— Pan hrabia ślicznie mówisz, jakbyś mi z pod serca wyjął. Ale panie hrabio dobrodzieju, na co się to wszystko zdało? My czas marnie tracimy, bo żyd zawsze żydem zostanie, a tu już dziesiąta i człowiek gotów nigdzie nie dostać ko-

lacji. Jaby m myślał, żebyśmy cichaczem się wynieśli... oni i bez nas skończą na niczem.

Hrabia nie miał czasu przemówić, bo właśnie powstał Dr. Moses, aby odpowiedzieć w te słowa :

— Na początku naszego posiedzenia, słysząc wnioski, z których żaden nie był praktycznym, zacząłem się już lękać, ażali dyskusja nie stanie się nadto polemiczną i nie spełźnie na niczem. Na szczęście wniosek pana hrabiego wprowadził ją na drogę praktyczną. Wprawdzie to, czego żądał kanclerz Andrzej Zamojski, nie odpowiada dzisiejszym stosunkom, ale zawsze w projekcie jego tkwiła wielka myśl, na którą radbym zwrócić uwagę panów. Zamojski żył w czasach przedrewolucyjnych, więc nie dziw, że żądał osobnych dzielnic dla żydów. Poglądy postępowe były mu jeszcze obce, więc nie dziwię się, że nie wiedział, iż osobne dzielnice odrywały najbardziej gminy żydowskie od społeczeństwa polskiego... Ale powiedział on także, że ci żydzi, którzy dopełnią pewnych obowiązków, zostaną uznani za obywatele kraju. W tej drugiej połowie jego wniosku tkwi zatem myśl przelania żywiołu żydowskiego w organizm polski. Jeżeli panowie postąpiwszy o krok dalej uważnie zastanowicie się nad tem, czego na Sejmie Czteroletnim domagali się poseł Butrymowicz

i kasztelan Jezierski ; jeżeli następnie roztrząśnienie wnioski Kołłątaja, Staszica i kilku innych myślicieli, między którymi miał być także sam król Stanisław August, choć to zresztą fakt wcale nie udowodniony ; to bez wątpienia przyznacie razem ze mną, że sprawa żydowska może być rozwiązana tylko na podstawie przelania nas w organizm narodowy. Nie prześladowaniem, które jest barbarzynstwem, nie wypędzaniem, które do niczego nie wie dzie, nie chrztem, któryby w nas obudził fanatyzm, nie odwoływaniem się do wdzięczności, które jest sentymentalnem, nakoniec nie walką ekonomiczną, której się nie boimy, lecz spolszczeniem nas rozwiązacie sprawę żydowską. Tak ją rozwiązały narody prawdziwie cywilizowane. jak Anglja i Francja.

— Piękny projekt — zawołał przedmieszczanin. — Spolszczyć ! jak gdyby to was można spolszczyć. Przecie wy ciągniecie za Niemcami.

— Nie przeczę — odparł rabin — a wiecie panowie dlaczego ? Oto rząd, który rozporządza waszemi i naszemi losami wabi nas ku sobie... A wieśniacy wasi czy oni nie ciągną za rządem niemieckim ? A bracia nasi w Królestwie polkiem czemu nie ciągną za rządem rossyjskim ? Rząd chcąc was rozbić, siły kraju dwoi, lecz czy się nie zawiedzie w swoich obliczeniach, czy zamiast

na tem zarobić sam nie straci, przyszłość to dopiero okaże... Skorzystajcie jednak dobrze ze środków, jakimi już dziś rozporządzacie; w braku siły fizycznej, którą będziecie mieli dopiero w ojczyźnie niepodległej, wyróbcie w sobie siłę intelektualną; odbierzcie nam język niemiecki i wstrząśnijcie naszą odrębność, a przekonacie się że pójdziemy za wami.

— Wszystko to piękne, — dał się słyszeć głos z pod okna — lecz gdzie środki wiodące do celu?

— Moi panowie — kończył p. Moses — jako żyd nie mogę powiedzieć więcej... Zdaje mi się, że dyskusja weszła już na tory właściwe. Wyście tu panami, nie my, głos ostateczny do was przeto należy. Nam dobrze z naszą odrębnością, ale wam źle... wy zatem powinniście sami postanowić, my zaś zmuszeni wykonamy. Skończyłem.

W sali wszczął się gwar, bo nikt nie wiedział z czem teraz wystąpić i czego żądać. Najgłośniej domagano się odroczenia, z czego obok siedzący szlachcic skorzystawszy, wyniósł się cichaczem, aby więcej nie wrócić. Kolacyjka to nie drobnostka! Kto wie czy odroczenie nie byłoby w rzeczy samej przyszło do skutku, gdyby na środek nie wystąpił był jakiś chudy i nikły człowieczek, na którego nikt dotąd uwagi nie zwrócił. Był

on skromnie ubrany, nieco zgarbiony, i na pierwszy rzut oka niktby był nie przypuścił, że on może coś wiedzieć i chcieć! Zaledwie jednak usta otworzył, z samej intonacji głosu każdy poznał, że ten człowiek nie należy do pospolitych. Szczególnie oko jego było głębokie, przeszywające :

— Panowie! — przemówił z takim naciskiem, że tem jednym słowem całą salę uspokoił; — szanowny doktor Moses tak wszechstronnie pod względem teoretycznym wyświecił sprawę, nad którą się zastanawiamy, że nie wiele dodam do jego wywodów, poczem przejdę na pole praktyczne, stawiając wnioski, które zdaniem mojem przyczynią się niewątpliwie jeżeli nie do ostatecznego rozwiązania kwestji żydowskiej, bo na to wiekowej pracy potrzeba, to przynajmniej do stworzenia znośniejszych stosunków. Złe zrobili nasi praojcowie, że nie znając żydów pozwolili im osiedlać się w Polsce; gorzej, że nie uwzględniając ustroju państwowego i charakteru narodu zmusili ich do ujęcia w swoje ręce drobnego handlu, którym żydzi jak siecią owinęli całe społeczeństwo; najgorzej zaś, że aż do Sejmu Czteroletniego nie pomyśleli nigdy o radykalnej reformie tego plemienia. Ale skargi na przeszłość na co się dziś zdadzą? Znając błędy, które ona

popęłniła, starajmy się ich teraz uniknąć... My żyjemy dla terażniejszości i przyszłości... Z ubiegłej przeszłości zbierzmy więc tylko doświadczenia. Polska padając, zostawiła wiele spraw nierozwiązanych, bo padła właśnie w chwili, gdy wszystkie państwa europejskie zaczęły organizować się na nowych podstawach stworzonych przez wielką Rewolucję. Do tych spraw należała także reforma żydów, w bardzo wielu państwach nazywających się cywilizowanymi, załatwiona i to częściowo, dopiero na początku bieżącego stulecia.

Rządy, które Polskę rozebrały, powinny były załatwić sprawę żydowską, bo jak słuszną jest rzeczą, aby człowiek obejmujący po kimś majątek, brał nie tylko dochody dawnego właściciela, lecz także płacił jego długi; tak niemniej sprawiedliwym jest żądanie każdego narodu, który dostanie się pod obce panowanie, by nowy rząd brał od niego nie tylko podatki i żołnierzy, lecz aby także polepszał i urządzał jego stosunki.

Rossja i Prusy uczyniły przynajmniej coś w kwestji żydowskiej, choć pewnie nie tyle z przyjaźni dla nas, co w dobrze zrozumianym interesie własnym, i tam nie jest już ona zbyt piękną—lecz co uczyniła Austria? Jak w Galicji, nie... Patenta, wydawane przez cesarza Józefa II. były we wszystkich prowincjach austriackich sumiennie

wykonywane, tylko nie w Galicji, bo jak słusznie zauważał doktor Moses, Austrii nie zależało nigdy na wzmocnieniu żywiołu polskiego. Nie koniec na tem. Chociaż reforma żydów galicyjskich o krok jeszcze nie postąpiła, mimo to równouprawnionych najzupełniej. Równouprawnienie, jako zgodne z wymaganiami dzisiejszej cywilizacji, piękną jest rzeczą w zasadzie, jednakże pożyteczną będzie ono dopiero wtedy, gdy wpraw pod swoją siebę humanitarną znajdzie ziemię dostatecznie przygotowaną. Jana Jakóba Rousseau nikt z pewnością o wsteczne zasady nie posądzi, a przecież gdy go nasi politycy zapytali, czy dobrze jest usamowolnić w Polsce włościanina, odpowiedział, że „wprzód należy uczynić go godnym wolności i tak usamowolnić, by pan miał ztąd zaszczyt i korzyść“. Tą samą zasadą powinien się być kierować rząd austriacki przystępując do równouprawnienia żydów galicyjskich. Tymczasem on zrobił inaczej. Zamiast korzyści, mamy stratę, żyd bowiem otrzymawszy tak łatwo wszystko, jest dziś trudniejszym do ustępstw niż kiedykolwiek. Znałem dwóch młodych ludzi, z których jeden był silny a drugi chorowity; obadwa uskarżali się dłuższy czas na ból głowy. Wezwany lekarz kazał obudwom krwi upuścić; silnemu polepszyło się trochę, chorowity umarł. Tym lekarzem jest Austrija. Każdą

ze swoich ustaw narzuciła nam, nie uwzględniając ani właściwości naszego charakteru, ani naszych stosunków. Rząd krakowski liczył się więcej z miejscowemi stosunkami i dla tego sprawa żydowska zaczęła tam już wchodzić na zdrowe tory, wszelako po wcieleniu Krakowa do cesarstwa, biurokraci wiedeńscy znowu wszystko popsuli. Wyświeciwszy, komu właściwie zawdzięczamy, że w żydzie mamy wroga nie zaś przyjaciela, złego sąsiada a nie członka rodziny, zapytuję teraz czy powinniśmy poprzestać na samem stwierdzeniu tego faktu? Nie panowie! Poznanie choroby i przyczyn, jakie ją wywołały, nie jest jeszcze wszystkiem... nam potrzeba na nią lekarstwa.

Tu mówiący przerwał, okiem spokojnem a badawczem powiódł do koła, a potem tak dalej mówił:

— Rzuciwszy panowie zasłonę na przeszłość, pomyślmy teraz o jutrze. Wszyscy wiemy, że na obszarach dawnych ziem polskich, ludność żydowska wzmaga się przerażająco, że nas wypiera ze wszystkich stanowisk, słowem że nam grozi zupełnem zalaniem. W skutek tego wzrostu, kwestja żydowska nie jest nigdzie tak piekącą jak u nas; lecz właśnie dlatego, że jest tak piekącą, nikt inny tylko my powinniśmy ją ująć ze strony właściwej, i jeżeli nie zupełnie rozwiązać, boć to

rzecz nie łatwa, przynajmniej wytyczyć drogę wiodącą do rozwiązania. Anglja dała rządy rozumne, Francja prawa człowieka — Włochy sztukę — Niemcy Reformację — Polska niech zrobi żydów pożytecznymi członkami społeczeństwa, a tym jednym czynem tak zasłuży się około dobra powszechnego, jak każdy z owych narodów cywilizowanych, o których wspomniałem. Dyskusja dzisiejsza doprowadziła nareszcie do tego, że jednomyślnie zgadzamy się na zasadę, że stosując się do warunków w jakich się znajdujemy, sprawę żydowską można u nas zrobić łagodniejszą tylko przez zarządzenie takich środków, któreby żydów zbliżyły do narodu. Oto jedyna droga wskazana nam przez myślicieli z czasów Sejmu Czteroletniego, oto jedyny punkt, z którego możemy patrzeć na tę sprawę piekącą. Idzie teraz o środki,

Gdybyśmy byli państwem niepodległym, urządzającem się na podstawie własnych ustaw, oświadczyłbym się za środkami bardzo radykalnemi i poszedłbym może jeszcze dalej jak Stanisław Staszic, który z wszystkich pisarzy najlepiej żydom się przypatrzył; ale ponieważ jesteśmy nieestety częścią obcego państwa, które własne ustawy u nas wprowadziwszy, przedwczesnie równouprawniło żydów galicyjskich, przeto rad nie rad muszę szukać takich tylko środków, które dadzą się pomie-

ścić w ramach konstytucji austriackiej. Najpotrzebniejszym i niewątpliwie skutecznym środkiem jest zupełne i energiczne zniesienie teraźniejszych Kahałów, które jako korporacje samodzielne i szczelnie w sobie zamknięte, przy pomocy Talmudu robią z żydów naród w narodzie, państwo w państwie. Kahał jako władza konspiracyjna przeciw wszystkiemu co nie żydowskie, jako władza socjalno-polityczna, nietolerowana w żadnym innym wyznaniu, nie jest konstytucyjną. Drugim środkiem będzie ustawa o rabinach. Zdaniem mojem tylko ten może zostać rabinem, kto skończył uniwersytet krajowy i otrzymał na nim doktorat filozofji. Stopień akademicki jest dla rabina dlatego potrzebniejszym jak dla duchownego każdego innego wyznania, że rabin mając do czynienia z masą nieoświeconą a sfanatyzowaną, powinien nią zręcznie kierować w duchu współczesnej cywilizacji, by całe jej działanie obracało się na pożytek kraju. Wpływ rabina w gminie żydowskiej jest olbrzymi, głos jego decydujący.

Rabini powinni dostać do pomocy wikariuszów, a prócz spraw czysto religijnych, innemi nie wolno im się zajmować. Rabin i jego pomocnicy niech będą opłacani przez państwo, nie zaś przez gminę żydowską, bo to ich robi od tej gminy zawisłymi. Środkiem trzecim jest wychowanie.

Szkół wyznaniowych, które odrębność przechowują nie uznają za dobre. Szkoły powinny być mieszane, dla żydów i chrześcian, a wszystkie żydowskie szkoły pokątne, zwane *chajderami*, w których małe już dzieci, ogłupiane i maltretowane uczą się nienawiści plemiennej, niezwłocznie należy zamknąć. Jeszcze ważny środek. Wszyscy godzimy się na to, że ludność żydowska wzmaga się olbrzymio, co głównie należy przypisać płodności rasy semickiej i wczesnym małżeństwom. U żydów pobierają się dzieci prawie, z których powstaje pokolenie liczne, lecz równocześnie wątłe. Zło ztąd trojokie: najpierw stają się groźni liczebnie, powtóre wzmaga się proletarjat, który nigdzie nie jest tak okropnym jak właśnie u nich, nakoniec jednostki są słabe, wątłe i dla tego niezdolne do żadnej pracy mozolniejszej, ani do roli, ani do tych rzemiosł, które wymagają sił fizycznych, ani do służby wojskowej. Każde państwo powinno dbać, by jego ludność była zdrową fizycznie i zdolną do wypełniania wszystkich obowiązków, na ogół nałożonych. Każde państwo powinno przestrzegać, by proletarjat zmniejszał się u niego, nie zaś wzmagał. Wychodząc z tego stanowiska, państwo może śmiało rozporządzić, aby żydzi nie pobierali się nigdy przed 24 rokiem, i by żadnemu z nich nie było wolno zawierać ślubów małżeń-

skich przed wykazaniem się poprzedniem, że posiada bądź majątek, bądź rzemiosło, mogące go wyżywić z przyszłą rodziną. Mając dobro kraju na względzie, niech państwo zaprowadzi także obowiązkowe śluby cywilne, które utradniając żydom rozwody, pochodzące najczęściej z braku potomstwa, równocześnie ułatwią łączenie się tych, którzy wolni od przesądów plemiennych zechcą między sobą zawierać związki małżeńskie. Wprawdzie przepisy co do wieku pobierających się były już wydawane, a mimo to zbawiennych nie przyniosły owoców; lecz rozważmy panowie, że nie szły one nigdy w parze ze zniesieniem Kahałów, reformą rabinów i ślubami cywilnemi. Tylko w związku z poprzedniemi środkami mogą one być praktycznie zastosowane. W krótkich słowach wyłuszczyłem panom wszystko, co uważam za niezbędne, a nadczem już dziś powinniśmy pracować. Środków przeze mnie projektowanych nie motywuję obszernie, raz, by dyskusji nie przewlekać, powtóre, że pisano już o nich w rozmaitych językach; nową w szczególności, choć także nie w istocie swojej, jest tu tylko uwaga o rabinach, którą wypowiadam na podstawie spostrzeżeń osobistych i po zasięgnięciu rady światłych Izraelitów; ale ta jest tak jasną, że wszelkie rozwlekanie się nad nią uważam za zbyteczne. Nie sądźcie jednak panowie, bym pro-

ponowane przeze mnie środki uważał za ostatnie słowo w sprawie żydowskiej. Bynajmniej! Wskazałem to jedynie, co w danych warunkach możemy przeprowadzić nie nadwerężając w niczem obowiązującej nas konstytucji, a co bez żadnej wątpliwości korzystne wyda owoce. Nie przeczę, że gdybyśmy mieli rząd własny, domagałbym się dla żydów ustaw wyjątkowych: prócz przepisów już nadmienionych, pozamykałbym także ich drukarnie; zabroniłbym sprowadzać do kraju książki hebrajskie; targnąłbym się na ich ubiór; nie pozwoliłbym im zajmować się wyszynkiem i sprzedażą gorących napojów; utrudniłbym im możność nabywania ziemi, dopóki by się tego godnymi nie stali; a lichwiarzy i kupców oszukujących na mierze i wadze ścigałbym bez litości. Gdyby to wszystko nie pomogło, dla dobra kraju nie wahałbym się pójść jeszcze dalej. Nie mając atoli rządu własnego, domagajmy się od obcego przynajmniej tych rzeczy, które nam dać może i powinien. Przez sejm, rady powiatowe, rady gminne, dziennikarstwo, wszystkie stowarzyszenia, wreszcie przez pojedyncze osoby, żądajmy reformy, wołajmy o reformę, bo inaczej zginiemy! Tylko ślepi nie widzą gangreny, która nas toczy — tylko ludzie złej wiary sprzeciwiają się przyłożeniu żelaza do rany.

Co do żydów jestem pewnym, że światlejsi

między nimi poprą nasze usiłowania, bo i im sprzykrzyła się rola parjów — ogół zaś pójdzie za swymi przewodzcami, jak skoro dowie się od nich, że cierpliwość ludu ma swoje granice i że może przyjść do straszego wybuchu, jeżeli sprawa żydowska nie wejdzie na tory humanitarne.

Tu mowca urwał, a zwracając się do doktora Mosesa, który uważnie weń się wpatrywał, zapytał:

— Panie doktorze, mam ja rację? Zgadzasz się pan ze mną jako prawy syn tej ziemi?

— Słowa pańskie były szczere, żądania sprawiedliwe, więc ze wszystkiemi się zgadzam, i aby czciogodnym panom dać dowód mojej życzliwości dla wspólnej naszej ojczyzny, do wniesionego tu projektu reformy, dodam jeszcze kilka własnych uwag, których dotąd nikt nie wypowiedział. To, czego panowie postanowiliście żądać, jest bez zaprzeczenia bardzo skuteczne, lecz boję się czy właśnie dlatego, że jest skuteczne, będzie wam prędko dane. Wszak by to wzmocniło żywioł polski w Galicji... prócz tego Wiedeń jest dziś nową Jerozolimą. Sądzę że jaśniej nie potrzebuję się tłumaczyć. Mimo to starajcie się, walczyć, ale zanim wywalczycie, zacznijcie pracować sami na polu towarzyskiem. Pole to moi panowie niesłychanie ważne, a jak w Galicji leżące dotąd odłogiem.

Wasi bracia w Królestwie polskiem inaczej je uprawiali, i dla tego już dziś zbierają owoce swej pracy. Nie odtrącajcie żydów pogardą, bo pogarda stokroć bardziej jak wszystko inne różni ludzi między sobą; żyd rozumiejąc podrzędne swoje stanowisko umie być wdzięcznym temu, kto się z nim jak z człowiekiem obchodzi; zamożniejszych i bardziej wykształconych z naszego grona, przyciągnijcie do siebie w kasynie i domu: z żonami i córkami naszymi nie wstyďte się rozmawiać i bawić, a tem stokroć prędzej pozyskacie nas dla siebie jak pieniędzmi. Nie tylko wtedy gdy nas potrzebujecie nazywajcie nas „braćmi Izraelitami“ — nie wysmiewajcie nas gdy źle mówimy po polsku, bo szyderstwo nie zachęca do nauki, lecz zraża. Wpłyńcie na waszych dziennikarzy i autorów by pisząc o nas, obok brzydkich faktów i charakterów, przedstawiali także dodatnie, aby każdy żyd widział jak ci wyglądają, których naśladować powinien a nie oburzał się ciągle, że tylko zdrożności lub śmieszności w nim widziecie; w porozumieniu z bogatszymi Izraelitami załóżcie choć jeden polski dziennik dla żydów, jak to uczynili wasi bracia w Warszawie — i zawiążcie towarzystwo, klub, jakiegokolwiek zresztą ciało, które by stale, bez przerwy czuwając nad sprawą żydowską, pracowało nad jej rozwiązaniem. Nakoniec panowie zwróćcie już dziś

uwagę waszą na rabinów, bo muszę wam powiedzieć, że charakter gmin żydowskich w Galicji jest rabinistyczny, to znaczy, że jakim jest rabin, taką jest jego gmina. Każdy rabin wyjmuje to z Talmudu, co za stosowne uważa, i nie wiem czy w całym kraju jest dziesięciu, którzyby się we wszystkich sprawach jednych i tych samych trzymali przepisów. Rabini jako ludzie są także bądź więcej postępowi bądź bardziej zacofani. Poznacie tych rabinów, o których dziś nawet nie wiecie, gdzie i jak żyją; przy wyborze zaś nowych, dokładajcie starań, by liberalniejsi odnosili zwycięstwo, a upewniam was, że do dziesięciu lat stosunki znacznie się zmienią. Gdy energicznie, z dobrą wiarą i po przyjacielsku zajmiecie się reformą, żydzi ukończą się pierwsi przed wami, bo prawosć charakteru i siła intelektualna najbardziej im imponują, podobliwość zaś towarzyska najłatwiej podbija ich serca. Ale działajcie na litość boską, działajcie!

Po tem przemówieniu nastąpiły gratulacje, uściski, przyrzeczenia, — co widząc byłem pewny, że zaraz nazajutrz wszyscy ci ludzie zajmą się praktycznie sprawą żydowską. Ale cóż chcecie! Posiedzenie skończyło się bardzo późno, trzeba było pójść zaraz na wieczerzę, a gdy tam na pomyślność rychłego związku Polaków z żydami wypito kilkanaście butelek dobrego wina, w śnie który

nastąpił, wszystko utonęło, i rano każdy znużony powstawszy, był znowu człowiekiem „dobrych chęci“ nie zaś mężem działania.

Jaka szkoda, że Galicja ma tylu ludzi miękkiego serca, dobrych chęci, a tak mało działających! Gdyby miała mniej pierwszych, więcej zaś drugich, inaczejby wyglądała!

Piękny Guccio wyszedłszy z posiedzenia udał się do kasyna, gdzie co dzień spędzał kilka godzin bawiąc się po swojemu z równymi sobie.

On szedł, nucąc pod nosem jak według zwyczaju arję, z „Pięknej Heleny“ ja zaś myślałem o tem, com tego dnia słyszał.

Zastanawiali się nad sprawą żydowską, przypatrując się jej ze stron rozmaitych, a jednak do rezultatu praktycznego, w całym znaczeniu tego wyrazu, wcale nie doszli. Snać sprawa to zawiła i nie łatwa do rozwiązania. Wprawdzie wszyscy zgodzili się na jedno, mianowicie, że w danych warunkach trzeba żydów zbliżyć do społeczeństwa, wśród którego żyją, że trzeba ich wcielić w organizm narodowy; ale z tem wszystkim nikt nie ośmielił się twierdzić, by nawet ich spolszczenie całą sprawę ostatecznie rozwiązywało. Do takiego pesymizmu ogół nie przyszedł na drodze myśli i rozumowania — lecz instynktowo.

Wypędzeni z własnego kraju, żydzi rozpro-

szyli się po całym świecie, niosąc z sobą między obce ludy nie nasiona pożywne, ale rozkładające. Ich genjusz wysiliwszy się w dwóch olbrzymich postaciach: Mojżeszu i Chrystusie, nie więcej pożytecznego nie dał ludzkości. Z narodu, który ideę bóstwa jedynego w swoim łonie przechował; który niegdyś tęsknił do swojej ojczyzny, do Jeruzalem; z narodu tego zrobiło się plemię tułaczę, które na wszystkich punktach świata przybrało charakter stowarzyszenia, spekulującego na ludzkie słabości i namiętności. Tak ja Żydów pojmuję.

Nauki u nich nie kwitną, sztuk nie lubią, z wyjątkiem muzyki, która nawet do dzikich przemawia, wielkich zadań społecznych nie rozwiązują — oni wszędzie starają się tylko poznać ludzi wśród których żyją, by przez podsycanie ludzkich słabości i namiętności innych zniszczyć a siebie wzmocnić.

Gdzie ogół leniwy a lekkomyślny i do zbytku skłonny, tam oni szerzą lichwę; gdzie gmin łatwo popada w opilstwo, tam rzucają się na sprzedaż gorących napojów; gdzie możni jeszcze dziś są zabobonni, tam jak w wiekach średnich są astrologami; gdzie obyczaje skażone, tam szerzą prostytutkę; gdzie namiętna gra panuje, tam oni do usług gotowi; gdzie hazardowe spekulacje w modzie — tam Żydzi do nich zachęcają.

Jeszcze raz powtarzam: żydzi nie są narodem na wzór innych, z których każdy coś buduje, oni są stowarzyszeniem kosmopolitycznym, spekulującym na ludzkie słabości i namiętności — stowarzyszeniem, które wszystko rozprzęga. Z tego wypływa, że sprawę żydowską możnaby ostatecznie i pokojowo dopiero, wtedy na świecie rozwiązać, gdyby wszyscy ludzie wyrzekli się w pierw swoich stron słabych. Dopiero wtedy żydzi przestaliby być żydami w dzisiejszem znaczeniu, bo dopiero wtedy przestaliby być sobą.

Co ich takimi zrobiło? Krew azjatycka w której leży chytrość, cheiwość i wytrwałość, obok pozornej obojętności i uległości; Talmud babiloński, który im nadał organizację jednolitą, a który jakkolwiek oszukanstwo grzechem nazywa, zaraz jednak dodaje, że „z błędów popełnionych przez nie-żyda, żydowi wolno korzystać“; rabini, uzupełniacze i komentatorowie Talmudu, którzy dla swego plemienia nie mając żadnej idei przewodniej, a chcąc je czemkolwiek utrzymać w odrębności i zachęcić do iścia na przód, bezustannie mu powtarzają, że panowanie nad ziemią do niego należy; nienawiść, którą do ludzkości za to pałają, że ona odezuwając w nich nasiona rozkładające

organizmy odpłaca im wszędzie pogardą, — nareszcie robi ich takimi fatalizm.

Jak w naturze są potrzebne czynniki rozkładające, do wywołania pewnych procesów i odmian, tak i żydzi przyczyniają się bezwiednie, fatalistycznie do obudzenia z letargu każdego społeczeństwa, którego słabości są jeszcze nadto wielkie i powszechne.

W krajach prawdziwie cywilizowanych, ogół pokonywa swoje słabości nauką i pracą — to też i żydzi nie mają tam dla siebie obszernego pola do działania; gdzie zaś praca mała a nauka jeszcze mniejsza, tam oni groźną stają się potęgą.

Tak niestety jest w Galicji.

Wielką prawdę, choć może mimo woli dr. Moses wypowiedział w tych słowach: „Reformując nas, reformujcie także siebie“. W nich mieści się klucz do zagadki, nazywającej się sprawą żydowską w Galicji. Reformujcie ich w myśl wniosków, określonych przez członka „Towarzystwa ludzi dobrych chęci“ — starajcie się ich pozyskać na polu towarzyskiem w myśl mowy dr. Mosesa, ale równocześnie weźcie się sami energicznie do pracy około roli, handlu, przemysłu i oświaty — a gdy to nastąpi, większa połowa żydów mieszkających dziś w Galicji sama się wy-

niesie, szukając ludów słabszych od was i lekko-
myślniejszych.

Sprawa żydowska, to choroba straszna, która
zabije organizm, jeżeli nie pomyślicie o lekar-
stwach, mogących przynajmniej wstrzymać szerze-
nie się gangreny.

Ale działajcie szybko i wytrwale, bo nieszczę-
sny ten lekarz, który na widok groźnej choroby
opuszcza ręce mówiąc:

Tu nic się nie zrobi!

V.

PASOŻYTY I PIJAWKI.

W kasynie, w którym piękny Gucio tak chętnie przesiadywał, płynęły godziny bardzo wesołe, zwłaszcza w zimie, podczas karnawału, albo w lecie, gdy wyścigi zwabiły do miasta całą śmietankę „towarzystwa“.

Była jedenasta w nocy, gdy pewnego razu hrabia w humorze nieszczerólnym wszedł do tego Eldorado. Zły humor u młodzieńca zwykle tak wesołego, łatwo pojmiecie, jeżeli wam powiem, że w kieszeni miał tylko mnie i pięćdziesiąt guldenów papierowych. Jeden dukat i pięćdziesiąt guldenów, jakże to mało dla młodzieńca tak pięknie rokującego nadzieje.

— Jak się masz Guciu! — przywitał wchodzącego księżę Artur, młodzieniec słusznego wzrostu i pięknie zbudowany, który stojąc nieopodal drzwi, rozmawiał z dwoma panami.

— Jak się masz! — powtórzyli drudzy ścisłkając mu rękę kordjalnie.

— Jak się macie, jak się macie! — odparł mój właściciel — bo co do mnie, mam się jak groch przy drodze.

— Nasz Guccio -- zauważył jeden — szukając popularności, tak się zaczął tą lubą demokracją, nieznoszącą mydła i rękawiczek, że aż używa porównań demokratycznych.

— Pewnie nie ma pieniędzy — wtrącił drugi, poprawiając monokl w oku, aby młodzieńcowi lepiej się przypatrzeć.

— Zgadłeś Stefanie! — potwierdził mój hrabia. — Sam nie wiem z kąd to pochodzi, że ten marny grosz tak mnie się nie trzyma. Od przedwczoraj tysiączka ulotniła się jakby jej nigdy nie było.

— A ile setek z tej tysiączki zgryzły drobne ząbki Julci? — zapytał hr. Stefan. — Widziałem ją wczoraj w teatrze, śliczna dziewczyna, jak Wenus! ale i ząbki ma zdrowe, jak cię kocham, bardzo zdrowe!... Nieboszczyk Stasio mógłby coś o tem powiedzieć.

— Już ja się o Guccio nie boję — rzekł Oleś, którego tak zawsze nazywano, mimo że lat miał przeszło pięćdziesiąt i zmarszczków bez liku, które rozmaitemi masami starannie zakrywał; — Guccio

da sobie radę, on w czepku urodzony! Kto ma taką mamę, nie zginie tak prędko.

— Niech jednak Boga prosi — zauważył Stefcio, młodzieniec o pięć lat starszy od Olesia, który każdego rana tracił dwie godziny na farbowaniu swoich włosów — aby piękna mama za mąż nie wyszła, bo wtedy kochany Guccio mógłby powtórzyć za Marmontelem: *ils sont passés ces jour de fete.*

Obecni zaczęli śmiać się głośno; Guccio usiadł tymczasem przy zielonym stoliku i obojętnie ziewnął kilka razy. Po chwili — obracając się do Artura, który był jego rówieśnikiem i przyjacielem, zapytał:

— Cóż Arturku, zrobimy partję *bezika*? Ani byś uwierzył jak się nudzę.. Może mnie to zerwie.

— Najchętniej.

— Zwycięstwo! — zawołał Oleś. — Przed chwilą namawialiśmy księcia by z nami zagrał, lecz on tak się opierał, że w duchu zacząłem to już przypisywać jego idylicznemu nastrojowi.

Ostatnie słowa Oleś takim wymówił tonem, a skończywszy takie na księcia rzucił spojrzenie, że słuchający w najwyższym stopniu zaciekawieni razem zapytali:

— Nastrój idyliczny?... Jakiż tego powód?

— To tajemnica.

— Dla wszystkich, tylko nie dla nas... powiedz, powiedz Olesiu.

— Nasz kochany ksiązę zakochał się w jakiejś ubogiej szlachciance, i złe języki twierdzą, że się chce żenić... *Honny soit qui mal y pense.*

— W ubogiej szlachciance?

Ksiązę Artur poczerwieniał na twarzy.

— Moi kochani — rzekł spokojnie, rozdrażnienie powstrzymując — czym się zakochał, i czy chce się żenić, to ponoś tylko mnie obchodzi. W każdym atoli razie proszę o szacunek dla osób nieobecnych, zwłaszcza kobiet.

— Ależ nie gniewaj się Arturku! — zawołali chórem przyjaciele — wszak my wiemy że to plotka. Oleś słynie z plotkarstwa.

Tak więc kosztem Olesia, który nie był ani księciem, ani hrabią, tylko bardzo bogatym baronem, ubito sprawę, poczem wszysey na znak zgody zajęli miejsca przy zielonym stoliku. Zaledwie hr. Stefan karty rozdał, jeden z lokajow kasynowych, przyjęty dopiero przed dwoma dniami, skutkiem czego nie znał jeszcze wszystkich gości, zbliżył się z listem do księcia Artura, mówiąc:

— Proszę pana barona.

— Wolał byś mnie kpem nazwać niż baro-

nem — odrzekł książę, oczu od kart nie odrywając.

Gucio i Stefcio parsknęli śmiechem; Oleś z niejakim zakłopotaniem spojrzął po towarzyszach, ale w lot przytomność odzyskując rzucił karty na stół, przyskoczył do Artura, i objąwszy go za szyję zawołał niby wesoło:

— Wybornie Arturku! Dowiej wyśmienity, na honor wyśmienity!

Książę robiąc kwaśną minę, pozwolił się ucałować baronowi, który uszczęśliwiony tą poufałością, usiadł na dawnym miejscu, i z fantazją zaczął grać, nie rozpieczętowawszy nawet listu.

O kilka kroków na prawo siedzieli trzej panowie, cichą zajęci rozmową. Za nimi pod oknem dostrzegłem jakiegoś staruszka, który dłuższy czas czytał jeden z dzienników francuskich leżący na stole; potem zdjął okulary, wsparł się na ręce i odtąd napozór bezmyślnie patrzył przed siebie.

— Jeszcze raz wam powtarzam — mówił mężczyzna słuszny, otyły i łysy, którego głowa była do dyni podobną—że w czasach terażniejszych powinniśmy przedewszystkiem myśleć o robieniu majątków. Wielkie fortuny w naszych rękach, wzmocnią naszą politykę... Czy myślicie, że po wojnie z roku 1866 Węgrzy byliby tak łatwo wszystko osiągnęli,

gdyby nie miliony, któremi rozporządza ich arystokracja? Bądź co bądź pieniądz jest dziś podstawą wszystkiego, a rząd liczy się tylko z bogatym.

— I ja jestem tego samego zdania — potwierdził drugi — i dla tego sprzedałem już pięć folwarków na Podolu.

— Jakto? — zapytał trzeci — więc sprzedaż ziemi nazywasz powiększeniem fortuny?

— Spodziewam się! A cóż mi ta ziemia daje?... nędznych pięć lub sześć od sta, gdy ja natomiast mogę do roku kapitał podwoić, nawet potroić. Wyobraźcie sobie, przed pół rokiem za klucz podolski wzięłem czterykroć, które powierzyłem memu adwokatowi we Wiedniu. Ten zakupił mi *baubanków*, *anglosów*, *vereinsbanków* i innych papierów spekulacyjnych, a chociaż od wygranej ma dobry procent, do dnia dzisiejszego mój kapitał powiększył się o całe sto tysięcy. Niech mi teraz kto powie, czy za pół roku można się tego dorobić choćby na dwudziestu folwarkach.

Słuchający spojrzeli na mówiącego z cichem uwielbieniem.

— *Baubanki* i *tramwaje* — zauważył otyły jegomość — to najlepsze dziś papiery. Na przyszły rok będzie we Wiedniu wystawa powszechna, więc akcje obu tych przedsiębiorstw niesłychanie

pójdą w górę. W chwilowym braku gotówki muszę i ja sprzedać kawałek ziemi aby Niemców rozumu nauczyć. Mogą oni się wzbogacać, możemy i my. Ale — dodał mówiący, zwracając się do swego sąsiada na prawo — co słyhać z twoją koncesją Erazmie?

— Jakbym ją miał w kieszeni. Minister dał mi słowo, że do sześciu tygodni będzie ostatecznie zatwierdzoną. Już dziś dają mi odstępnego ośmdziesiąt tysięcy.

— Slicznie! Ale kto ci tak pomógł... delegacja?

— Kto, delegacja?... mylisz się Włodziu.... Koncesję zawdzięczam własnym zasługom i staraniom, a chociaż niektórzy z naszych delegatów także za nią chodzili, i psuli parkiety w przedpokojach ministrów, czynili to li dla tego, że każdemu z nich przyrzekłem udział w czystych zyskach... cała więc zasługa mnie się należy. A ty co robisz ze swoją koncesją na kolej?

— Będę budował.

— Jednak coś mówią, że ta kolej nie ma przyszłości, że nie będzie na niej ruchu ani osobowego ani towarowego.

Otyły jegomość machnął ręką obojętnie; potem rzekł sąsiadowi na ucho:

— Nie wiedziałem mój Włodziu, że tak

mało rozumiesz się na interesach... co mnie jej przyszłość obchodzi! Najpierw opłacimy się wszystkim dziennikom wpływowym, które za to po całym świecie rozgłoszą, że kolej nasza da każdemu akcjonariuszowi zyski niesłychane; potem sprzedamy akcyj za tyle a tyle milionów, a wybudowawszy kolej, ma się rozumieć jak najtaniej, co Bóg da schowamy do kieszeni. Co zaś do panów akcjonariuszów, ci mogą w końcu nawet boso chodzić, i zamiast lokomotywy sami ciągnąć wagony, bo przyszłość do nich należy... Mam rację? Dla czegoż mielibyśmy być skrupulatniejsi od rządu samego, który na to pozwala. Tylko *pas trop de zèle!*

Staruszek siedzący pod oknem powstał, a w tym samym czasie z pokoju przyległego weszło kilku panów. Towarzystwo zrobiło się teraz liczniejsze i rozmowa głośniejszą.

Gucio ze swymi przyjaciółmi grał zapamiętane, i żaden z nich nie słyszał, o czem o kilka kroków od nich mówiono.

— Nie wiecie kogo Sejm wybierze teraz do delegacji? — zapytał mężczyzna w średnich latach, mający głowę do gruszki podobną, osadzoną na szyi długiej jak amerykańska.

— Najpierw tych, których my zechcemy — odpowiedział otyły jegomość — potem kilku szlachciców ograniczonych, którzy za naszymi pójdą

jak barany, nakoniec jak według zwyczaju kilku księży i chłopów. Na każdy wypadek większość mamy zapewnioną.

Niezwykła radość zapanowała po tych słowach. Wprawdzie sama przyzwoitość nie pozwalała im zdradzać się ze swemi nadziejami, lecz mimo to już z wyrazu oczu każdego, i z uśmiechu igrającego do koła ust, łatwo mogłem się domyśleć, że delegacja Sejnu galicyjskiego miała we Wiedniu zajmować się osobistemi sprawami tych panów. Ten chciał starać się o nową koncesję, tamten postanowił wkręcić syna do dyplomacji, ów marzył dla jedynaka o posadzie w ministerjum spraw wewnętrznych, a inni mieli znowu do załatwienia bądź ważne spory sąsiedzkie, bądź marzyli o orderach, majoratach i koronach hrabiowskich. Biedna Galicjo! jak wzniosłą misję spełniali twoi wybrańcy w wiedeńskiej Radzie państwa!

— A ty jedziesz z delegacją? — zapytał otyły jegomość drugiego sąsiada po lewej ręce.

— Jadę, bom się jeszcze nie wyleczył z mego reumatyzmu.

Kilku stłumionym parsknęło śmiechem; mówiący spojrział dokoła z największem zdumieniem, a wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Coż was tak rozśmieszyło? Przecie nikt odemnie nie będzie żądał, bym się poświęcał na

ołtarzu ojezyzny. Czy nie dość, że się nie usuwam; gdy mnie wybierają? Czy nie dość, że po kilka miesięcy siedzę o stopięćdziesiąt mil od domu, zanedbując własne gospodarstwo? Wszak mówią między nami, prawie każdy po to jeździ, by coś zarobić, a polityka tak mu w głowie jak śnieg zeszłoroczny.... Ja zaś nie rozumiejąc się na spekulacjach, ani tęskniąc do tytułu, który mam oddawna, mogę przynajmniej żądać, by mię kuracja taniej kosztowała. Przed dziesięciu jeszcze laty nabawiłem się piekielnego reumatyzmu, z którego ani wody, ani tutejsi lekarze nie umieli mnie wyleczyć. Gdym pierwszy raz z delegacją pojechał do Wiednia, poznałem tam jednego z dworskich lekarzy, specjalistę od reumatyzmów, który mi pomógł nadspodziewanie. Sprowadzać go do domu nie mogę, bo niemczysko zjadłby mi cały majątek, a że bezczynnie nie potrafiłbym siedzieć we Wiedniu, więc jeżdżę z delegacją i lecę się wyśmienicie. W dzień chodzę na posiedzenia, słucham gdy mnie bawią, wychodzę do bufetu gdy mnie nudzą, a wieczorami jak według zwyczaju grywamy sobie w taroka w hotelu „Britania“. Zresztą i koszt mniejszy, bo diety opłacają mi przynajmniej mieszkanie. Zdaje mi się że w tem nie ma nic śmiesznego.

Przemówienie szanownego delegata było tak

przekonywujące, że wszyscy skłonili głowy i uśmiech nie pojawił się na żadnej twarzy.

— Czytaliście dzisiejsze dzienniki? — zapytał ktoś po chwili — zawzięcie zaczynają napadać na naszą większość w Sejmie.

— Ktoby tam zważał na ich wrzaski! — odparł pogardliwie otyły jegomość, który wiódł rej w zgromadzeniu. — Krzyczą, hałasują, zwyczajnie jak demagogi... zazdroszczą nam majątków, wpływów i stanowisk. Ale właśnie te krzyki powinny by nas zachęcić do tem energiczniejszej obrony zdobytych już pozycyj, bo jak by czerwony internacjonał przyszedł do władzy, mielibyśmy najstraszliwszą komunę.

Jeszcze dość długo rozmawiali o polityce i spekulacjach z nią związanych, a potem przeszli na chow koni angielskich i zbliżające się wyścigi. Temat to był dla wszystkich bardzo ponętny i zrozumiały, to też od tej chwili rozmowa stała się ogólną i dość hałaśliwą. Ten wynosił pod niebiosa konie hrabiego X. tamten wyliczał zalety klaczy, która w roku ubiegłym na torze lwowskim o mało pierwszej nie wzięła nagrody; inni zakładali się o konia, który wkrótce miał się popisywać w jednej ze stolic zagranicznych, a byli i tacy, którzy z dumą mówili o ruinie majątkowej, jaka ich spotkała w skutek trenowania koni i sprowadzania angielskich

dżokejów. Jak wielkie zasługi położyli oni około dobra ojczyzny! W ważnej tej rozmowie młodzi gorący brali udział, póki z kolei nie zwrócono uwagi na kobiety, i stosunki osób nieobecnych. Odtąd głośna dyskusja zmieniała się w szepty.

— Czy prawda — zapytał jeden — że ksiązę Artur zaręczył się z jakąś szlachcianeczką?

— Prawda, prawda — odrzekł dżentelmen z angielskimi bokobrodami.

— Czy choć bogata?

— Jak córka Hioba. Zaledwie może dostać przyzwoitą wyprawę.

— Ależ to skandal!

— Na szczęście jest nadzieja, że z tego nie będzie, bo rozumna matka ani chce o tem słyszeć.

— Dobrze ma... byłby to ohydny mezalians!
C'est plus qu'un crime c'est une faute.

— Gdyby stary ksiązę wstał z grobu, umarł by drugi raz ze wstydu — zauważył głos nowy.

— Wiecie co — wtrącił drugi anglik—gdyby Artur coś podobnego uczynił, ja pierwszy nie podałbym mu ręki.

— Ani ja! ani ja! — potwierdzili bliżej stojący.

— A jednak — rzekł jeden ze starszych — jesteście z przyjaźnią dla hrabiego Y. który po śmierci żony pojął jej garderobianę.

— E! — odparł dandys z angielskimi bokobrodami — hrabiego Y. nikt serjo nie bierze. Wszak mówiąc między nami nawet nie wiemy, kto właściwie jest jego ojcem.

— A wiemy o innych?

— *La recherche de la paternité est interdite entre nous soit dit* — odparł inny dandys, i tem szczęśliwie ubił sprawę, która w dalszym ciągu mogła stać się bardzo drażliwą dla większości zgromadzonych.

— Jak ci się dzieci chowają? — zapytał znowu otyły jegomość delegata cierpiącego na reumatyzm. — Już dawno ich nie widziałem.

— Syn jest w Tarnopolu u Ojców Jezuitów, córka w pensjonacie w Jazłowcu.

— Edukacja dobra?

— Ani bym sobie mógł lepszej życzyć. Chłopiec wyrobił się nadzwyczajnie, jest pełen dystynkcji, z motłochem się nie brata i już dziś godnie nosi swoje nazwisko. Co do córki, biedaczka w początkach trochę przybladła, bo ją męczyły praktyki religijne, lecz powoli do wszystkiego przywykła. Kto ją widział przed rokiem, dziś by jej nie poznał. Z dziewczyny trzpiotowatej, rozpieszczonej, nie mogącej na chwilę oderwać się od matki, zrobiła się panienka poważna, zamysłona, i nawet do domu nie bardzo tęskni... Motłoch wrzesz-

czy na te zakłady, lecz gdyby nie Tarnopol, Jazłowiec i Sacré-coeur, nie mielibyśmy gdzie dzieci umieścić... chyba je trzeba wywozić za granicę.

Właśnie gdy hrabia-delegat ostatnie słowo wymówił, piękny Guccio rozliczywszy się ze swymi towarzyszami, postrzegł, że w niewinnego bezika przegrał pięćdziesiąt pięć guldenów. Wyjąwszy pugilares, rzucił na stół pięćdziesiątkę i mnie, a więc wszystko co miał przy sobie. Wygrywającymi byli Stefcio i Artur. O ile mogłem zauważać, piękny Guccio nie byłby może doznał porażki, gdyby nie jego partner, baron Oleś, który umyślnie tak grę kierował, że tego wieczora musiał coś przegrać do księcia. Wszak luby księżę tak przyjemnie zażartował, gdy lokaj przez omyłkę nazwał go baronem!

— Guccio rozrzuca dukaty! — zawołał Stefcio. — Musiał odkryć nową Kalifornię. Ale do kogo ten dukat będzie należał?

— Rozegramy się o niego — odrzekł księżę.

— Wybornie!

Obadwa wzięli ze stołu po jednej karcie; księżę miał większą. Od tej więc chwili stałem się prawną własnością księcia Artura.

Właśnie gdy to się działo przy zielonym stole, w towarzystwie, które nieopodal rozmawiało,

nastąpiła zmiana, podobna do zamieszania. Wszyscy skupili się dokoła staruszka, który z pod okna zbliżywszy się do obecnych, zaczął coś głośno mówić. Artur podniósł głowę, a zobaczywszy starca, rzekł do Gucia:

— Chodź! Książę Romuald zabrał głos... ręczę że im głowę myje.

Młodzi ludzie szybko pobiegli; za nimi krokiem już wolniejszym zdążali Stefcio i Oleś.

Lokaj przy drzwiach ciekawie głowę naciągnął, żeby choć coś zasłyszeć.

Mówiący miał lat najmniej siedmdziesiąt i włosy białe jak mleko; wszelako rumiana twarz, której rysy przypominały więcej rasę szlachecką niż magnacką, i bystre oko, świadczyły, że dusza jeszcze w nim żyła.

— Choćbyście się gniewali — wołał książę Romuald — raz jeszcze wam powtórzę, że z bardzo małemi wyjątkami, zebrałbym was jak tu jesteście, nabił do armaty i w powietrze wystrzelił. Bo i na co wy właściwie żyjecie, na co? Od pięciu dni przysłuchuję się waszym rozmowom, i aż mi się zimno robi... Samolubstwo, własny interes i zysk, do którego według waszego mniemania każda z dróg wiodących jest uczciwą, oto cel waszego życia... Wstyd moi panowie, wstyd, tak żyją tylko pasażerzy!

— *It is a wise father, that knows his own child*
— szepnął dandys z angielskimi bokobrodami, który słyszał w „towarzystwie“ ze znajomości Szekspira w oryginale.

Księżę usłyszał te słowa. Twarz mu bardziej poczerwieniała, wzrok gniewem zapłonął.

— Znam was — zawołał — prawda że was znam, lecz na szczęście ojcem waszym nie jestem! Za wiele byłoby zaszczytu mój piękny kawalerze! Jeżeli z was który czuje się obrażonym, może wyjść i nie słuchać, ale ja muszę raz wypowiedzieć, co mi na sercu cięży. Gdyby z prawdą wystąpił przed wami jaki człowiek niższy stanowiskiem i majątkiem, jaki demokrat, okrylibyście się zaraz pogardliwą togą mileżenia, i jak oszczercy drzwi byście pokazali; ale jeżeli tę prawdę powie wam księżę, pan z panów, który mitry nie kupił sobie za pieniądze zarobione na żydowskich spekulacjach, jeżeli wam ją powie magnat, skoligacony z domami panujących, który ma więcej niżeli wy wszyscy razem więci, to chcąc nie chcąc musicie go słuchać!

Księżę znał naturę ludzką. Mimo że już z pierwszych słów jego można było wnioskować, iż gorzkiej prawdy nie obwinie w bawełnę, obecni nie rozgniewali się, nie odeszli, botę prawdę wy-

powiadał człowiek, przewyższający ich niezmiernie pod każdym względem.

— Nazywacie się arystokracją, gwiazdami narodu — ciągnął książę — i ja wam tej nazwy nie myślę odbierać. Bądźcie nią do skończenia świata, boć każdy człowiek chce stać wyżej, nie niżej, ale czyście kiedy pomyśleli, czem w każdym narodzie powinna być arystokracja i jakie na niej ciężą obowiązki? Arystokracja, moi panowie, to stan dla tego wyniesiony nad inne, że dla dobra ogólnego największe położył zasługi; jeżeli zatem pragnie i nadal utrzymać się na swoim stanowisku, powinna się bez przerwy zasługiwać. Arystokracja, która o tem zapomina, kończy... wiecie gdzie? Na placu Konkordji. Każdy stan w narodzie ma tylko wtedy rację bytu, gdy pracuje dla dobra powszechnego, a jeżeli który o tem zapomina, oburzone społeczeństwo postępuje z nim jak z członkiem zgangrenowanym, który grozi śmiercią całemu organizmowi.

— Książę bierze rzeczy nadto tragicznie — dał się słyszeć głos z szarego końca — a zapomina, że epoka rewolucji dawno minęła.

— Biorę jak je widzę, mój piękny kawalerze. Słyszałem jakieście tu mówili o arystokracji węgierskiej, która według waszego mniemania samem bogactwem wywalczyła narodowi odrębne

stanowisko. Mylicie się moi panowie! Arystokracja węgierska nie ma o wiele więcej jak galicyjska, ale przedstawiciele tamtej pracowali dla ojczyzny, uważając jej dobro za własne, gdy tymczasem wy patrzycie na kraj jak na owego ptaka z bajki, który choć niekarmiony powinien wam nieść złote jaja. W Anglii, Francji, Szwecji, wreszcie nawet w Rossji arystokracja stoi na czele wszystkich towarzystw dobroczynnych, powołuje do życia najwznioślejsze instytucje, wspiera sztuki, literaturę, nauki, świeci narodowi pracą i zasługą, a wy co dziś robicie, czem dziś świecicie? W najlepszym razie napisze z was który jaką farsę skandaliczną, której uszy przyzwoite słuchać nie mogą, albo da guldena na cele publiczne. Ale za to wy umiecie spekulować na giełdzie, zakładać towarzystwa, które naród rujnują, kłaniać się ministrom, aby kosztem własnej godności dobić się tytułu lub przynajmniej klucza szambelańskiego, drwiecie z najszlachetniejszych wysiłków kraju, ludziom dbającym o dobro powszechne na każdym kroku stawiacie przeszkody, słowem postępujecie niehonorowo. A czy wiecie wy moi panowie, że honor dobrze pojęty, honor na moralności oparty, powinien być pierwszym dogmatem wiary każdego arystokraty?

Księżę nagle urwał, ponieważ mówił tak ener-

gicznie, że mu w piersi tehu zabrakło. Danłys z angielskimi bokobrodami, korzystając z przerwy przysunął się do najbliższej stojącego Stefcia i szepnął mu do ucha:

— Wiesz, stary dostał bzika.

Stefcio uśmiechem potwierdził jego przypuszczenie

— Gorzkie są moje słowa — mówił dalej książkę — ale zaraz je osłodzę, bo usprawiedliwię wasze postępowanie. Nie wyście winni że takimi jesteście, lecz ci, którym swoje istnienie zawdzięczacie.

— Co? co?

— Wszystko wam wyjaśnię, pozwólcie mi tylko dokończyć. Arystokracja jest dwojaka: naturalna i sztuczna. Pierwsza wyrasta z pnia narodowego, bo ma za sobą pracę wiekową i zasługi prawdziwe — drugą stwarzają monarchowie i ich rządy, dla osiągnięcia pewnych z góry obmyślanych celów. Arystokracja naturalna może się czasem zbłąkać, jeżeli zajdzie za daleko w przekonaniach konserwatywnych, ale z tem wszystkiem pamięta ona, że wyszła z narodu i do niego należy. To też świadomie na szkodę kraju ona nigdy nie działa. Arystokracja sztuczna myśli natomiast tylko o sobie, a w najlepszym razie i o tym także, który ją stworzył. Kraj jest dla niej kopalnią złota i

zaszczytów, niczem więcej... Taką smutną arystokrację stworzyły za naszych czasów rządy napoleońskie, w celach dynastycznych; taką tworzą dziś Prusacy, w celach dynastyczno-militarnych; taką stworzyły w Galicji rządy austriackie w celu rozbicia naszych sił narodowych. Patentem z dnia 3. Lipca r. 1775 cesarzowa Marja Teresa zawiadomiła mieszkańców ziem zabranych, że każdy kasztelan, wojewoda i starosta może otrzymać tytuł hrabięgo, urzędnikowi zaś powiatowemu przysługiwało prawo żądania baronostwa. Dla czego to uczynił rząd anstrjaeki, nie trudno zrozumieć. Najpierw szło mu o rozbiecie jednościi szlacheckiej, która bądź co bądź była groźną; powtóre starym magnatów rodzinom chciał przeciwstawić nowy zastęp grafów. Później pozwalał nawet tytuły kupować, za dopełnieniem bardzo małych formalności, których nie uląkł się żaden ekonom wzbogacony. Gdyby przy upadku Rzeczypospolitej, dygnitarzami byli sami magnaci, przedstawiciele starych rodzin, w kraju z dawien dawna zasłużonych, tytuły przez obcy rząd im nadane, byłiby uważali za drobnostkę, a nie za coś takiego, co ich miało wyróżniać i od razu stawiać na piedestalu. Ale niestety rzecz miała się przeciwnie. Za Sasów, a częściej jeszcze za Stanisława Augusta, dygnitarstwa dostawały się ludziom najrozmaitszym, ni z pierza ni z mięsa,

pochlebcom, intrygantom, dworakom, czasem nawet takim, którzy chyba tem zasłużyli się w ojczyźnie, że królowi ułatwiali miłości... Pojmiecie moi panowie, że patent Marji Teresy był dla tych dygnitarzy czemś tak pięknem, że żaden z nich nie umiał oprzeć się pokusie i coprędzej składał przepisaną takse. Abyście nie sądzili że na wiatr mówię, przytoczę wam zdarzenie następujące: Do dziada mojej nieboszczki żony, który był wojewodą, przyjechał komisarz cyrkularny z propozycją by przyjął tytuł hrabiowski. Wojewoda, w przytomności marszałka swego dworu, który był starostą drażkowym, odparł, że szlachectwo polskie zbyt wysoko ceni, by mógł się starać o tytuł obcego państwa. Zmartwiony komisarz miał się już oddalić, gdy wojewodzie przyszła do głowy myśl dowcipna: — Słuchaj Grzegorzu — zapytał swego marszałka, — chcesz zostać hrabią? — „Z największą chęcią, jeżeli jaśnie wielmożny wojewoda rozkaże! — odrzekł marszałek kłaniając się do kolan swemu panu. — Człowiek ma dzieci, ta może się to na eo przyda.“ — Wyśmienicie! takse zapłacisz sobie z mojej szkatuły! — Jeżeli się nie mylę, moi panowie — kończył książę spoglądając dokoła — wnuk pana Grzegorza znajduje się między wami...

Wszyscy umilkli; jeden drugiemu nie śmiał w oczy spojrzeć. Tylko księżę Artur zauważył, że hr. Stefan zaraz na początku opowiadania wyszedł do drugiego pokoju.

— Taka arystokracja — mówił znowu starzec — to żadna. Nie przyniosłszy z sobą tradycji i przywiązanego do niej poświęcenia, ubrała się natychmiast w to wszystko, co w ubiegłych dwóch wiekach gubiło stan polskich magnatów. Ogładając zewnętrzną pokryła próżnię wewnętrzną; język francuski zastąpił u niej uczucia patriotyczne; namiętne spekulowanie na majątek było w jej przekonaniu pracą i zasługą — a za tem wszystkim poszła zupełna obojętność dla ojczyzny, bo nie od ojczyzny otrzymała tytuły. Arystokracja przez Austrię stworzona mogła być tylko austriacką... Powiedźcie mi teraz panowie, czy nie jest ona w Galicji pasożytem?

— Daruj mości księżę — przerwał Guccio, którego pradziad był już hrabią *imperii romani* — ale zdaje mi się, że i między nami są wyjątki.

— Są wyjątki, nie przeczę... chociaż po największej części wyjątkami są tylko potomkowie tych rodzin, które nie otrzymały dygnitarstw na gruzach Rzeczypospolitej. Cokolwiek ludzie mówią, krew ma swoje prawa... ci się jeszcze trzymają, ci nie spekulują na giełdzie, ani nazwiskiem swoim

nie pokrywają oszukańczych przedsięwzięć, bo oni stojąc na tradycji, na gruncie honorowym, wiedzą, że kto gnój wozi, ten prędzej lub później musi się nim powalać. Te rodziny znamy wszyscy, i one też w kraju najwięcej mają sympatji. Nie taję wszakże, że i one ulegając czynnikom rozkładającym arystokrację całego świata, nie żyją już tak, jakby żyć powinny, ale w najgorszym razie one przynajmniej rozmyślnie kraju nie gubią. Nie niecierpliwicie się panowie, zaraz skończę. Nie wiele jesteście warci, sami o tem wiecie, ale czy nie ma nadziei byście się poprawili? Świat moi kochani mając swoje słabostki, chętnie oddaje rządy nad sobą temu, kto ma majątek i jakie takie nazwisko. Nie żądam by każdy z was był genialnym jak Mirabeau, bo aby tamtemu dorównać, potrzeba wielkiego rozumu, o który w warstwie zdegenerowanej bardzo trudno; jednakże za tem nie idzie, byście nawet nie rozumieli własnego interesu. Tu nie potrzeba genialności... tu wystarczy proste zastanowienie. Otóż dobrze zrozumiany interes własny nakazuje wam zbliżyć się do kraju, a zbliżyć uczciwie, bez oglądania się na tych, którzy na wasze głowy włożyli hrabiowskie korony. Niech każdy z was z rocznych swoich dochodów przeznaczy tyle, a tyle na cele publiczne; synów nie wychowujcie u Jezuitów, którzy utrzymują kastowość

uczając form nie treści; córek nie powierzajcie Je-
zuitkom, które w nich zabijają serce podniecając
chorobliwą egzaltację; nie spekulujcie jak żydzi na
giełdzie, bo gdy przyjdzie katastrofa, wasze straty
ogół odczuje; przedsiębiorstwom tylko takim się
oddawajcie, które wzbogacają kraj nie jednostki;
a ilekroć staniecie u steru polityki pamiętajcie, że
wpierw byliście Polakami, a dopiero potem
austriackimi hrabiami. Tak postępując przejednacie
wszystkich, i w kraju nikt wam nie będzie za-
żdrosił ani stanowisk ani fortuny. Jeżeli nie
usłuchacie mojej rady, naród przejdzie nad wami
do porządku dziennego, bo on nie potrzebuje pa-
sożytów. On od każdego stanu, który karmi się
jego chlebem, ma prawo żądać pracy przynoszącej
pożytek ogółowi. Stan, który nie pracuje, nie ma
racji bytu. A teraz żegnam was panowie.

Rzekłszy to, staruszek skłonił się obecnym,
kazał sobie podać kapelusz i wyszedł z kasyna.
Przy drzwiach ksiązę Artur ujawszy starca za
rękę, do ust ją przycisnął. Ksiązę pocałował mło-
dzieńca w czoło, i rzekł wzruszony:

— Poczciwy Arturku! Między nami są je-
szeze ludzie, lecz jaka szkoda żeśmy tacy słabi, że
tak łatwo ulegamy wpływowi otoczenia! Te pa-
sożyty już i nas zarażają. Ale ty trzymaj się
Arturze, trzymaj! a od projektu swego nie od-

stępuj, bo tylko przez połączenia ze zdrową krwią szlachecką możemy się jeszcze odrodzić.

Po wyjściu księcia Romualda, pozostali panowie zaczęli głośno dysputować. Gdy książe był obecnym, żaden z nich nie odważył się wystąpić ze zdaniem samodzielnem; za to teraz każdy miał wiele do powiedzenia. Ten nazywał księcia zafanym feudałem, który nie rozumie charakteru arystokracji nowoczesnej; tamten ręczył słowem honoru, że całe jego wystąpienie nie było bez „ale“ i że koniecznie w tem coś być musi — a znaleźli się nawet tacy, którzy zarzuty im czynione postanowili w śmiech obrócić. Tych było najwięcej, a że zręcznie szermierzyli frazesami, więc i reszta przeszła wkrótce do ich obozu, poczem jednogłośnie uchwalono nie „brać serjo“ księcia Romualda, ponieważ na starość dostał „bzika“.

— Że ma doskonałego bzika, — zakończył hrabia Stefcio, który najgoręcej popierał tę opinię — to najmniejszej nie ulega wątpliwości. Na własne uszy słyszałem, jak raz powiedział o swoim zięciu: Anglik, aż wstyd jaki Anglik!... Nie ma w nim ani jednej polskiej żyłki. — Kto tak swego zięcia osądza, ten o obcych nie może dobrze mówić. Ma bzika!

— Ma! — zawołano chórem.

W kilka minut książę Artur wyszedł z kasyna. Matka jego należała do najdumniejszych kobiet pod słońcem. Pochodząc sama z rodziny książęcej, powiedziała sobie po śmierci męża, że ponieważ na niej jednej ciąży odpowiedzialność za przyszłość jedynaka, więc święcie przestrzegać powinna, by syn nie uczynił nic takiego, co by według jej mniemania przynosiło ujmę starożytnemu rodowi do którego należała. — Trzymając się tej nici przewodniej wychowywała go starannie, usuwając wszystko, co Arturka mogło sprowadzić z drogi, na której go widzieć pragnęła. Ale pragnienia i zabiegi matki, nie zawsze idą w parze z wolą synów. Artur był posłusznym, kochał matkę, lecz z tem wszystkiem niedawno zrobił krok taki, że omało księżny nie zabił. Oto poznawszy w sąsiedztwie pannę dobrze wychowaną i piękną, oświadczył się cichaczem o jej rękę, chociaż nie była ani córką starożytnego rodu, ani bogatą. Matka dowiedziawszy się o tem, chciała w pierwszej chwili cały wypadek w żart obrócić; jednakże widząc, że syn odziedziczył po ojcu energję, którą przeciwności mogły zaostrzyć, zmieniła nagle taktykę i zręcznem kierowaniem sprawy postanowiła wyleczyć Artura z choroby sercowej. Aby łatwiej cel osiągnąć, wezwała go by jakiś czas zamieszkał u niej w mieście. Gdy syn przy-

jechał, matka całując go spłakała się serdecznie, a potem przemówiła w te słowa:

— Wiesz Arturku, że cię nadto kocham, bym mogła sprzeciwiać się temu, co ty za swoje szczęście uważasz.. Chociaż mnie serce boli, żeń się, zwłaszcza żeś się z nią już zaręczył, ale ponieważ do ślubu jeszcze dość daleko, więc zostań przy mnie czas jakiś, abyśmy wspólnie i spokojnie pozatalowali interesa majątkowe, których niestety mamy nie mało. Zeń się, zeń Auturku, ja się nie sprzeciwię, choćby mi serce pękło!

Syn tak przyjęty, rzucił się matce w objęcia, z największą przyjemnością został w jej domu, tem chętniej, że na wsi byłby się teraz nudził, ponieważ jego narzeczona wyjechała za granicę ze swoją matką, która lubo nie bogata, postanowiła w braku odpowiedniego posagu, dać córce przynajmniej wyprawę książęcą. Księżna powiedziała sobie, że z tego czasu należyście skorzysta.

Nazajutrz po przejściu w posiadanie księcia Artura, rozmarzony mój właściciel udał się do adwokata swojej rodziny, p. Raczka, którego rady miał zasięgnąć w kilku ważnych sprawach.

Pan Raczek był głośnym na całe miasto i kraj cały. Przy głównej ulicy, w domu jak na Lwów bardzo okazałym, zajmował pierwsze piętro, dawał wieczory, trzymał ekwipaże, i każdej z pię-

ciu dorastających córek przyrzekł dać sto tysięcy posagu, synom zaś po kilka wsi w żyznej ziemi i dobrze zagospodarowanych.

Pierwszy zawiązek fortuny pana Raczka był niezwykle, i świadczył o niepospolitych jego zdolnościach. Pewien książę polski, który stale mieszkał w Paryżu, posiadał w Galicji dobra bardzo rozległe; pan Raczek był jego prawnym zastępcą. Książę narobiwszy długów, postanowił sprzedać te dobra, o czem uwiadomił swego adwokata. Zaledwie pan Raczek powiedział pośrednikom, że posiadłości księcia są na sprzedaż, niezwłocznie zgłosili się żydzi, a po nich towarzystwo z kilku obywateli galicyjskich, którym żal było, by tak śliczny kawałek ziemi polskiej przeszedł w ręce żydowskie. Ponieważ pan Raczek ciągnął za żydami, którzy mu przyrzekli bardzo piękną nagrodę, obywatele udali się zatem wprost do księcia z prośbą, by im ułatwił nabycie majątku. Szło zaś głównie o to, że żydzi składali całą gotówkę razem, obywatele zaś pewną część z ceny kupna pragnęli uiścić po upływie dłuższego czasu. Książę nie zapomniawszy, że polska krew płynie w jego żyłach, przystał na propozycję dawnych swoich sąsiadów, i w tym celu napisał do pana Raczka. Ale pan Raczek nie był w ciemię bity! Spodziewając się, że sprawa może wziąć taki obrót, skorzystał z dawniejszego

pełnomocnictwa księcia, i zanim przyszedł list od niego, sprzedał żydom dobra, za co otrzymał okrągłych 100.000. Nie zaszkodzi gdy dodam, że zacny mecenas, poręczał wpierw obywatelom „słowem honoru“ iż z żydami tak długo umawiać się nie będzie, póki od księcia nie przyjdzie ostateczna odpowiedź.

Od tego czasu pan Raczek ciągle porastał w pierze. Wiedząc że oparcie się o jedną wielką rodzinę, dla prawnika z jego kierunkami może być rzeczą bardzo pożyteczną, przyczepił się jak pijawka do ojca księcia Artura, który mając rozległe interesa sam jeden tyle mu płacił, że szanowny adwokat z innych dochodów nie potrzebował grosza wydać na utrzymanie swego domu. A te inne dochody były także nie małe! Dzięki stosunkom i wpływowi księcia, którego umiał pozyskać dla siebie, wkręcił się do kilku instytucyj finansowych, budował koleje, zakładał towarzystwa akcyjne i z wszystkiego zysk ciągnął. By zaś tem łatwiej dojść do celu, który u niego nazywał się milionami, chodził zawsze w czemerce, grał rolę wielkiego patrioty polskiego, i dobro powszechnie miał wiecznie na ustach.

Uniżony w obec możnych, tyrański w obec słabych, dumny z równymi sobie — p. Raczek był wiernym przedstawicielem takiego adwokata

galicyjskiego, który dzięki zagmatwanemu ustawodawstwu austrijackiemu, nie uważa na sprawiedliwość, lecz na prawo. Mniejsza o sprawiedliwość, byle pozory prawne były ocalone. Tacy to adwokaci, których w nieszczęśliwej Galicji jest więcej niż potrzeba, przyczynili się w wysokim stopniu do sponiewierania w tym kraju prawdziwej moralności. Zły przykład działa na otoczenie, a jeżeli społeczeństwo widzi, że ten lub ów prawnik chodzi bezkarnie i zaszczytne zajmuje stanowisko, chociaż oddawna powinien być pomieszczonym w więzieniu, to czyż i między widzami nie znajdują się tacy, którzy w ten sam sposób chcą się dobić majątku i stanowiska?

Pan Raczek był niezrównaną osobistością dla tych wszystkich klientów, którzy dobrze płacili. Dla tych był nie tylko adwokatem lecz nawet lokajem. Gdyby mu który kazał salon wywoskować, mimo lat pięćdziesięciu wziąłby się do roboty; gdyby go który posłał z listem do swojej metresy, poszedłby natychmiast, a w razie potrzeby czekałby w przedpokoju pół dnia na odpowiedź; gdyby nakoniec który potrzebował metresy, sam by mu ją znalazł. Do procesu zachęcał każdego, i jeżeli klient chciał się czasem pogodzić ze swoim przeciwnikiem, zawsze mawiał. „Na co się godzić, pan dobrodziej niezawodnie wygrasz

i nie nie dasz.“ Jeżeli zaś klient przegrał i robił mu z tego powodu gorzkie wymówki, odpowiadał: — „Uczyliem wszystko, ale Bogiem nie jestem.“

Prawników jak pan Raczek, w Galicji spotkałem niestety bardzo wielu. Wprawdzie w biednej tej prowincji znajdują się także zacni, lecz dziwi mnie, czemu ci nie wystąpią energicznie przeciwko owym pijawkom, które niecnem swoim postępowaniem, obleczone w szatę prawną, poniżają w sobie godność ludzką, szerzą niemoralność, i uwłaczają pięknemu stanowi, którego są zgangrenowanymi członkami.

Gdy Artur wszedł do jego salonu, pan Raczek mimo lat pięćdziesięciu zerwał się na równe nogi, i ze słodkim uśmiechem pobiegł na spotkanie dostojnego gościa.

— Ach! książę pan sam się do mnie trudził — rzekł z głębokim ukłonem ściskając podaną sobie rękę. — Czemu też książę pan nie dał mi znać, byłbym natychmiast stawił się na jego rozkazy.

— Kochany mecenasie — odparł młody człowiek — mój trud nie tak wielki, byśmy aż o nim mówić potrzebowali. Chcąc dziś pomówić dłużej o kilku ważniejszych sprawach, wybrałem się umyślnie do pana i jeżeli nie przeszkadzam...

— O proszę księcia pana, bardzo proszę!

Kilka osób czeka wprawdzie, lecz zaraz wszystkich oddalę.

Adwokat zamierzył udać się do kancelarji, w której zbierali się klienci, książkę jednak ujął go za rękę i zatrzymał.

— Przepraszam cię kochany mecenasie, mając dosyć czasu łatwiej mogę zaczekać... Wejdę do gabinetu, a pan tymczasem skończysz ze swymi klientami.

Pan Raczek chciał się jeszcze opierać, ale Artur nie zważając na jego przedstawienia, wszedł do gabinetu, drzwi zamknął za sobą, a usiadłszy na kozetce, wziął ze stołu na którym leżały dzienniki, ostatni numer paryskiego Journal Amusant.

Chociaż ściany bardzo były grube, chociaż drzwi szczelnie były zamknięte — mając słuch bystrzejszy aniżeli ludzki, nie uронiłem nic z tych rozmów, które między mecenasem a jego klientami toczyły się w salonie, dokąd interesowani wchodziłi z kancelarji. Po głosie poznawałem także, czy mówili mężczyźni czy kobiety, młodzi czy starzy.

— Kochany mecenasie — przemówił mężczyzna w sile wieku — jutro o dziesiątej rano rozpoczyna się mój proces... sprawa czysta, o skutku pomyślnym ani wątpię.

— I ja mam nadzieję, że się korzystnie skończy... ale dobrze że drogi pan przyszedł, bo właśnie wybierałem się do niego. Do tej chwili nie umówiliśmy się jeszcze o honorarium za moje zastępstwo.

— Jakto? Chyba mecenas zapomniałeś! Wszak przed dwoma miesiącami żądałeś pan za każdy dzień rozprawy 25 guldenów, a 100 za przygotowania do procesu, których prawie nie było, bo ja sam wszystko zrobiłem.

— Pierwszy raz słyszę... o wynagrodzeniu między nami mowy jeszcze nie było! Zresztą na 25 guldenów ja bym żadną miarą nie mógł przysiać.

— Przecie taką taksę ustanowiła izba adwokatów, a minister miał ją nawet uznać za zbyt wysoką.

— Taksa izby adwokatów to formalność, każdy z nas ma swoją. A niech drogi pan i to raczy uwzględnić, że inaczej honoruje się pierwszego lepszego prawnika, inaczej zaś adwokata mającego imię.

— Chociaż słowa pańskie bardzo mnie dziwią, pamięć bowiem moja nigdy mnie nie zawodzi, śmiem zapytać, ile pan żadasz?

— Za przygotowanie 100, za pierwsze cztery dni po 100, jeżeli rozprawa dłużej potrwa, za

każdy z dni następnych po 50, a jeżeli proces wygramy, otrzymam dodatkowo wynagrodzenie ryczałtowe w kwocie 500 guldenów.

— Pan mecenas chcesz mnie chyba zrujnować!... Rozprawa może potrwać tydzień dwa, nawet miesiąc cały... Wszak pan wiesz, że jestem człowiekiem biednym, na dorobku... wiesz także, że w tym procesie materialnie nie nie zyskuję. Czy godzi się panie mecenasie tak dusić człowieka, który od tylu lat był dla ciebie z przyjaźnią?

— A na kim zarobię, jeżeli nie na panu? Ludzie oddawna mówią, że pan siedzisz na pieniądzach... a dla mnie czasy ciężkie, bardzo ciężkie! Zresztą jeżeli żądanie moje uważasz pan za wygórowane, weź sobie innego zastępcę.

— Ależ pan wiesz, że to niemożliwe! Gdybym to uczynił, mój przeciwnik rozgłosiłby natychmiast, żeś mnie mecenas nie chciał zastępować, co niesłychanie zaszkodziłoby mojej sprawie. Prócz tego przyznasz pan sam, że przez jedną noc żaden adwokat nie rozglądałby się należycie w tyłu aktach... miej więc miłosierdzie mecenasie, i nie przykładaj mi noża do gardła.

— Ja kochanego pana nie muszę, słowo honoru nie muszę, lecz od moich warunków nie odstąpię... i aby uniknąć wszelkich nieporozumień przy ostatecznem obliczeniu, zapewnisz mi pan teraz

pisemnie umówione honorarjum, wraze bowiem przeciwnym nie mógłbym jutro przyjść na rozprawę.

Klient jakiś czas prosił jeszcze, przedstawiał, apelował do sumienia, gdy jednak wszystko nie pomogło, przyciśnięty do muru dał rewers, i tłumiąc gniew w sobie, pożegnał mecenasa wprawdzie chłodno lecz grzecznie. On swemu zastępcy całej prawdy nie śmiał powiedzieć, ani z nim zerwać, bo zastępca mógłby się jutro na nim zemścić, psując mu sprawę w sądzie...

— Panie mecenasie, ja tego rachunku nie rozumiem — dał się słyszeć głos kobiecy. — Za każdą konferencję policzyłeś mi pan 30 guldenów, chociaż żadna z nich godziny nie trwała; od całej pożyczki wzięłeś gotówką dwa od sta, chociaż ja nie dostałam gotówki tylko papiery, których wymiana kosztowała mnie kilka tysięcy; a w dodatku policzyłeś sobie każde podanie, każdy krok zrobiony dla przyspieszenia pożyczki, chociaż umówiony procent miał stanowić całe honorarjum.

— A czy pani dobrodziejka sądzi, że kancelarja moja nie mnie nie kosztuje, i że ja sam mogę ezas marnować? Rachunek jest najsprawiedliwszym w świecie, i złamanego szeląga nie opuszczę. Jeżeli pani dobrodziejka czuje się pokrzywdzoną, proszę udać się na drogę sądową.

— Ależ to rozbój, to nikczemność! Odebrawszy w mojem imieniu pożyczkę, pokryłeś pan z niej samowolnie cały swój rachunek, a skrzywdziwszy bezbronną kobietę, odsyłasz ją teraz na drogę sądową. Czyż ja nie wiem, że proces ze złym adwokatem może u nas trwać lat dwadzieścia i całkiem mnie zniszczyć.

— Nie moja wina pani dobrodziejko.

— Jeszcze raz powtarzam, że postępowanie pańskie jest rozbójnicze, nikczemne!

— Uwzględniając nerwowe usposobienie pani dobrodziejki, za wyrażenia wcale się nie gniewam — odrzekł adwokat i odprowadził do drzwi klientkę, która wyszła oburzona.

Prawnik, przyzwyczajony jak się zdaje do scen w tym rodzaju, chciał już może otworzyć drzwi od gabinetu i poprosić księcia Artura, z którym byłby najspokojniej rozmawiał, gdyby na środku salonu nie zatrzymał go był nowy klient, który właśnie się zjawił.

— Przepraszam pana mecenas, moja sprawa nie długa.

— Słucham pana.

— Przed pół rokiem pewien kupiec ogłosił w mieście upadłość. W książkach u niego zabranych znajdowała się pozycja na 500 guldenów, którą niby ja miałem być dłużnym. Otóż niemal cała ta

pozycja była niesłuszną. Wprawdzie w magazynie tego kupca brałem towary, lecz miesiąc w miesiąc zaliczałem coś gotówką, skutkiem czego zostałem mu winien najwięcej pięćdziesiąt guldenów. Ponieważ kupiec otrzymanych kwot nie odpisał, sąd trzymając się drogi formalnej, zagrabił wszystkie moje ruchomości.

— Znam tę sprawę — przerwał adwokat — prowadziła ją moja kancelarja, nie rozumiem więc czego pan sobie życzysz.

— Pozwolisz panie mecenasie, że dokończę... przypomnienie całego jej przebiegu może nie zaszkodzi. W książkach upadłej firmy znaleźli się i inni dłużnicy do mnie podobni, zebrane te należitości wynosiły razem dwa tysiące. Dowiedziawszy się że sam sąd powątpiewając o ich prawdziwości, całą kwotę dwóch tysięcy wystawi na licytację, przyszedłem przedwczoraj do pana mecenasa z prośbą, byś ją zechciał dla mnie zaliczować. Chociaż otrzymałem najuroczystsze zapewnienie, że tak się stanie, stało się wręcz przeciwnie. Za dwa tysiące dałeś pan na licytacji zaledwie 70 guldenów, i dałeś nie w mojem, lecz swego zastępcy imieniu... teraz zaś otrzymałem wezwanie, bym do ośmiu dni uiścił 250 guldenów, gdyż w razie przeciwnym wszystkie moje ruchomości zostaną sprzedane. Zapytuję pana mecenasa,

czy godziło się podstawiać swego zastępcę, i czy godzi się odemnie jednego żądać cztery razy więcej, niżli pan dałeś za całe dwa tysiące? Zdaje mi się, że postępowanie takie ze swoim klientem...

— Mości paniel — zawołał gniewnie adwokat — cokolwiek czynię, czynię prawnie, a jeżeli pan się odważysz raz jeszcze mnie obrazić, wezwę go przed kratki sądowe. Żegnam pana!

Biedny klient musiał być człowiekiem serca zajęczego, o czem mecenas prawdopodobnie wiedział, ponieważ niezwłocznie wyszedł z salonu i głosu jego więcej nie słyszałem.

— Wielmożny panie mecenasie — przemówił nowy klient, który po parkietach szedł cicho, ostrożnie, jakby się lękał własnych kroków. — Jestem kupiec X.

— Czem panu mogę służyć?

— Zamierzam ogłosić upadłość.

— To bardzo pięknie, i zapewne życzysz pan sobie, bym przedsięwziął ugodę z jego wierzycielami.

— Tak, panie mecenasie.

— Ileż wynosi niedobór?

— To rzecz najmniejsza... ja mam coś ważniejszego... W ostatnich miesiącach ściągnąłem 20.000 guldenów, które radbym ukryć.

Adwokat zamyślił się chwilę; potem rzekł:

— Da się zrobić, ale za trud dostanę 3000, bo tego rodzaju sprawy należą do najzawilszych. Zgadzasz się pan?

— Najzupełniej.

— W takim razie przyjdź pan dziś do mnie o dziewiątej wieczór... rozmówimy się szczegółowo... tylko tajemnica!

Po oddaleniu się kupca, mecenas wydawał już polecenia swoim pomocnikom w kancelarji, by doń nikogo więcej nie wpuszczali, a sami gorliwie pracowali, gdy we drzwiach zagrział potężny głos baoswy:

— O, chwała Bogu, że pana raz zastałem! Chodzę, pytam, zawsze mi powtarzają: nie ma w domu. Do kroćset! co to nie ma w domu... widzicie że jest!

— Prawdę mówiono panu dobrodziejowi — odrzekł adwokat głosem bardzo słodkim, — dłuższy czas bawiłem na prowincji, miałem ważne terminy... i kilkadziesiąt spraw *pro bono publico*.

— Wszystko to bardzo pięknie, panie mecenasie, lecz mnie to nie obchodzi. Ja nie przychodzę *in rebus publicis* tylko *in privatis*. Coś pan najlepszego zrobił z Karolem?

— Ja, z Karolem?

— Tak, tak, z Karolem! Ojciec jego a mój

dobry znajomy, umierając zrobił pana opiekunem swego jedynaka. Ślicznie się pan nim opiekował, ślicznie! Chłopiec jak każdy młokos, był utracjuszem, potrzebował pieniędzy, a pan podstawiałeś mu żydków, którzy pożyczali półgłówkowi. Wziął 1000 napisał 10.000 tysięcy, a pan natychmiast weksle wykupywałeś. Gdy dług urósł do 100.000, zrobiłeś go pełnoletnim, z majątku po ojcu zapłaciłeś wszystkie weksle, któreś miał w rękę, i chłopca puściłeś prawie z torbami. A ile tysięcy zarobiłeś na tem, pewnie sześćdziesiąt jeżeli nie więcej. Śliczna opieka!

— Słowo honoru panie dobrodzieju...

— Co to słowo honoru, niech je ten daje, kto ma honor, nie pan, który jesteś prawdziwą pijawką! Ale ja nie daruję jakem szlachcie, jak mi Bóg miły nie daruję!

Mecenas musiał oddawna znać swojego gościa, bo zamiast się oburzyć, jak to przed chwilą uczynił wobec innego klienta, zrobił się pokornym i maluczkiem, głos zaś jego był słodki choć lekko-drżący.

— Ja do sądu nie pójdę — wołał szlachcie — bo byś mnie pan na nie sprocesował; do izby adwokackiej także nie pójdę, bo kruk krukowi oka nie wykole; ale udam się do dzienników i jak mi Bóg miły tak pana opiszę, że cały świat będzie

cię palcem wytykał... Już ja się zemszczę za biednego chłopca, który sobie nie umie dać rady.

Szlachciec powstał; mecenas przemocą go zatrzymał.

— Niech pan dobrodziej jeszcze chwilę zostanie, pomówimy jak ludzie, jak dawni znajomi, przecie my ponoś razem do szkół chodzili.. Szczęśliwy to były czasy! A przypomina sobie pan dobrodziej tę Zosię czarnooką, do której ja się miałem... ale pan dobrodziej wysadziłeś mnie z koźła. Szczęśliwe to były czasy!

Słowa adwokata magnetycznie podziały na srogięgo szlachcica. Przypomnienie czasów studenckich i Zosi, którą kochał pierwszą gorącą miłością, rozbroiło go w połowie; zapewnienie zaś następne szanownego prawnika, że dla Karola „koniecznie coś zrobi“ pokonało go zupełnie. Pan Raczek tak pięknie mówił, tyle przyrzekał, tak się usprawiedliwiał, że szlachciec w końcu uwierzył w nieskazitelność jego charakteru, i całą winę zwałił na Karola, którego dawny opiekun nie omieszkał zrobić podobnym do murzyna, choć na pozór gorliwie go bronił. Po dłuższej rozmowie rozstali się w najlepszej harmonji.

W progę szlachciec jeszcze się obrócił.

— Wierzę — rzekł — że pan dobrodziej masz serce szlachetne, bo przecie magnaci i ksią-

żęta nie żyli by z mecenasem za pan brat, lecz boję się czy pamięć panu dopisze.. Karol, chociaż lekkoduch i urwis, potrzebuje pomocy.

— Może pan dobrodziej być zupełnie spokojnym, słowo honoru że dla niego coś zrobię, koniecznie coś zrobię.

— Byle prędko.

— Do kilku dni, słowo honoru do kilku dni.

Mecenas zamknął drzwi na klucz, a otarłszy pot z czoła wszedł do gabinetu.

— Przepraszam księcia pana — rzekł badając wzrokiem młodego człowieka — że tak długo pozwoliłem na siebie czekać...

— Nie nie szkodzi.. bawiłem się wyśmienicie rysunkami Léonsa Petit, którym nie mogę się nigdy dość napatrzeć.

— Moi klienci pewnie przeszkadzali księciu panu...

— Bynajmniej! Pański gabinet jest tak wyśmienicie urządzony, że wątpię czy nawet strzał pistoletowy doleciałby tu z salonu.

Adwokat wolniej odetchnął, bo lubo drzwi były podwójne i szczelnie zamknięte, Artur mógł zawsze coś zasłyszeć...

Podczas gdy ksiązę naradzał się z adwokatem w rozmaitych sprawach majątkowych, które

mnie nie obchodziły, ja myślałem o rzeczach wcale innych.

Zkąd pochodzi, że między prawnikami w Galicji znajduje się tylu niesumiennej, godzących z zimną krwią na cudze mienie, tyle pijawek wysysających krew ze swoich klientów, tyle ludzi bez serca i poczucia moralności? Zkąd pochodzi, że w Galicji jest prawie wyjątkiem adwokat prawy, zacny, a nie zły jak gdzie indziej? Czy ten kraj już tak upadł moralnie, że zdrowych pracowników ze swego organizmu wydać nie może, lub czy złożyły się na to jakie inne, od woli społeczeństwa niezawisłe okoliczności? Długo myślałem nad temi pytaniami sam ich nie mogąc rozwiązać... Później zawsze do nich wracałem, ilekroć zdarzyło mi się spotkać prawnika, który mimo że wydierał majątki sierotom, rujnował swoich klientów i był chodzącą niesprawiedliwością — używał powszechnego szacunku, zasiadał w Sejmie, i wyrokował o moralności drugich. Kto wie, czy kiedykolwiek byłbym zagadkę rozwiązał, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, która mi w tem dopomogła.

Dawno już zapomniałem, jak się nazywał adwokat księcia Artura, bo od bytności w jego gabinecie upłynęły trzy lata, gdy los zaniósł mnie do kieszeni pewnego szlachcica, który mając kilka procesów, bezustannie potrzebował znosić się z pra-

wnikami. Nieszczęśliwy ten człowiek nie wiedział co począć. Ten podstępnie go wyzyskiwał, tamten odciągnął go od kompromisu, czem przyprawił go o straty nieobliczone, inny znowu, któremu polecił podniesienie znaczniejszej kwoty z depozytu, tak się z zadania wywiązał, że zamiast pół roku, sprawa wlokła się lat ośm, poczem połowę depozytu przywłaszczył sobie, twierdząc, że tyle należy mu się za trud ośmioletni. Szlachcie porzucając jednego adwokata po drugim, i szukając rzetelnego, znalazł nareszcie mecenasa, który pod każdym względem zasługiwał na zaufanie. Pewnego razu, rzekł do swego obrońcy:

— Niech mi pan dobrodzieju łaskawie powie, z kąd to właściwie pochodzi, że nasi adwokaci są prawdziwą chorobą społeczną. Gdy człowiek idzie do którego, to aż drży skóra. Przepraszam pana dobrodzieja, że mówię tak otwarcie, ale poznawszy kochanego mecenasa wiem, że słów moich źle sobie nie wytłumaczysz. Człowiek jak pan dobrodzieju ucziwy, prawdy się nie boi.

— Dziękuję łaskawemu panu za zaufanie — odpowiedział adwokat — i o ile to będzie w mojej mocy, zaspokoję pańską ciekawość. Że prawników niesumiennych mamy bardzo wielu, temu ja sam nie przeczę, lecz nie mniej i to jest prawdą, że nie każdy z tych, których ogół za złych uważa, jest

godnym potępienia. Wielu z nich zasługuje raczej na politowanie, albowiem złymi zrobiła ich edukacja, jaką otrzymali. Widząc złe, panowie oceniacie je ze skutków, nie szukając jego przyczyn. Gdybyście inaczej postępowali, bez wielkiej trudności, moglibyście się przekonać, że w tym wypadku nie mała wina ciąży na ustawodawstwie i na jego wykonawcach. Prawodawcy austriacy, którzy przyszli uszczęśliwiać Galicję, powiedzieli, że ponieważ Polacy są narodem barbarzyńskim, a prawo polskie bez wartości, więc wszystko trzeba zburzyć, nowe zaś ustanowić. Czy wielec ci mężowie mieli rację, długo bym o tem mówić potrzebował, ale że pana dobrodzieja pewnie by to znudziło, więc poprzestanę na kilku tylko uwagach. W Polsce sądziły od wieków trybunały wybierane i zaprzysiężone, a sądziły nie tylko w sprawach kryminalnych lecz także cywilnych. Świat powiada, że sądy przysięgłe w sprawach kryminalnych są wielkiem zwycięstwem dzisiejszej cywilizacji, która będzie jeszcze piękniejszą, jeżeli dzięki jej zbawiennemu wpływowi, takie same sądy będą rozstrzygały w sprawach cywilnych. My zatem mieliśmy od wieków to, o co świat dopiero dziś walczy... a jednak Niemcy śmieli nam zarzucać barbarzyństwo. Idźmy dalej. Kró-

łowie nasi zaprzysięgali zasadę *neminem captivabimus nisi jure victum*, co znaczy, że tylko ten mógł być uwięzionym, kogo prawo potępiło. Angielskie *habeas corpus*, paladium wolności bretańskiej, jestże czem innym, jak nie tą naszą zasadą? A mimo to prawodawcy niemieccy nazywali nas barbarzyńcami! Jeżeli dodam, że na Sejmie czteroletnim, wprowadzano takie reformy do sądownictwa, które o całe niebo stały wyżej od współczesnych kodeksów niemieckich, łatwo już pojmiemy, jak wielką krzywdę wyrządził nam rząd austriacki, usuwając od razu całe prawo polskie a zastępując je swoim. Prawa tylko wtedy są dobre, gdy wypływają z ducha narodu; one nie powstają w jednym dniu, one są wyrobem pracy wiekowej; prawo polskie należało polepszyć, nie burzyć. Kodeksa narzucone Galicji, były jednym z najdotkliwszych ciosów jakie jej zadano. Kodeks Napoleona dla tego przyjął się we Francji, że wprowadziwszy nie wiele nowego, raczej uprosił i bliżej określił to, co zastał. Kodeksa austriackie natomiast, jako niezgodne z naszym charakterem, wypaczyły ducha narodowego. Nie będę panu dobrodziejowi mówił o kodeksie karnym, bo ten na szczęście został polepszonym w ostatnich czasach, i on z natury swojej nie

wpływa wiele na charakter adwokatów — zwróć jednak pańską uwagę na rozporządzenia administracyjne, i procedurę cywilną, która nas ciągle obowiązuje, chociaż przeżyła się w pierwszym raz dnu swojego istnienia. Rozporządzenia austriackie są redagowane kazuistycznie, rzadko mają ton nakazujący, chorują na retorykę, a że stanowczo nie rozstrzygają, więc każdy wykonawca tłumaczy je sobie dowolnie. Ztąd też pochodzi, że skoro rozporządzenie wydanem zostanie, rodzą się wątpliwości w chwili jego zastosowania w danym wypadku, władze pytają o znaczenie paragrafów, i prawodawca musi pisać komentarze, które dopiero razem zebrane tworzą osobną dla każdego prawa juryzprudencję. Takie prawa są kopalnią dla krętaczów. Co zaś do procedury cywilnej, to żaden termin nie jest w niej stanowczo oznaczonym, nigdzie chęć zwleczenia nie znajdzie tamy, i owszem włożone na sąd i referentów formalności, sprzyjają nieskończonemu opóźnianiu w wymiarze prawa, przyczem otwierają drogę do pieńiactwa, podstępów i niegodnych wykrętów. Czy dałby pan dobrodziej wiarę, że u nas wyegzekwowanie prostego wekslu kosztuje czasem trzy i cztery lata czasu? Ustawodawstwo zatem wychowało naszych adwokatów, i jeżeli komu to przedewszystkiem rządowi austriackiemu powin-

niemy podziękować że mamy takich a nie innych. Procedura kręcić pozwala, to też kręczą do zbytku; rozporządzenia można rozmaicie tłumaczyć, to też tłumaczą jak im najdogodniej. Drugim powodem ich demoralizacji, jest zastraszający brak charakterów w naszym społeczeństwie. Człowieka pod każdym względem prawego, z latarnią w biały dzień trzeba u nas szukać. Brak ten jest następstwem nie jednej choroby, lecz wszystkich razem, które trapią ludność Galicji. A dopóki one nie zostaną poznane i wyleczone, charakter ogółu pewnie się nie wyrobi. Zacni będą zawsze wyjątkami.

— Strasznych rzeczy dowiedziałem się od pana dobrodzieja — odpowiedział szlachcic. — Kto by to był przypuścił, że coś podobnego na świecie dzieć się może. Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie mi mówią, że „rząd sprzyja krajowi“ a tymczasem dowiaduję się o rzeczach, które to sprzyjanie dziwnie tłumaczą.

— Prawodawcom naszym — rzekł mecenas — nie zarzucam złej woli, ale zupełną nieudolność, z której Niemcy austriacy na cały świat słyną. Dużo mówią, hałasują, a jak co zrobią to pożał się Boże. Do Francuzów nie chcą pójść po rozum bo się wstydzą, własnego zaś nie mają tyle ile im potrzeba.

— Bardzo mnie to martwi—przemówił szlachcie po dłuższym namyśle — bo kto wie czy z tej biedy wybrniemy kiedy.

— Trzeba domagać się nowej procedury cywilnej — zauważył adwokat — i uproszczenia ustaw zagmatwanych.

— A jeżeli nie dadzą? — podchwycił szlachcie.

Prawnik wzruszył ramionami.

— Wie pan dobrodziej — zawołał szlachcie po nowym namyśle — jakkolwiek jest źle, bardzo źle, jabym jeszcze i teraz miał radę. Oto najpierw powinniśmy zerwać z tymi adwokatami, którzy sprzeciwiają się sądom polubownym, a zachęcają do procesów, bo ci widocznie chcą kręcić, by łatwiej skórę zedrzeć z klienta; potem należałoby żądać zmniejszenia liczby prawników, boć każdy z nich chce dobrze żyć i robić majątek, a biedny kraj nie może dogodzić wszystkim ich zachciankom; dalej izbę adwokatów potrzebaby tak zreformować, by i nieprawnicy przez kraj wybierani w niej zasiadali, co bez żadnej wątpliwości zmusiłoby izbę do energiczniejszych kroków przeciwko tym, którzy za pieniądze każdej sprawy bronią, w środkach nie przebierając; nakoniec wszysey ludzie uczciwi powinni sobie dać słowo, że każdy czyn haniebny adwokatów będą do publicznej podawali wiadomo-

sci, Jak mi Bóg miły to poskutkuje! Niech krzyczą że to skandal, a ja powiem, że złe trzeba niszczyć czem można.

— Co do izby adwokatów — przerwał meenas — muszę zrobić uwagę, że trudno myśleć o jej reformie, ponieważ jest ona u nas utworzoną na wzór innych w Austrii istniejących; prócz tego wątpię, by wprowadzenie do niej nie-prawników było rzeczą sprawiedliwą i korzystną.... Czyż człowiek nieobznajomiony z prawem będzie mógł dobrze ocenić postępowanie prawnika?

— Pozwoli pan dobrodziej — odparł szlachcic — że najzupełniej temu się sprzeciwię. Najpierw jako naród możemy śmiało żądać, by u nas zmieniono to, co dla nas jest szkodliwym, choćby to samo gdzie indziej było bardzo pożytecznym, boć każdy naród ma swoje właściwości i potrzeby — a następnie moim, prostym, szlacheckim rozumem żadną miarą pojąć nie mogę, dla czego nieprawnik nie mógłby sądzić najbiegłego prawnika. Wszak w sądach polubownych najczęściej zasiadają sami nieprawnicy, a mimo to ich wyroki są nieodwołalne; wszak w sądach przysięgłych wyrokuja także nieprawnicy, a wyrokuja nawet tam, gdzie idzie o rzecz najważniejszą, o życie lub śmierć człowieka. Ponieważ zażalenia na adwokatów najczęściej z tąd pochodzą, że

adwokat użył prawa do ominięcia sprawiedliwości, więc tylko nieprawnik czyn taki należycie pojmie i oceni. Moralność jest ponoś jedna, i świat na szczęście tak już postąpił, że wszyscy mamy o niej równe wyobrażenie. Przepraszam pana mecenasa że mówię tak otwarcie, lecz serce mnie boli gdy pomyszę, że ci, którzy ogółowi przyświecać powinni, idą na manowce i kraj gubią. Czy słyszał kto naprzykład panie dobrodzieju, by izba adwokatów ustanawiając takse mówiła: więcej brać możecie, ale mniej pod żadnym warunkiem! Nie jest że to sprzysiężenie przeciw społeczeństwu, aby je solidarnie wyzyskiwać, nie jest że to niesprawiedliwem usunięciem wszelkiej konkurencji? Już ten jeden fakt panie mecenasie jest tak jaskrawym, że gdyby mu nawet podobnych więcej nie było, kraj powinien jak najgłośniej i najuporczywiej domagać się reformy naszej izby w duchu humanitarnym, aby złamać jej koteryjność.

Mecenas milczał czas jakiś, bo jakkolwiek był człowiekiem prawym, na którym żaden zarzut nie ciążył, otwarte wystąpienie szlachcica raziło go boleśnie. Bądź co bądź należał on zawsze do tego stanu, przeciw któremu tak występowano.

— Jeżeli mam wyznać całą prawdę — rzekł nareszcie — to i ja jestem za tem, by społeczeń-

stwo samo piętnowało tych prawników, którzy treść, istotę rzeczy poświęcając dla formy, nie cofają się przed żadnym czynem, ilekroć mogą go spełnić w sposób prawny, i którzy bronią każdej sprawy, najnikczemniejszej nawet, mówiąc że na to są adwokatami. Ale jest jeszcze jeden środek, który w tym kierunku może poprawić nasze stosunki. Nie sama tylko procedura cywilna winna, że sprawy w naszych sądach wloką się tak długo, co prawników uczy kręactwa, niszczy interesowanych i demoralizuje ogół; wiele złego pochodzi tu także z braku odpowiedniej liczby urzędników w sądach powiatowych, i niedostatecznej liczby sądów wyższej instancji. Pod tym względem Galicja jest przez rząd austriacki gorzej jak po mocoszemu traktowana. Gdy tych sądów i urzędników więcej otrzymamy, na termin nie będziemy potrzebowali czekać po kilka miesięcy, i wymiar sprawiedliwości prędzej będzie następował.

Tak więc dowiedziałem się przynajmniej w głównych zarysach, gdzie należy szukać przyczyn okropnego czasem postępowania prawników galicyjskich. Czy smutne te stosunki zmieniają się kiedy na lepsze, o tem trudno mi wyrokować; sądzę atoli, że wszyscy ci, w których rękach jaka taka władza spoczywa, powinni zwrócić uwagę i na tę chorobę, albowiem połączona z innymi spra-

wia, że moralność w Galicji upada, nieufność się budzi i wszystko rozprzęga.

Po całogodzinnej konferencji, ksiązę pożegnał swego adwokata. Napisawszy w domu kilka listów, między niemi jeden do swojej narzeczonej, młody człowiek zadzwonił na służącego.

— Te listy odniesiesz zaraz na pocztę... przedtem jednak dowiedz się, czy księżna jest u siebie.

— Księżna pani wyjechała z wizytami.

— Wyjechała? W takim razie przygotuj mi frak i białą krawatę.

O trzeciej z południa ksiązę wyjechał także z wizytami, zapomniawszy mnie na kominku, gdzie położył sakiewkę w chwili gdy zmieniał swoją toaletę.

Żorż, służący młodego księcia, musiał umieć czytać drukowane i pisane, i prawdopodobnie był płatnym szpiegiem swego pana, gdyż zaledwie rzucił okiem na listy, które otrzymał, oddzielił zaraz jeden i wręczył go księżnie gdy nad wieczorem do domu wróciła.

Księżna spojrzawszy na adres, szybko rozerwała kuwertę i jednym tchem list odczytała; osnowa musiała się jej nie podobać, bo twarz jej pobladła a z oka błysnął piorun. Napisawszy kilka słów na bilecie, posłała go natychmiast swemu adwokatowi.

Nie upłynęło pół godziny, a znany mi już pan Raczek wszedł do księżnej z miną bardzo słodką i pełen uniżoności.

— Ach! jak długo każesz pan na siebie czekać — przemówiła księżna, niecierpliwie głową wstrząsając.

— Po otrzymaniu biletu księżnej pani niezwłocznie wyszedłem.

— Siadaj pan, siadaj!... Nie mam chwili do stracenia... Ani byś pan dał wiarę, jak jestem zdesperowaną.

Adwokat zrobił twarz przerażoną.

— Mój syn był dziś u pana?

— Był.

— Mówił co o swoim małżeństwie?

— Nie.

— Wiesz co mecenasie, ten chłopiec wtrąci mnie do grobu. Perswaduję, błagam, nie nie pomaga... Myślałam że dłuższy pobyt w moim domu uleczy go z tej niedorzecznej słabości, a tymczasem widzę, że i ta nadzieja zawodzi... Nie wiem z kim on się znosi, u kogo bywa... zdaje mi się jednak, że musiał fatalnie porobić znajomości, bo dziś zrana ośmielił mi się powiedzieć, że arystokracja powinna się u nas odrodzić przez związki ze szlachtą, która według jego wyobrażenia jest

zdrowszą i ma przyszłość... Co jemu się stało, co on sobie myśli!

Mecenas milezał.

— Jak widzę — mówiła dalej księżna — on w rzeczy samej gotów popełnić to szaleństwo, gotów się ożenić z tą subretką... To okropne! Książę, człowiek takiej rodziny, magnat! Jabym tego nie przeżyła...

— Trzeba zwlekać, zwlekać jak najdłużej — wtrącił adwokat.

— Ależ ja nie potrafię dłużej zwlekać, bo właśnie przed chwilą dowiedziałam się przypadkiem, że Artur chce ślub przyspieszyć. Kochany mecenasie poradź mi co... przecie jesteś prawnikiem...

— Byłby jeden środek — odpowiedział adwokat spokojnie — ale nie wiem czy księżna pani zechce go użyć. Już oddawna nad nim myślę.

— Użyję... dla jego i mego dobra nie cofnę się przed żadnym... przecie nie przypuszczam, by nim była trucizna.

Mecenas uśmiechnął się dwuznacznie.

— Takiego ja bym sam nie doradzał... środek o którym myślę, jest mniej hazardownym, a jak dla księcia bardzo nawet przyjemnym.

— Mów, mów, mecenasie! — zawołała księżna przysuwając się z fotelem.

— Książę jest jeszcze młodym, u młodych namiętność prędko się obudza, a że miłość jego terażniejsza ma charakter idealny, więc trzeba w nim obudzić miłość namiętną, która gdy będzie pomyslnym uwieńczona skutkiem, miłość idealną wyruguje z jego serca... Oto moja rada.

— Może i dobra — odpowiedziała księżna pochylając głowę aby myśli skupić — ale jak się wziąć do tego, jak plan przeprowadzić.

— O ile mnie się zdaje, nie powinno to być połączone z wielkimi trudnościami. W „towarzystwie“ jest przecie dosyć piękności, z których nie jedna podejmie się chętnie takiej misji...

— I ja jestem tego samego zdania... lecz rozważ mecenasie, że nie może to być ani panna, ani wdowa, bo wtedy Artur mógłby się drugi raz zakochać, a że nasze towarzystwo składa się także ze zbieraniny, więc z deszczu mogłabym się dostać pod rynwę.

— Poszukajmy zatem między mężatkami.

Zaczęli szukać. Mecenas, który znał na pamięć wszystkie gwiazdy świata arystokratycznego, kolejno wyliczał imiona, nad którymi księżna robiła uwagi. Sumienne badania długo nie doprowadziły do rezultatu, bo ta była za stara, tamta za brzydka, trzecia za ucziwa, inna znowu właśnie „zajęta“. Nareszcie gdy poczet był już wy-

czepany, i księżna tracąc nadzieję ręce załamała, adwokat nagle zapytał:

— A hrabina Leokadja?

— Cudowna myśl! — krzyknęła księżna radośnie z fotelu się zrywając. — Hrabina jest rzeczywiście kobietą jakiej szukamy. Nie pierwszej już młodości, więc chłopiec nie przywiąże się na długo, przystojna, zalotna, przystępna, i ma w sobie coś, za czem młodzież przepada.

— Ma niezrównaną metodę... dodał adwokat z uśmiechem.

— Czy tylko nie jest zajęta? Od kilku miesięcy siedzi na wsi i ani się pokaże.

— Nic nie szkodzi... ona lubi odmianę, a dla dobra młodych ludzi z przyjemnością zawsze się poświęca.

— Złośliwość twoja, mecenasie, przechodzi wszelkie wyobrażenie.

— Nie moja wina, że znam ludzką naturę.

— Przyszła mi jednak myśl — przemówiła księżna po krótkiej przerwie — która mnie trochę niepokoi. Czy nie uważałeś mecenasie, że do tej kobiety jest przywiązany jakiś fatalizm.. Ktokolwiek się w niej kochał, smutnie skończył... Pierwszy dostał pomieszania zmysłów, drugi zginął w pojedynku, trzeci narobiwszy długów sam sobie życie odebrał, czwarty...

— Przepraszam że przerywam... Przyznaję że bliższe stosunki z hrabiną Leokadją nie jednemu na złe wyszły, lecz zdaje mi się, że to ślepy przypadek... Zresztą księżna pani raczy rozważyć, że to my układamy intrygę. Gdyby książę sam się w niej zakochał, z własnego popędu, położenie byłoby inne, i kto wie czy owa fatalność przywiązana do miłostek hrabiny, nie odbiła by się także na nim... ale ponieważ autorem miłości właściwie ja jestem, bo na hrabinę pierwszy zwróciłem uwagę, więc fatalność chyba na mnie będzie się musiała pomścić... ja zaś przyjmę chętnie następstwa, jeżeli tylko przyczynię się tem do uspokojenia księżnej pani.

Matka Artura ujęła adwokata za rękę.

— Dziękuję ci, drogi mecenasie, jesteś szlachetnym i pełen poświęcenia! Dziś jeszcze pojedę do hrabiny, cokolwiek miałabym uczynić sprowadzę ją do miasta, jeżeli okaże się potrzeba, zapłacę nawet jej długi, których ponoś zawsze ma nie mało, a gdy już tu będzie, nie wątpię, że ocalimy Artura i honor rodziny.

Taki plan ułożyła księżna ze swoim adwokatem, p. Raczkim, który jak się przekonałem, udzielał rad we wszystkich sprawach, najdelikatniejszych nawet, jak skoro miał nadzieję, że za trud sownie będzie nagrodzonym.

Intryga udała się najzupełniej. Hrabina powajawiszy się niespodziewanie na widnokręgu „towarzystwa“ rozwinęła tyle zalotności, że księżę Artur, który ją dopiero teraz poznał, uczuł się odrazu dziwnie magnetyczną siłą do niej pociągnięty. Czyż można się dziwić, wszak miał zaledwie lat dwadzieścia cztery! Zaczęły się przypadkowe spotkania, czułe rąk uściski, listy pełne ognia, pocałunki i schadzki. Za tem poszło co pójsć miało. Podczas gdy młody człowiek bałamucił się w miście, nie myśląc co czyni, ani się zastanawiając dokąd go to zaprowadzi, nieszczęśliwa jego bogdanka otrzymywała co dzień po kilka listów od znajomych i nieznajomych, uwiadamiających ją o niewierze narzeczonego. Dziewczyna płakała, żądała wyjaśnień — odurzony zaś chłopiec odpowiadał wymijająco, bo żal mu było zerwać z tą, która w miłości tak świetną miała metodę. Obrabiona dziewczica myśląc że środkiem radykalnym uleczy zbłąkanego, odesłała mu pierścionek, który jej dał w dniu zaręczyn. Artur na chwilę przejrzał, chciał nawet miasto porzucić i pospieszyć do tej, którą uczciwie pokochał, lecz zręczna hrabina uprzedzona przez księżnę, wczas się znalazła by te zamiary zniweczyć...

Gdy w kilka miesięcy później Artur znużony i w kwaśnym humorze szedł przez miasto, stary

książę Romuald spotkawszy go, przytrzymał za ramię i rzekł:

— Mówiłem ci, że arystokracja powinna się u nas odrodzić przez związki ze szlachtą, w której żyłach krew zdrowsza płynie, jak u tych pasożytów... przyznałeś mi wtedy rację, przyrzekłeś pójść za moją radą, a tymczasem...

Artur milczał.

— Nie dziwię się — kończył książę — bo nie tyś winien... Jak widzę, my już nie mamy przyszłości, gdyż najlepsi nawet między nami, są jeszcze tak słabi, że do czynu energiczniejszego niczem ich nie popchniesz. Nie umiając żyć, usychajmy powoli, póki sami nie opadniemy z pnia narodowego. Taka nasza przyszłość!

Rozeszli się i odtąd nie widzieli się więcej. Książę Artur chcąc nareszcie uwolnić się od miłości pięknej hrabiny, wyjechał za granicę na czas dłuższy.

VI.

LOTERJA.

Żorż, służący księcia Artura, był komunistą w najobszerniejsze słowa tego znaczeniu. Co pańskie, to i moje — myślał sobie w duszy — ale że zuchwałej tej zasady nie śmiał jawnie w czyn wprowadzać, aby przypadkiem nie dostać się tam, z kąd człowiek nie wychodzi dobrowolnie, więc urzeczywistniał ją pokryjomu i tak zręcznie, że przez kilka lat młody pan jego ani raz go nie złapał na gorącym uczynku.

W codziennem pożyciu ze swoim chlebobodawcą, Żorż poprzestawał na dzieleniu się z nim cygarami, które mu bardzo smakowały, i na przeszukiwaniu kieszeń, gdy książę spać się położył. Artur chociaż nieroztrzepany i nad swój wiek stateczny, był jednak zbyt wielkim panem, by mógł zawsze pamiętać co miał przy sobie; a że lubił swego chłopca, i bardzo mu ufał, więc mu nigdy przez myśl nawet nie przeszło, by ten ośmielał się korzystać z tej jego nieostrożności. To też zda-

rzało się bardzo często, że Żorż nie mając do północy grosza przy duszy, wstawszy rano widzi się panem kilku, a czasem kilkunastu guldenów, jak gdyby go niemi aniołowie we śnie obdarzyli...

Gdy ksiązę z domu wyjechał i Żorża nie wziął z sobą, co jednak rzadko się zdarzało, sprytny chłopiec ubierał się w suknie swojego pana i w nich składał etykietałne wizyty znajomym, przy czem robił minę, jakby sam był księciem.

Z tem wszystkiem Żorż nie lubił pieniędzy dla pieniędzy. On ich nie składał, nie pieścił się ich widokiem; zaledwie przyszły, natychmiast je puszczał, i to nigdy sam, lecz zawsze w gronie wesołych przyjaciół lub przyjaciółek; a gdy ludzie umieją być wdzięczni za taką bezinteresowność, więc wszyscy, których ściślejsze stosunki z Żorżem łączyły, przepadali za jego towarzystwem nazywając go lubym i poczciwym chłopcem.

Na kilka dni przed wyjazdem za granicę, ksiązę Artur zmęczony tem co się stało, był nie raz tak roztargnionym, że ani wiedział co robił. Żorż skorzystawszy z jednej chwili takiej, wyjął mu z sakiewki, którą ksiązę w sukniach zostawił, trzy dukaty. Między niemi byłem i ja.

Tego samego wieczora, gdy ksiązę wyszedł do teatru, aby się rozerwać, Żorż zmieniawszy dwa dukaty, ugościł za nie kilku przyjaciół w żydow-

skiej winiarni za miastem, mnie zaś zostawił na później.

Nazajutrz o jedenastej przed południem, Żorż wyszedł do miasta za sprawunkami swego pana. Mijając plac Bernardyński, ujrzał przed drzwiami małego sklepiku, w kamienicy bardzo niepokaznej, tłum z kilkuset osób, które to wchodziły, to wychodziły ze sklepu.

Ciekawym co to może znaczyć — myślał wierny sługa księcia Artura, zdążając na wskroś do sklepu.

Na trotoarze stała gromadka ludzi, w których bez trudności można się było domyśleć rzemieślników.

— Nie mógłby mi pan powiedzieć — zapytał Żorż najbliższego — co znaczy ten ścisk przed temi drzwiami?

Zapytany spojrział na Żorża z widocznem zdziwieniem, ale nie odpowiedział.

Żorż powtórzył pytanie tonem protekcyjnym i szorstkim, właściwym tylko lokajom wielkich panów.

— Proszę pana dobrodzieja — odrzekł rzemieślnik, rękę do czapki podnosząc — ta to dziś środa.

— Więc cóż?

— Ta loteryję zamykają.

— Jak to zamykają?

— Ta tak, co zamykają... O drugiej będzie ciągnięcie, a o trzeciej wystawię numera na tablicy. Ja miałem dobre i postawiłem aż pięć rzędów. Założyłbym się, że wyjdą same ciężkie, bo mi się śniły bardzo wysokie góry.

— Żorż pomyślał chwilę; potem znowu zapytał:

— Czy można jeszcze postawić?

— Ta można, ale już najmniej 35 centów. Do niedzieli biorą po 5, w poniedziałek już najmniej 10, we wtorek 20, a we środę 35.

— Bo im bliżej ciągnięcia — dorzucił drugi rzemieślnik — tem więcej chcą zebrać. Dobrze ci oni spekulują!

Żorż uśmiechnął się z politowaniem. Bo czyż nie mógł śmiało litować się nad ludźmi, u których kilkadziesiąt centów były kwotą, godną ich zastanowienia i rozmowy! On na takie drobnostki nawet uwagi nie zwracał.

Nowemu mojemu właścicielowi muszę oddać tę sprawiedliwość, że prócz kart nie bawił się w inne gry hazardowe, i ani rzucał kostkami, ani stawiał na loterję; mimo to usłyszawszy, że wkrótce zamkną loterję, nabrał dziwnej jakiejś ochoty, a precyzyjnie się przez tłum mężczyzn i kobiet, wszedł do sklepu.

— Proszę pana, chciałbym postawić na loteryję — rzekł do mężczyzny siedzącego za obszernym stołem, i zajętego pisaniem numerów na małych karteczkach, które wręczał tłoczącym się zewsząd osobom.

— Bardzo dobrze... jakie numera?

— A kiedy sam nie wiem.

— To niech pan wyciągnie z tego woreczka — rzekł kolektant, pokazując lokajowi worek płócienny, który przed nim leżał na stole.

Żorż włożywszy poważnie rękę we worek, wyjął kolejno trzy gałki drewniane, z trzema na nich numerami.

— Oto są.

— Jak pan stawia?... *Secco-terno* czy *ambo-terno*?

— A za które więcej płacą?

— Za *secco* bez porównania więcej, bo za guldena wygrywa się blisko pięć tysięcy, lecz aby wygrać, trzeba żeby wszystkie trzy wyszły.

— Jeżeli tak to *secco*, kto by się tam łakomił na *ambo*!

Kolektant napisawszy numera, zapytał:

— A ile pan stawia?

Żorż wyjął mnie z kieszeni, i z lekceważeniem wielkiego pana na stół rzucił.

— Dukata?... Całego dukata? — mówił do siebie kolektant, przypatrując mi się uważnie do światła przez okulary, które mu na nosie bardzo ciężkie musiały, bo nos był fioletowo-czerwony.

— A cóż, jużci że dukata — odparł lokaj robiąc minę dumną.

— Sprawiedliwy dukat, wart pięć reńskich — rzekł kolektant głową potrzęsając, poczem kwotę zanotował i kartkę dał Żorżowi. — Za godzinę będzie ciągnięcie — mówił dalej patrząc w oczy lokajowi — numeru dobre, bardzo dobre, gotów pan wygrać dwadzieścia pięć tysięcy. To nie żarty, daj Boże szczęście!

— E! choćbym i nie wygrał — odpowiedział Żorż wychodząc — nie bardzo się zmartwię. Dukat nie majątek, człowiek miał ci już nie jednego.

Gdy wyszedł na ulicę, w izbie został tylko kolektant i jakiś nieznajomy pod ścianą przy drzwiach stojący; ubior na nim był bardzo biedny, buty podarte, a i twarz jego była wyniszczoną, choć może nie tyle pracą i nędzą, co zbytaniem używaniem gorących napojów. Gdy mnie Żorż na stół rzucił, oko tego człowieka, przed chwilą jakby mgłą przyślonięte, błysło nagłym ogniem i usta wykrzywiły się boleśnie.

— Ręczę — przemówił do kolektanta, gdy Żorż za sobą drzwi zamknął — że tego dukata

musiał ukrasć swojemu panu. Taki fagas ma zawsze pieniądze, choć nie pracuje, a biedny rzemieślnik...

— Miałby także — dokończył kolektant — gdyby chciał pracować.

— Łatwo to panu mówić, ale nie zawsze, choć człowiek chce, może pracować. Ot żeby nie daleko szukać, zeszłego tygodnia, ten pan od banku z brodą, co to mieszka na Zielonem, dał mi do podszycia parę butów, bo on wie że takiego jak ja majstra nie ma w całym Lwowie... jabym moją robotę w samym piekle poznał... i obiecał zaraz gotówką zapłacić. Zabrałem się popołudniu, przesiedziałem całą noc, ale rano musiałem przestać, bo mi brakło skóry na jedną podeszwę.

— I ręczę żeś pan buty zastawił.

— O, zastawił, zaraz zastawił! Czy to ja taki majster? Słowo honoru, ani myślałem zastawiać.

— To oddałeś pan bez podeszwy?

— A pan dobrodziej myśli, że ja taki szewc, co bez podeszwy oddaje buty swoim panom? O, ja jestem majster honorowy i wiem co do mnie należy. Ja nie „fuszer“!

— Więc co się stało z temi butami?

— Ta co się miało stać... Są i będą... Dziś rano pomyślałem sobie, pójdę do szynku naprzeciwko i panu Maciejowi dam buty do schowania, bo we własnej izbie nie trudno o nieszczęście. Czynsz płacę rzetelnie, a gospodarz psia wiara ani pieca w izbie nie kazał mi postawić, ani drzwi naprawić. Jakby się kto uwziął i podważył, toby wszedł jak do siebie, zabrałby mi wszystko, a potem apelacja do pana Boga. Cudza rzecz u mnie święta! Pan dobrodziej sam przyzna, że w takim domu porządnych butów nie można zostawić.

— Ma pan „recht“ — odrzekł kolektant.

— Jakem pomyślał, takem zrobił. Buty zostawiłem u szynkarza, on je pięknie włożył do kufra, potem kufer zamknął na dwa spusty, a ma kufer z takim zamkiem francuskim, coby go sam djabeł nie otworzył, i już miałem wyjść na miasto, gdym sobie przypomniał, że przy duszy nie mam grosza, a tu przecie trzeba coś zjeść i postawić na loterję, bo mi się śniły dobre numera i dwa żydy z białemi brodami.

— Stare żydy to pieniądze — zauważył kolektant — pewne pieniądze.

— I ja w to wierzę, bo od dziecka mi to gadali... a tamtego roku wdowa po krawcu, która koło mnie mieszka, postawiła także na dwa

żydy, i wygrała aż trzysta papierków! Ja też bojąc się, by mnie pewne pieniądze nie minęły, poprosiłem na odchodnym pana Macieja, żeby mi do jutra pożyczył papierka. Poczciwy szynkarz pożyczyl mi na słowo, jakem majster na słowo, nie na buty, i ja za dwadzieścia centów zjadłem sobie „fest“ śniadanie, a ośmdziesiąt postawiłem. Jak Bóg da, za dwie godziny będę panem. A dużo to, proszę pana, można wygrać za ośmdziesiąt centów?

— Blisko cztery tysiące.

— Cztery tysiące! Hej, hej, toż mi to będą zazdrościli. Żaden majster nie dorówna mi wtedy. Dziś Grzegorza za nic mają, nazywają go „kuter-nogą“ i mówią że pijak, zawalidroga, bo Grzegorz biedny... ale jak Grzegorz będzie miał pieniądze, ho! ho! wtedy nie przystępuj bez kija. Zaraz sobie najmę porządny sklep przy placu Marjaekim, przyjmę czeladników, chłopców i będę panem całą gębą, na cały Lwów.

— A jak dobrze pójdzie, to wszystko przepiję — dorzucił kolektant cynicznie.

— Na co bym miał przepijać! Przecie wtedy czeladnicy będą na majstra pracowali, to znajdzie się grosz i na kieliszeczek. Pan bo myśli że ja pijak, a ja jak Boga kocham tylko tak czasem... na zabicie robaka.

— Dobrze, dobrze — rzekł kolektant skła-

dając papiery na stole — teraz idźcie już panie Grzegorzu, bo niezadługo będzie ciągnięcie.

— Jabyłm pana dobrodzieja śmiał jeszcze prosić o jedną łaskę.

— O jaką?

— Chciałbym postawić na te trzy numera, które ten fagas wyciągnął. Tacy ludzie miewają czasem szczęście.

— To postaw.

— Dobrze postaw — odparł szewe skrobiąc się w głowę — ale cóż kiedy nie mam pieniędzy.

— Na to ja nie poradzę.

— E! jakby pan dobrodziej chciał, toby poradził. Mam tu przy sobie dwa nowiusieńkie kopyta, dopiero tydzień jak je kupiłem... niech mi pan zakredytuje, ja w zastaw dam kopyta, a po południu jak wygram, to oddam z dobrym procentem.

— *Sakramentnochamał!* — krzyknął kolektant — czy to ja lichwiarz, żebym brał zastawy, i to jeszcze co, kopyta! W cesarskiej loterji płaci się gotówką, nie kopytami. Idź sobie panie Grzegorzu do stu djabłów i daj mi święty pokój!

Przestraszony rzemieślnik schował kopyta pod połę surduta, i popychany przez kolektanta wyszedł na ulicę. Kolektant mruczając coś pod nosem wrócił do sklepu, a opieczętowawszy papiery le-

żące na stole, udał się do kamienicy, w której się mieści dyrekcja loterji.

Gdy szedł, po drodze kłaniali mu się rozmaici znajomi, którzy stali na chodnikach i pod murami, jakby w oczekiwaniu ważnego zdarzenia. On nie odpowiadał na ukłony, tylko poważnie i z zadumą na czole szedł tam — dokąd go jedni wzrokiem, drudzy osobiście odprowadzali. Pan kolektant śmiało mógł być dumnym, gdyż pod pachą niósł terażniejsze nadzieje i rychłe zawody kilku tysięcy swoich klientów.

We dwie godziny później, w jednej z narożnych kamienic przy ulicy Kopernika, odbywał się akt doniosły, którym przez dni czternaście, to jest aż do drugiej środy, krocie ludzi zajmowało się w całej Galicji. Mówiąc jaśniej, był to paroksyzm zgniłej gorączki, która trapi organizm monarchji austriackiej, paroksyzm nazywający się *ciągnięciem loterji*.

W sali przestronnej, przegrodzonej barjerą, siedziała przy jednym stole komisja, złożona z kilku urzędników, a na drugim stole stała urna kryształowa. W niej były numera — od jednego do dziewięćdziesięciu.

W sali za barjerą, tłum złożony z kilkuset osób należących do najniższej warstwy społecznej, cisnął się, potracał i niepokoił; gdyby straż nie

utrzymywała była porządku, namiętna ta fala byłaby barjerę pewnie przełamała. Wśród tej warstwy widziałem najwięcej kobiet, wyrobników i zbankrutowanych rzemieślników, jak p. Grzegorz „kuternoga.“ Oczy każdego biegały od urny do urzędników i napowrót, a gorączką oczekiwania usta spalone szeptały słowa prośby, by Opatrzność zlitowała się przecie, i kazała wyciągnąć właśnie te numera, których sobie życzył każdy z obecnych. Ci ludzie nie rozumiejąc, że tylko praca i wytrwałość dają dobrobyt, rzucali ostatni grosz na loteryę w nadziei, że najbliższe ciągnięcie wybawi ich z nędzy i przyszłość im zapewni. Biedni ludzie, stokroć biedniejsi, że państwo które powinno się nimi opiekować, złudną nadzieją wygranej samo ich do lenistwa zachęca i chciwość w nich pobudza.

O godzinie oznaczonej, do sali wprowadzono chłopca głuchoniemego, który obnażone ramię włożywszy do urny, wyjął pierwszy numer. Najstarszy urzędnik odczytał numer głośno i w księdze go zapisał. Tłum za barjerą dowiedziawszy się jaki wyciągnięto, poruszył się jak morska fala. Jedni spoglądali na kartki, które w rękach trzymali, drudzy pytali sąsiadów, czy ich przypadkiem słuch nie omylił, inni zwiesili głowy z rezygnacją, a niektórzy nawet się uśmiechali, bo pierwszy numer

był dla nich zapowiedzią wygranej. Poruszenie w sali nie trwało jednak długo, bo w ręku chłopca przy urnie pojawił się drugi numer. Gdy wszystkie pięć wyciągnął, zgromadzona publiczność zaczęła wychodzić hałaśliwie i z największym niezadowoleniem. Każdy przyszedł tu z piękną nadzieją — i każdy wyszedł rozczarowany. Najszczęśliwsi trafili po jednym numerze — inni ani jednego. Jak zwodniczą jesteś fortuno!

O pół do trzeciej z południa, kolektant, w którego kieszeni spoczywałem od rana, wystawił wyciągnięte numera na tablicy przed swoim sklepem. W mgnieniu oka kilkaset osób zgromadziło się na chodniku i na ulicy. Umiejący czytać odezytywali je głośno, a ci, którzy się „nie rozumieją na numerach“ słuchając uczyli się ich na pamięć.

— A niech cię „szlag“ trafi z takimi numerami! — wołała nie młoda już straganiarka przeraźliwym dyszkantem. — Za dwa dni zarobiłam papierka i całego postawiłam, a tu ani jeden numer! Bodaj tego, co loterję wymyślił..

— Nie przeklinajcie matulu — perswadował wyrobnik najbliżej stojący — ja trafiłem jeden, a drugi tylko o „jedno oko“ i nie nie mówię. Co się dziś nie stało, może stać się jutro.

— A to głupie numera! — mówił basem jakiś rzemieślnik do sąsiada — komu by to na myśl

przyszło, że takie wyjdą! Zeszłej nocy śniła mi się pszenica na wysokich górach... patrzę do sennika, pszenica znaczy pieniądze... myślę więc sobie, wysokie góry to wysokie numera... stawiam też pięć doskonałych, najmniejszy był sześćdziesiąt, a tu jak na złość wychodzą same lekkie, jak na śmiech. Tfu z taką loterją!

— Zapomnieliście — odparł słuchający — że na wysokich górach pszenica się nie rodzi, tylko na dolinach.

— To i cóż?

— Więc to miało znaczyć, że nie wysokie wyjdą numera, lecz małe, i że za małe będziecie mieli pieniądze.

Rzemieślnik osłupiał, tak go uderzyła genialna argumentacja przyjaciela.

— A, macie „recht“ — rzekł przykładając palec do czoła — że też to człowiek do grobu musi uczyć się rozumu; oho, już ja na drugi raz będę wiedział jak stawiać! nie głupim!

— Bodaj moją żonę jasny piorun spalił! — kłął młody wyrobnik — jak mnie zaczęła męczyć, prosić, namawiać, tak wziąłem ostatecznie pieniądze i postawiłem, a tu żeby choć jeden numer! Bodaj ci drugi raz język kołkiem stanął.

— A wy czemu płaczecie? — zapytał ktoś

z przechodzących wieśniaka w sile wieku, który stojąc pod murem rękawem łzy ocierał.

— Jak nieplakać jegomostuniu — odrzekł wieśniak, kłaniając się do kolan pytającemu — kiedy ja już dziad, i do wsi nie ma po co wracać.

— Cóż wam się stało? Czyście się popalili?

— Oj jegomostuniu jeszcze gorzej!

— Gorzej?

— Oj tak, jegomostuniu. Zeszłego roku mojej kobiecie śniły się dwa numera, które postawiła u nas w miasteczku jak na targ poszła. Nieszczęście chciało, że oba wyszły i wygraliśmy dwadzieścia cztery papierki. Żyd psia wiara, który u nas trzyma loterję, jak zaczął potem namawiać, żebyśmy stawiali na każde ciągnięcie, bo my mamy szczęście, to aż do tego przyszło, że zostałem dziadem. Miałem chałupę, grunt, trzy krowy, parę wołów, a dziś mam tylko to co na sobie.

— To źle, bardzo źle... od czegoż rozum!

— Rozum, prawda, ale z kąd głupi chłop weźmie rozumu, kiedy jak widzę nie mają go tu ani mieszczanie, ani panowie. Po wyprowadzeniu pierwszej krowy chciałem już dać pokój temu lichu, ale wtedy żydy psie wiary zaczęły mi gadać, że jak kto przegra dwa tysiące, to cesarz nietylko wróci mu wszystkie pieniądze, lecz da mu jeszcze pensję do końca życia. Pomyślałem sobie, kiedy

tak to będę stawiał, bo na dwa tysiące stać mnie przecie. Dwa tygodnie temu nic już nie miałem, ale za to okrągłe dwa tysiące były przegrane. Idę do kolektanta, aby mi napisał podanie do cesarza o pieniądze i pensję, a żydy w śmiech; idę na skargę do starosty, a starosta kazał mnie za drzwi wyrzucić. Myślę sobie źle i wróciłem do domu. W domu uradziliśmy z żoną, że trzeba sprzedać ostatni kozuch i pójść do Lwowa, bo tam przecie mądrzejsi panowie, a i do cesarza ztamtąd bliżej. Przeszedłem tu, nachodziłem się dosyć po różnych urzędach, lecz na nic się nie zdało. Tu mnie wyśmiali — tam za drzwi wyrzucili, a jeden pan powiedział mi nawet, że poszle po policję, jeżeli się zaraz nie wyniosę. Dziś rano chciałem jeszcze raz popробować szczęścia i ostatnie pieniądze postawiłem. Ale gdzie tam! Ani jeden numer nie wyszedł. Co ja teraz pocznę, co ja pocznę z sobą!

— Ale że też mój gospodarzu nie mogliście się wstrzymać.

— Ta jak tu się wstrzymać jegomostuniu, kiedy z jednej strony żydy złodzieje namawiają, bo taki kolektant psia wiara nie ma pensji, tylko prowizję od zebranych pieniędzy, więc chce zebrać jak najwięcej, a z drugiej znowu strony, jak człowiek raz grać zacznie, to tak go potem ciągnie jak do wódki. Gospodarstwo już mu nie w gło-

wie, w nocy śnią się same numera, i tak idzie nieszczęście. U nas we wsi już nie jeden poszedł na dziada przez tę loterję przekłątą. Ale że też panowie co nie uradzą, żeby tego paskudztwa więcej nie było. Przecie my wybieramy posłów do Sejmu i do Wiednia, ta niechby ci posłowie zebrali się kiedy i skasowali loterję. Ale im to widać nie w głowie! Już tyle lat wybieramy tych posłów, a dotąd nie słysząc, żeby który z nich myślał o tem.

— Zniesienie loterji — odpowiedział słuchający — nie zawisło od posłów lecz od rządu, rząd zaś powiada, że loterja daje mu kilka milionów, których potem nie miałby zkad wziąć.

— A mnie tu mówił jeden pan — odparł wieśniak — że są kraje, które dawniej miały także loterję, a dziś jej nie mają, bo się przekonały, że to rzecz nie dobra i biedni chrześcijanie na tem cierpią. Przecie i one miały z niej dochód, a teraz obchodzą się bez niego! Czemu więc tylko u nas ma być takie nieszczęście i ciągła obraza boska, bo jak człowiek dużo przegra, to klnie wszystkich, i siebie i żonę i dzieci, i radby jednej chwili nie żyć. A nie byłoby to lepiej, gdyby na przykład nałożyli po kilka centów podatku na każdą głowę, toby się pewnie zebrały te pieniądze,

które loterja przynosi, i nie byłoby więcej nie-szczęścia.

— Dobrze mówicie gospodarzu, powinno być inaczej, i jeżeli szczerze pragniecie by loterja zo-stała zniesioną, to wróciwszy na wieś, mówcie swoim sąsiadom, by tylko takich posłów wybie-rali, którzy będą pracowali dla kraju, a nie sie-dzieli jak lalki w Sejmie. Jak wszyscy z nich da-dzą sobie słowo, że każde złe, które jest w kraju, będą się starali wykorzenić, to niezadługo i u nas będzie lepiej. A teraz bądźcie zdrowi gospodarzu, wróciwszy do domu weźcie się do pracy uczciwej, żydów nie słuchajcie, a to przyjmijcie na drogę.

Z temi słowy nieznajomy wcisnął w rękę wieśniakowi kilka banknotów, i nie czekając po-dziękowania skręcił szybko w boczną ulicę. Wie-śniak postać jeszcze chwilę, otarł rękawem łzę ostatnią, i poszedł drogą do wsi rodzinnej, gdzie teraz czekała go praca zarobnika, a na starość kij żebraczy.

Przed kolekturą zrobiło się pusto — za to wewnątrz pojawiły się nowe postaci.

Na sofie wypłowiej pod oknem, siedziała kobieta około lat czterdziestu, a obok niej żona kolektanta, starsza od niej o lat kilka. Obie wiodły z sobą żywą rozmowę.

Pierwsza była żoną oficera na pensji. Wszy-

stkie pieniądze, a było ich nie wiele, które jej mąż oddawał pierwszego dnia każdego miesiąca, szalona ta kobieta rzucała na loterję w najgłębszem przekonaniu, że dzień prawdziwego szczęścia wkrótce dla niej zaświta. O niczem nie mówiła tylko o loterji, i tylko o niej marzyła. Przypadek, chcąc tę nieszczęsną jak najbardziej ukarać, pozwolił jej kilka razy wygrać mniejsze kwoty, a niejednokrotnie znowu tak zrządził, że na loterji wyszły numera, bardzo do tych zbliżone, które ona postawiła, co ją do tego stopnia drażniło, że już na oślep rzucała się w otchłan. Przypatrując się ludziom, przyszedłem do przekonania, że kobieta jest pod każdym względem namiętniejszą od mężczyzny. Zapatrując się na wszystko jednostronnie, ze stanowiska własnej indywidualności, własnych potrzeb, skłonności a nawet zachcianek, przygłusza w sobie rozum i idzie tylko za nerwami, lub za tem, co w jej przekonaniu sercem się nazywa. To też gdy kocha, kocha całą duszą, z zamkniętymi na wszystko oczami; gdy nienawidzi, straszna ta namiętność wypełnia całe jej jestestwo; nareszcie gdy gra, staje się szulerką, dla której nie ma lekarstwa.

W sławnym owym domu gry, w którym dostałem się do rąk poczciwemu Francuzowi, widziałem przy rulecie mężczyzn i kobiety. Pierwsi

roznamiętnieni grą hazardową, wyglądali strasznie — drugie wstrętne.

Nie mniej wstrętną była dla mnie żona porucznika.

Przez kilkanaście dni z rzędu widziałem ją siedzącą na sofie pod oknem. Regularnie przychodziła o trzeciej z południa, odchodziła zaś gdy sklep zamykano. Zrana także zaglądała, ale tylko na chwilę, wymawiając się zawsze brakiem czasu. Gdy żona kolektanta, która żyła z nią w przyjaźni, chciała ją kiedy zatrzymać, szybko odpowiadała:

— Nie mogę, bo muszę mężowi obiad zgotować... chciałam się tylko dowiedzieć czy przyszły numera z loterii peszteńskiej.

Kiedy indziej pytała:

— A jakie wyszły na wiedeńskiej? Czy prawda że na tryesteńskiej wygrał ktoś dwadzieścia tysięcy? Jak się nazywa ten pan, który zeszłego ciągnięcia na kolekturze w rynku zrobił terno za dwa guldeny?

I tak dalej, i tak dalej co dzień rano.

Ilekróć wszedł kto po południu do sklepu, przerywała natychmiast rozmowę, i z wytężoną uwagą ajenta policyjnego słuchała numerów, które przybysz stawiał. Nieobznajomionym z grą loteryjną udzielała chętnie rad przyjacielskich, a choć

ją o to nigdy nie proszono, nieraz stawiającym wyciągała z worka gałki z numerami, twierdząc, że dla drugich jej ręka jest bardzo szczęśliwą.

— Żebym ja miała te pieniądze — mawiała w takich razach z miną tajemniczą — które ludzie przezemnie wygrali, byłabym dziś panią. Ja tylko dla siebie nie mam szczęścia.

Sny i ich tłumaczenie były najulubieńszym tematem jej rozmowy. Po za tem nic dla niej nie istniało. Światem była dla niej cyfra — niebem kwota, którą ta cyfra mogła przynieść. Ale nie same tylko sny dostarczały jej treści do rozmów i kombinacyj loteryjnych; dla niej wszystko co się stało miało równą wartość. Przejechała doróżka psa na ulicy, pani porucznikowa wiedziała do kilku godzin, jaki numer miała doróżka, ile lat miał woźnica, i pod którym numerem mieszkał właściciel pieska. Z tych trzech danych składało się terno. Umarła jaka wybitniejsza osobistość, pani porucznikowa zapisywała natychmiast wiek nieboszczyka, potem dzień jego śmierci, nakoniec numer kamienicy w której go śmierć zaskoczyła.

I tak dalej, i tak dalej w nieskończoność.

Loterja lwowska była dla niej zbyt szczerpłym zakresem działania. Ona stawiała na wszystkie, ile ich jest w państwie austriackim; jeżeli czasem brakowało* jej pieniędzy, a kolektanci utrzymujący

we Lwowie loterje zamiejscowe, odesłali już byli książki do miast odnośnych, namiętna ta kobieta poruszała niebo i ziemię, a wydobywszy pieniądze stawiała we Wiedniu, Tryeście lub Pradze za pośrednictwem telegrafu. Po spełnieniu tego czynu, twarz jej była rozpromienioną, ożywiały się nadzieje, i obliczenia na przyszłość końca już nie miały.

Pani porucznikowa byłaby oddawna wielki zrobiła majątek, gdyby nie „jedno oko“ które ją bez miłosierdzia prześladowało. Ileż to razy zdarzyło się, że z trzech postawionych numerów wyszły dwa, trzeci zaś bądź miał za wiele, bądź za mało o jednostkę. Naprzykład jeżeli zamiast 85 wyszło 84, albo 86, znaczyło że było terno ale o „jedno oko.“ Nieszczęsne oko!

Mąż szulerki wyglądał jak człowiek z krzyża zdięty. Twarz miał bladą, wyniszczoną, a że należał do ludzi niesłychanie słabego charakteru, więc z początku nie umiał utrzymać żony na pochyłości na którą wstąpiła, później zaś jak bryła ziemi, porwana na stoku góry przez kamień spadający, uległ fatalizmowi który ją otaczał, i choć w mniejszych rozmiarach grał także w loterję. Strasznie było patrzeć na to małżeństwo, które namiętność tak spodliła że prawie ludźmi być przestali!

Jakie było ich domowe pożycie? W domu

ich nie byłem, wszelako z częstych skarg żony na męża, a męża na żonę, mogłem się domyśleć, że było ono okropne, przerażające. Nie zajmując się poważnie niczem, a myśląc li o tem, co się nigdy ziścić nie mogło, zobojętnieli dla siebie, sprzeczekali się od rana do nocy, i złorzeczyli sobie nawzajem. On oskarżał ją, ona jego. I musieli się oskarżać, bo każde chciało zrzucić z siebie choć część odpowiedzialności za nędzę jaka w domu panowała. Czasem było co jeść, a nie było przy czem zgotować — czasem było drzewo, a nie było za co kupić kawałka mięsa. Pensja była mała, a gdy większa jej połowa ulatniała się z różowemi nadziejami, więc trzeba było pożyczać od żydów na lichwę, i potem cierpieć, cierpieć bez końca.

Nieszczęście lub szczęście dla tych ludzi że dzieci nie mieli. Widok istot niewinnych, byłby może rodziców ocalił — a także być może, że nie umiając pohamować dzikiej namiętności, byłiby z własnymi dziećmi w przepaść runęli.

O piątej nad wieczorem, pani porucznikowa wyjmowała regularnie dziesięciocentówkę, którą brała żona kolektanta. Za tę kwotę zjawiała się wkrótce na blaszanej tacy szklanka kawy popielatej z bułką dwucentową. Pani porucznikowa piła z wielkim apetytem — lecz mimo to ciągle słuchała co w izbie mówiono.

Dwa tygodnie spędziłem w kieszeni kolektanta; przez ten czas tysiące osób różnego stanu i wieku przesunęło się przez jego sklepik. Większość wchodziła śmiało i głośno numeru wymawiała, ale byli i tacy, którzy wchodzili ukradkiem, jakby się własnego cienia bali. Ci wstydzili się że grają w loteryję!

Zdarzyło się raz, że do sklepu wszedł jakiś jegomość już niemłody, szkolny kolega kolektanta. Był to człowiek poważny, rozumny i wielki nieprzyjaciel loterji. Z rozmowy, która się między nimi toczyła, zapamiętałem kilka ważniejszych szczegółów, które taraz powtórzę.

Gra w loteryję urodziła się na klasycznej ziemi włoskiej, w Genui, gdzie na 90 członków wielkiej Rady, zawsze 5 wylosowywano. Tłum zaczął przy tej sposobności grać zapamiętałe, stawiając zakłady na nazwiska osób, które zostaną wylosowane. W r. 1620 państwo samo założyło bank na te zakłady. Później zamiast nazwisk radnych zaczęto zwyczajnych liczb używać. Loterja aż do pierwszej połowy XVIII wieku, była własnością Genuńczyków, którzy w wielu większych miastach pozakładali własne kolektury. Za papieża Klemensa XII wprowadzono ją do Rzymu, w r. 1752 pojawiła się we Wiedniu, a w r. 1773 w Berlinie.

Grający w loteryję stawiać może dowolnie: jeden numer (estratto) dwa (ambo) trzy (terno) cztery (quaterno) lub pięć (quinterno.) Ponieważ w pięciu numerach, które z dziewięćdziesięciu bywają wyciągane, jest według nauki kombinacyj tylko 10 tern i 10 amb, dziewięćdziesiąt zaś numerów dają razem 4005 amb, a 117.480 tern, przeto bank loteryjny ma tak olbrzymią przewagę nad grającym, że pomódz mu tu może chyba ślepy przypadek. Jeżeli dalej pójdziemy, proporcja stanie się jeszcze większą. W pięciu liczbach jest pięć quaternów i 1 quinterno, a w dziewięćdziesięciu 2.551.190 pierwszych, drugich zaś 43.949.268. Jeżeli się zważy, że publiczność może rozporządzać zawsze tylko pięciu numerami, gdy natomiast bank loteryjny ma ich 85, to nie trudno zrozumieć, dla czego ogół ciągle przegrywa, a tylko ślepy wypadek komuś czasem wygrać pozwoli. Ponieważ grający tak wiele ryzykuje i z loteryją do tak nierównej staje walki, więc sprawiedliwą byłoby rzeczą, gdyby przynajmniej nagroda zostawała w stosunku do ryzyka. Tymczasem tak nie jest. Za guldena postawionego na terno powinno by się wygrać 11.748 guldenów, a kasa wypłaca tylko 4.800 guldenów. Pięć trafionych numerów powinneby przynieść wygrywającemu 43.949.268 guldenów, a on dostaje 48.000 gulde-

nów t. j. zaledwie tysięczną część tego, co mu się słusznie należy.

Już same te cyfry wydają przeciwko loterji wyrok potępiający.

Loterja, jak każda gra hazardowa, jest w najwyższym stopniu niemoralną i szkodliwą. Nie tylko że warstwie zarobkującej wydiera grosz ostatni, który rok rocznie inaczey spożytkowany, mógł by nie mało przyczynić się do podniesienia dobrobytu, ale nadto demoralizuje ona klasę ciemną, powtarzając jej bez przerwy, że bez pracy można się wzbogacić, za czem często gęsto idą nawet zbrodnie. Żadne państwo dbające o dobro swoich obywateli nie powinno cierpieć tej plagi. Dla tego to Anglja zniosła ją w r. 1826, Francja w r. 1836, a później Włochy i Niemcy. W Austrii natomiast loterja istnieje do dnia dzisiejszego!

Im krytyczniejsze czasy, im nędza większa, a zarobek trudniejszy, tem większa liczba graczy rzuca się do gry w loterję. Na udowodnienie tego twierdzenia niech posłużą niektóre daty statystyczne. W r. 1870, wkładki w całym państwie austriackim wynosiły 74 miljony; w r. 1871. 80 miljonów, t j. o 6 mil. więcej; w r. 1872 84 mil. znowu więcej o 4 miliony, a podczas krachu wiedeńskiego z r. 1873, aż 96 miljonów.

Wprawdzie wkładki składały się często z kwot drobnych, lecz już sam ich przyrost świadczy o gangrenie zarażającej co raz szersze koła.

Jeżeli odtrącimy koszta administracji i sumy wypłacone wygrywającym, państwo zyskuje rocznie przez loteryę, do 5 od 8 milionów. Cyfra to imponująca, nie da się zaprzeczyć, ale czyż państwo nie może przyjść do niej na drodze innej, moralniejszej? Niech opodatkuje w jakikolwiek sposób ludzi bogatych; niech na komorach swoich ustanowi wysokie cła od towarów zbytkowych; słowem niech zrobi cokolwiek, na co pozwala zdrowa ekonomja polityczna — lecz niech nie ciągnie zysków z poziomych instynktów ludzkich, niech zarobników i rzemieślników w przepaść nie wtrąca.

A posłowie zasiadający w Sejmie galicyjskim czy nie widzą tej choroby? A może brak im odwagi cywilnej do wystąpienia z protestem przeciwko instytucji, która bądź co bądź jest hańbą bieżącego stulecia i wstydem dla państwa cywilizowanego! Jako Holender, nie mogę pojąć tej obojętności, i chyba wtedybym ją zrozumiał, gdybym zapomniawszy o własnem pochodzeniu, sam został Galicjaninem. Ale na szczęście tego się nie spodziewam...

Czternastego dnia po rozstaniu się z Żorzem,

stałem się własnością poważnego jegomości, który mnie kupił od kolektanta.

Nowy mój właściciel nazywał się pan Kalikst. Był to mężczyzna sześćdziesięcio-kilkoletni, biały jak gołąb, słuszny i dobrej tuszy. Bliżsi i dalsi znajomi poważali go nie mało, bo pan Kalikst nie należał do ludzi, którzy młodość trawiają na rozrywkach. Chociaż rodziców miał bardzo zamożnych, oddał się gorliwie naukom, i z postępem celującym ukończył studia uniwersyteckie. Rozpoczynając karierę w sądownictwie, byłby zaszedł bardzo wysoko, gdyby nie wypadki polityczne, które go skłoniły do podziękowania za służbę rządową.

Objąwszy po śmierci rodziców, jako najstarszy w rodzinie, obszerny majątek ziemski, był gospodarzem wzorowym i sąsiadem najlepszym. Wszyscy go kochali i każdy chętnie jego rady zasięgał.

Podczas gdy na wsi gospodarzył, umarł mu brat, a siostra najmłodsza, ostatnia z rodzeństwa, wyszła za mąż na Podole. Szwagier, będąc sam dość zamożnym, nie bardzo upominał się o posag, i całą część schedy, która prawnie należała się jego żonie, zostawił w rękach jej brata. Pan Kalikst oceniając to zaufanie, często powtarzał:

— Dobrze masz Leonie, że nie odbierasz posagu. W terażniejszych czasach trudno o gotówkę, gdybyś mnie więc przycisnął i pieniędzy zażądał,

musiałbym chyba sprzedać majątek. A żal by mi go było, wielki żal, boć to ziemia familijna. Tam się urodził, tu i twoja żona na świat przyszła. Ja będę pracował, przysparzał jeszcze, a żem już stary, więc niezadługo wszystko wam oddam za spokojny kąć w waszym domu. Nie ożeniłem się, dzieci nie mam, komuż zatem zostawię, jeżeli nie wam?

Pan Leon ścisnął szwagra, dziękując mu za serce szlachetne.

W kilkanaście lat później zdarzyło się raz, że pan Kalikst będąc w powiatowem miasteczku na jarmarku, był przytomnym rozmowie dwóch sąsiadów, którzy bardzo żywo rozprawiali o loterji. Jeden z nich chwalił loterję, drugi potępiał.

— Kiedy ją tak chwalisz — rzekł nareszcie przeciwnik — to pokaż mi choćby jednego człowieka, któregoby loterja wzbogaciła. Ja wiem, że jeżeli kto kiedy wygrał, to z pewnością chcąc potem więcej wygrać, wszystko stracił.

— I ja jestem tego samego zdania — wtrącił pan Kalikst, przysuwając się do rozmawiających, — chociaż z drugiej strony nie mogę powiedzieć, by wygrana należała do rzeczy tak nadzwyczajnych.

— Doprawdy?

— Takie jest moje przekonanie. W życiu całym nie lubiłem ani kart, ani loterji, ani innej gry

hazardowej, a mimo to za studenckich moich czasów założyłem się raz o paczkę cygarów, że wygram na najbliższem ciągnienu, i w rzeczy samej wygrałem.

— Czy być może! — zawołali słuchacze.

— Powtarzam wam że wygrałem, wprawdzie ambo tylko, za które mi zapłacono mizerne cztery guldeny, lecz zwycięstwo było zawsze po mojej stronie.

— Ambo to nie! — zauważył jeden.

— Dobrze terno zrobić, to mi sztuka! — dorzucił drugi.

— A kto wie czyby mi się i terno nie udało, gdybym spróbował.

— Próbuj, zobaczymy!

— Kiedy przypada najbliższe ciągnienu lwowskie?

— Pojutrze.

— Więc czas jeszcze?

— Ale czas, czas do jutra wieczora.

Pan Kalikst chwili się nie zastanawiając, napisał trzy numera na karteczce, którą przez chłopca z oberży posłał do kolektanta z pięcioma guldenami.

Wróciwszy do domu, na śmierć zapomniał, że postawił na loteryję, a po ciągnienu nie posłał nawet do miasteczka po numera. Jakież więc było jego zdumienie, gdy trzeciego dnia pojawił się na

wózku przed gankiem Icek usłużny, który ukłoniwszy się w pierw do kolan jaśnie wielmożnemu dziedzicowi, wykrztusił potem, że jaśnie wielmożny dziedzic wygrał w loteryję 24.000 guldenów.

— *Vier und zwanzig Tausend, a mane munes vier und zwanzig Tausend!* — powtarzał żyd kłaniając się jeszcze niżej, będąc pewnym, że za dobrą nowinę coś dostanie.

Tak więc ślepy przypadek znowu zrządził, że pan Kalikst wygrał, chociaż ani potrzebował tego, ani pragnął. Sąsiedzi zazdrościli mu szczęścia — ale on sam nie był jakoś zadowolonym. Od tego dnia stał się mniej mownym, rzadziej z domu wyjeżdżał, chętnie przesiadywał w swoim gabinecie, a nawet posmutniał.

Wkrótce potem, gdy się tego w okolicy najmniej spodziewano, sprzedał majątek i na stałe mieszkanie do Lwowa wyjechał.

Szwagier Leon, usłyszawszy o sprzedaży ziemi, zjawił się dość zaniepokojony, wszelako pan Kalikst tak mu pięknie rzecz całą wytłumaczył, i takimi go obsypał obietnicami, że pan Leon chętnie z niczem wrócił do żony.

— Jeżeli byś koniecznie pieniędzy potrzebował — mówił mu pan Kalikst na odjezdnem — to w takim razie musiałbyś mnie o tem na kilka miesięcy poprzód uwiadomić, bo przyznam ci się szczerze,

że dla bezpieczeństwa całą gotówkę pomieściłem na wybornych hipotekach.

I tu wymienił kilka nazwisk magnackich, z których każde dawało dostateczną rękojmię wypłacalności i rzetelności.

W rok później, Leon i jego żona pomarli na epidemję. Po nich została jedyna córka, Jadwiga, która na trzy miesiące przed śmiercią rodziców za mąż wyszła; ona więc była teraz wyłączną spadkobierczynią rodziców i swego wuja, pana Kaliksta.

A pan Kalikst czem się we Lwowie zajmował?

Gdy po kupieniu mnie od kolektanta wrócił tego dnia do domu, wszedł do gabinetu i na klucz się zamknął. Służący w przedpokoju, przyzwyczajony do zajęć swego chlebodawcy, nigdy mu nie przeszkadzał, a zgłaszających się z wizytami odprawiał lakonicznem: pana nie ma w domu.

W gabinecie pod oknem, wychodzącem na boczna ulicę, stało wysokie biurko orzechowe w kształcie szafy, którego górna połowa tak się otwierała, że tworzył się wygodny pult zielonem suknem obity. Wewnątrz szafy było mnóstwo szufladek, kryjówek, w których leżały książki dość poniszczone, prawdopodobnie wskutek częstego używania, mnóstwo listów i drobnych karteczek.

Gabinet sam, jak w ogóle całe mieszkanie

nowego mego właściciela, był pięknie, prawie bogato urządzone, a chociaż meble nie należały do najnowszych, ich fason i obicia świadczyły, że ten, kto je niegdyś kupował, miał dobry smak i był człowiekiem zamożnym. Świeże, rokoszne kwiaty w wazonach, ożywiały to samotne mieszkanie staro- kavalera, a dobrego pędzla obrazy na ścianach reszty dopełniały.

Pan Kalikst otworzywszy biurko, włożył okulary, położył przed sobą kilka arkuszy białego papieru, wziął ołówek w rękę i zaczął coś liczyć. Liczył długo, nieskończenie długo, jeden i drugi arkusz papieru zapisał samemi cyframi, a potem w pugilaresie robił jakieś notatki. Gdy tę pracę ukończył, wziął jedną z owych książek, o których wspomniałem, i cały zatopił się w czytaniu. Było to dzieło niemieckie, o tytule zakazanym, poświęcone szlachetnej grze w loteryję.

Autor, spekulujący na ludzkie namiętności, zapewniał w przedmowie, że ktokolwiek pójdzie za jego wskazówkami, niewątpliwie wielki na loterji zrobi majątek. Aby łatwowiernych tem prędzej przekonać, na każdej niemal stronie poumieszczał jakieś znaki kabalistyczne, prorocтва wielkich ludzi, cytaty z nieznanym nikomu ksiąg mądrości i tym podobne brednie. Przy końcu znajdowało się tłu-

maczenie snu każdego, przy niem zazwyczaj trzy, czasem zaś tylko dwa numera.

Po przewertowaniu całego dzieła o czterystu stronicach, pan Kalikst przejrzał kolejno resztę książek. Były to bądź senniki, bądź instrukcje gry w loteryję. Pierwsze były po większej części polskie, drugie same niemieckie — bo przecie cywilizacja germańska wyżej stoi jak polska... Gdy wszystkie przejrzał i wyciągi z nich porobił, znowu zaczął liczyć, kombinować i notować, a po ukończeniu żmudnej pracy, która mu zajęła kilka godzin czasu, otworzył drzwi i zadzwonił na służącego.

— Mój żyd nie był jeszcze?

— Nie był proszę jaśnie pana — odrzekł służący.

— Jak przyjdzie zaraz go wpuść do mnie.

Służący wyszedł, a pan Kalikst zapaliwszy sobie fajkę na długim cybuchu, krokiem wolnym, poważnym, zaczął się przechadzać po gabinecie. Piękna to była postać tego starca tajemniczego, o którym najbliżsi znajomi nie wiedzieli, nad czem tak ślęczy po całych dniach i nocach. Gdyby go był teraz kto podpatrzył, przysięgłby bez wahania, że mózg jego pracuje nad rozwiązaniem najważniejszych pytań, któremi się ludzkość zajmuje.

W niespełna pół godziny, gość spodziewany we drzwiach stanął.

Był to żyd jak każdy inny, z fizjonomją bardzo chytrą, i tylko strojem europejskim, choć nieco brudnym, różniący się od reszty żydów polskich.

— Panie Hersch — rzekł gospodarz, wyjmując notatkę z kieszeni — te sześć numerów postawisz na lwowskiej, po 200 guldenów na każdy numer *estratto*; drugie sześć na wiedeńskiej po 300 na numer, a ostatnie na peszteńskiej po 500 guldenów na numer, razem sześć tysięcy.

— To wielmożny pan na innych loterjach nie stawia?

— Tym razem nie, bo mnie już dwa ciągnięcia zawiodły.

— Co to szkodzi! Jak wielmożny pan wygra to od razu wszystko odbierze. A pamięta pan dobrodziej, jak przed pół rokiem Hersch poradził postawić na jeden numer na tryestyńskiej całą tyśiączkę, i wielmożny pan wziął wtedy *vierzen Tausend!* Tryestyńska to najlepsza, ciu, ciu, ciu, jaka to loterja!

— Nie, nie, dziś dam pokój... na drugie ciągnięcie postawimy na wszystkich ile ich jest w Austrii.

— Jak wielmożny pan każe, tak ja zrobię..

Wielmożny pan ma taki rozum, że jeżeli kto wygra, to wielmożny pan z pewnością!

Z kasy stojącej naprzeciw sekretarza, pan Kalikst wyjął sześć tysiączek, które dał żydowi; pośrednikowi swemu tak ufał, że nawzajem nie żądał od niego nawet kwitu.

— Idź pan zaraz — rzekł odprowadzając żyda do drzwi — a ja tu poczekam na kartki.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny, za pół godziny pewnie wrócę.

Tak więc pan Kalikst, ten uczeń celujący, sędzia wzorowy, najlepszy syn i brat, pracowity gospodarz i kochany sąsiad — u schyłku swego życia został... szulerem.

On grał w loteryję!

Co go na tę drogę wprowadziło? Jak tajniki Opatrzności, tak według mego przekonania niezbadane są także tajniki ludzkiej natury. Kto odgadnie, jaka struna uspiona drzymie na dnie duszy tego lub owego człowieka, i jaki dźwięk wyda, gdy wypadek zuchwałą rękę o nią uderzy. Iluż to ludzi, których świat znał jako wstrzemięźliwych, nagle się rozpiło; iluż widzieliśmy takich, o których prawości przez długie lata wszyscy byliśmy przekonani, a którzy dopuścili się występków — iluż wreszcie zacnych skończyło w więzieniu. Zaiste, wielką prawdę ktoś powiedział, że bardzo

zacnym być potrzeba, by prędzej lub później nie zostać łotrem!

Pan Kalikst nie miał nigdy do gry skłonności, wszelako po wygraniu owych dwudziestu czterech tysięcy, coraz częściej myślał o loterji, a wierząc w szczęście, które po dwakroć dopisało mu tak cudownie, nieraz zadawał sobie następujące pytanie:

— Czy warto na wsi niewdzięcznem męczyć się gospodarstwem? Czy nie lepiej grać ostrożnie, mądrze kombinując, i w ten sposób podwoić a może nawet potroić majątek? Przecie święci garnków nie lepia... Mogłem nie obliczając wygrać dwa razy, to dobrze obliczając wygram pewnie sto razy.

Zły genjusz tak długo prześladował go i dręczył, póki projektu nie wykonał. Sprzedał więc majątek, i z gotówką wynoszącą do trzech kroć sto tysięcy przyjechał do Lwowa. Odkąd systematycznie grać zaczął, został innym człowiekiem. Namiętność tak teraz wzięła nad nim górę, że zapomniał o wszystkim, o obowiązkach obywatelskich i rodzinnych.

Z tem wszystkim namiętność nie oślepiła pana Kaliksta do tego stopnia by nie wiedział, że to co czynił było nagannem, i że się tego wstydzić należało. Od czasu do czasu zaglądał do kolektur, lecz tylko do takich, w których sprzedawano cy-

gara. Kupując cygara, słuchał co zgromadzeni mówili i przypatrywał się jak stawiali, ale sam nigdy grosza nie postawił. W pięknej tej czynności wyręczał go faktor, p. Hersz, który od niego nie wiele brał za fatywę, albowiem główny jego dochód pochodził od kolektantów, którzy płacili mu pewien procent od pieniędzy postawionych. Żyd zachęcał go też do gry najrozmaitszemi środkami.

Pan Kalikst był nadto dobrym matematykiem, by nie wiedzieć, że stawianie na terna i amba jest śmieszny hazardem. Aby pewniej wygrywać, grał na pojedyncze numera, przyczem tak postępował: Z dziewięćdziesięciu numerów wybierał pięć, dziesięć, czasem nawet dwadzieścia, i na każdy z tych numerów rzucał po kilkaset guldenów. Jeżeli więc na 5 postawił trzysta guldenów i piątka wyszła, dostawał 4.200 guldenów, ponieważ kasa loteryjna wypłaca za pojedynczy numer czternaście razy tyle, ile stawka wynosiła. Jeżeli trafił dwa numera — dostawał kwotę podwójną. Obsadzając znaczną ilość numerów, wygrywał bardzo często, ale z tem wszystkiem zdarzyło się zaledwie dwa czy trzy razy, że wygrał więcej jak postawił. Wytłumaczenie tego zjawiska jest bardzo łatwe. Jeżeli np. obsadził 20 numerów, stawiając po 100 guldenów, to postawił razem

2.000, a jeżeli z tych 20 wyszedł tylko jeden, wypłacono mu 1.400 guldenów, to jest stawiający stracił 600 guldenów, mimo że wygrał na loterji. A ileż to razy zdarzyło się, że w dwudziestu numerach ani jednego nie trafił, bo gdy on miał 20, przeciwnik jego rozporządzał siedmdziesięcioma, z których nierównie łatwiej wszystkie pięć wyjść mogły.

Stawki pana Kaliksta były imponujące. Sprytny Hersch przynosił nieraz do kolektury 10, 15, a raz nawet 20 tysięcy guldenów!

Pewnego poranku, mój właściciel czytając przy kawie dziennik polityczny, znalazł w nim ogłoszenie niejakiego pana von Orlice z Berlina, który kładł się na swój honor niemiecki, że posiada niewątpliwy sposób robienia amb i tern na loterji austriackiej. Dla pewniejszego złapania łatwowiernych, Herr von Orlice nazywał się „profesorem“ i każdemu, ktoby się do niego zgłosił, przyrzekał przysłać doskonałe numera. Jako wynagrodzenie za trud, zacny profesor żądał od klienta drobnostki, nazywającej się dwoma guldenami.

W pierwszej chwili pan Kalikst uśmiechnął się ironicznie, ale wkrótce uśmiech zginął pod wąsem, bo tuż pod ogłoszeniem profesora znajdowały się dwa inne, w których jacyś panowie,

jeden z Wiednia, drugi z Pesztu, dziękowali za-
anemu berlińczykowi za jego „niezrównaną ins-
trukcję gry“ przy pomocy której obadwa powy-
grywali dość wysokie terna.

— Musi w tem coś być! — rzekł pan Ka-
likst i chwili nie zwlekając napisał do Berlina.

W tydzień otrzymał książkę, podobnie się
do tych, które miał oddawna, tylko bezczelniejszą,
bo pruską, z nią list obszerny i kilkanaście rząd-
ków numerów. Numera postawił natychmiast.
Przegrał. Rozgniewany, napisał do profesora list
drugi, w którym go nazwał oszustem. Zaczny ber-
lińczyk wcale się nie rozgniewał, i z największą
uprzejmością prosił swego klienta, by dalej sta-
wiał te same numera, a prędzej lub później sku-
tek miał być niewątpliwym. Pan Kalikst, który z
początku prawie w cud wierzył, tak mu władze
umysłowe namiętność przytłumiła, po tym liście
oprzytomniał zupełnie. Wiadomo że w 90 nu-
merach jest 4005 amb i 117.480 tern, jeźliby
więc na ogłoszenia „profesora“ tylu się doń ła-
twowiernych zgłosiło, iżby między nich mógł
rozdzielić wszystkia te ambą i terna; to w takim
razie na każdym ciągnienu musieliby jego klienci
wygrywać po 10 amb i 10 tern, gdyż z pięciu
numerów tyle jest pewnych kombinacji. Oto cała
tajemnica wielkiego berlińczyka, który najničke-

mniej eksploatuje proletarjat w Austrii, a szczególnie w Galieji.

Pan Kalikst dowiadując się później na pocztce, usłyszał, że tysiące ludzi koresponduje z wielkim „profesorem.“ Szarlatanizm przyjął się więc w tym biednym kraju, a dzienniki miejscowe drukowaniem ogłoszeń podstępnego berlińczyka, szerzą niemoralność same mu klientów przysparzając. Jeżeli on miewa tak pewne numera, czemu sam nie stawia? Wszak 'gdyby jego kombinacja była niezawodną, grając byłby już do takich przyszedł milionów, że ani by ich więcej pragnął.

Pan Kalikst nazwał profesora von Orlice oszustem, ale mimo to nie wyleczył się ze swojej choroby i grać nie przestał. Estratto pozostało i nadal ulubionem jego marzeniem.

Trzeciego dnia po postawieniu owych sześciu tysięcy, o których wyżej wspomniałem, sędziwy mój właściciel siedząc w wygodnym krześle poręczowem pił kawę i dziennik czytał. Przebiegłszy szybko okiem wiadomości polityczne, które nie były zbyt ciekawe, zatrzymał się przy rubryce poświęconej sprawozdaniom z izby sądowej. Była w niej mowa o pewnym urzędniku bankowym, który sprzeniewierzywszy znacznieszą kwotę ujrzał się przed kratkami. Urzędnika tego znało miasto całe, a przez długie lata uważali go wszyscy za

męża pracy i wielkiej prawości charakteru. Cóż mu się zatem stało? Oto zaczął grać w loteryję. Z początku przegrywał własne pieniądze, lecz gdy tych zabrakło, stłumił w sobie skrupuły i sięgnął do kasy bankowej. Szczęście upoczywie odmawiało mu swych usług, co go do tego stopnia podrażniło, że zaczął stawiać już nie dziesiątki i setki, ale tysiące. W jednym roku deficyt wynosił sto tysięcy guldenów. Stanąwszy przed sędziami, nie usprawiedliwiał się, nie prosił o litość, i wyrok potępiający przyjął z rezygnacją.

Pan Kalikst przeczytał sprawozdanie raz i drugi, a odłożywszy dziennik zaczął chodzić po pokoju. Dość długo dumał, potem stanął przed biurkiem i rzekł:

— Dobrze mu tak, czemu się dobierał do cudzej kasy.

I ledwie tych słów domówił, usiadł nad swemi książkami i z ołówkiem w ręku pochyłony nad białym papierem rozpoczął codzienną swoją pracę.

Tym razem jednak nie pisał długo, bo do drzwi zapukał służący oznajmiając, że w salonie czeka pani Jadwiga.

— Jadwiga?... tu?...

Jadwigą nazywała się siostrzenica pana Kaliksta.

Pokrywając ile możności nagłe zakłopotanie, starzec wyszedł do salonu, gdzie młoda kobieta z niekłamana radością rzuciła mu się na szyję, wołając:

— Wujaszku! drogi wujaszku!

Po uściskach i pierwszych słowach powitania, pan Kalikst usiłował wprowadzić rozmowę na rzeczy obojętne, w czem mu atoli siostrzenica przeszkodziła.

— Daruj kochany wujaszku — rzekła — że od razu przystąpię do rzeczy, ale radabym wrócić południowym pociągiem, bo dzieci stęsknią się za matką. Wpadłam tylko na chwilę w pilnym interesie.

— Jakiż to interes?

— Nic wesołego, wujaszku... Przed tygodniem spaliły nam się wszystkie budynki gospodarskie, a w dodatku grad wybił całą oziminę. Edward zapomniał że asekuracja skończyła się przed miesiącem i w czas policy nie odnowił.

— Bardzo mnie to martwi, ale cóż ja tu pomogę?

— Lubo z trwogą, przyjechałam prosić wuja o kilkanaście tysięcy bo inaczej rady sobie nie damy. Musielibyśmy chyba zabrnąć w długi, których mąż boi się bardziej jak ognia.

— Jako... potrzebujecie pieniędzy? Przecie po rodzicach odziedziczyłaś ziemię i gotówkę.

— Jeszcze mi grosza nie dali... Wszak wiesz wujaszku, że do tej chwili nie jestem pełnoletnią.

— Żle sobie mąż postąpił że ci pełnoletności nie wyrobił.

— Pewnie że źle, ale teraz nie czas o tem myśleć. Przed zimą trzeba budynki postawić i kupić inwentarz, który w większej połowie także nam się spalił. Ja jestem pewną, że w tak ważnej chwili wujaszek nie odmówi nam swojej pomocy.

— Radbym z całego serca, jak cię kocham moje dziecko, z całego serca, ale Bóg świadkiem że nie mam. Kapitały moje ulokowałem u przyjaciół, którzy nawet odsetków nie płacą mi regularnie.

— Ale ja nie żądam by wuj dawał ze swego... Ponieważ matka moja nie odebrała posagu, więc niech wuj będzie łaskaw dać z tego co jej się należało.

— Nie odebrała posagu? Kto ci to powiedział Jadwisiu? Ja do grosza wypłaciłem jej posag.

Młoda kobieta spojrzała ze zdumieniem na wuja, który mówił tak spokojnie i przekonywująco, że niepodobienstwem było wątpić o prawdzie słów

jego, tembardziej gdy nieboszczka matka zawsze jej powtarzała, że wuj Kalikst należy do ludzi bardzo prawych. Mimo to ośmieliła się jeszcze zrobić uwagę.

— Dziwi mnie, że matka nigdy mi o tem nie wspominała.

— Niech cię to nie dziwi, Jadwisiu... Rodzice nie mówią dzieciom o swoich majątkowych interesach. Gdyby rodzice twoi nie byli nagle pomarli, ich testament byłby cię przekonał, że odemnie nic im się nie należało.

Siostrzenica długo siedziała z głową zwieszoną, a potem podnosząc twarz zarumienioną rzekła :

— Kiedy tak, to niech nam wuj przynajmniej pożyczycy... Edward jest człowiekiem rzetelnym i wszystko zwróci.

— Przysięgam ci Jadwisiu, że nie mam grosza złamanego. Później najchętniej, ale teraz nie dla was nie mogę uczynić. Tyś smutna, Jadwisiu? Nie martw się moje dziecko... Edward jest człowiekiem zapobiegliwym, on sobie poradzi, a co do mnie, możecie być pewni, że życzę wam jak najlepiej i wszystko co mam wam zostawię.

Młoda kobieta zabawiwszy już nie długo, odjechała na kolej, pożegnana w salonie serde-

decznemi wuja uściskami i odprowadzona do drzwi złotemi jego obietnicami.

Tak więc loterja zrobiła pana Kaliksta kłamcą, krzywdzącym własną rodzinę!

Tego samego dnia w południe, wuj Jadwigi znalazłszy w swoich księgach i notatkach kilkanaście „pewnych“ numerów, które wielcy astrologowie poumieszczali przy wyrażeniach „grad“ i „pożar“ — posłał po Herscha i dał mu 17.000 guldenów, aby je niezwłocznie postawił na loteryjach linckiej i berneńskiej.

Rok cały spędziłem w mieszkaniu pana Kaliksta, i wyznam otwarcie, że mi się szalenie nudziło. Takie życie jednostajne, wypełniane cyframi, to trochę za mało dla Holendra, który bez pracy życia nie pojmuje. Gdyby go przynajmniej był kto odwiedzał, samo przypatrywanie się ludziom i studjowanie ich charakterów, byłoby zbawiennie na mój umysł oddziaływało, który miał czas przywyknąć do istot rozumnych. Ale do jego domu rzadko kto zaglądał. Zgrzybiały ten starzec żył jak pustelnik, i między nim a pustelnikiem trawiącym życie na modlitwie chyba ta zachodziła różnica, że gdy drugi wzdycha do nieba, on co dzień wzdychał do wielkiego estratto.

Mimo że w kasie leżałem, do ostatniej chwili nie wiedziałem, jaki był stan majątkowy mego

właściciela. Znajdując się z innymi dukatami, których było zaledwie kilka, w puszcze szczelnie zamkniętej, nie mogłem dowiedzieć się od banknotów osobno leżących, ile ich było, gdyż pod słońcem nie ma tworów bardziej ograniczonych jak banknoty austriackie. Wszak one nawet rozmówić się nie umieją...

Z tem wszystkiem zdaje się, że już w dniu, w którym mnie nabył, pan Kalikst musiał być w skórze nie najlepszej — bo często gęsto gniewał się na Herscha, robił mu wymówki, a kilka razy nawet oświadczył, że jeżeli los się nie odmieni, wkrótce grać przestanie. Usłuszny żydek umiał jednak tak sprawą kierować, że pogrozki gracza pełzły na niczem.

W tym samym domu na pierwszym piętrze mieszkał młody człowiek, z którego ojcem pan Kalikst kolegował. Młodzieniec nazywał się Henryk; od roku był „konceptowym praktykantem“ przy namiestnictwie. Zamożny ojciec nie szczędził jedynakowi pieniędzy, to też jedynak bawił się i hulał. Co dzień wieczór zbierało się u Henryka grono wesołych przyjaciół, których przy zielonym stoliku i kieliszkach najczęściej wschodzące słońce zastawało. Słabsza połowa rodzaju ludzkiego, uczęszczała także na te zabawy, czem pan Kalikst gorszył się niesłychanie, i za co Henrykowi gorz-

kie robił wymówki. Henryk przyrzekał w oczy poprawę, a po za oczy dalej broił.

Pewnego wieczora, pan Kalikst wracając z przechadzki po ogrodzie Miejskim, wstępował po wschodach ostrożnie, bo w sieni było już ciemno, a stróż przez zapomnienie lampy nie zapalił. Zrownawszy się z drzwiami, prowadzącymi do mieszkania Henryka, postrzegł jakąś postać, która na jego widok prędko od drzwi odskoczyła, usiłując ukryć się w ciemnym rogu. Widocznie Henryka w domu nie było. Zdjęty nie tyle strachem co ciekawością, starzec zapytał!

— Kto tu?

Żadnej odpowiedzi.

— Kto tu? — powtórzył głośniejszym głosem, zbliżając się do stojącej postaci.

— To ja — dał się słyszeć delikatny głosik kobiecy.

— Co za ja? Jaki ja? Co tu pani robisz?

Żadnej odpowiedzi.

To milczenie było dla starego kawalera dostateczną odpowiedzią. Już chciał odejść do siebie, gdy nagle, jakby nową tknięty myślą, odwrócił się do nieznanym właśnie w chwili, gdy ta usiłowała wymknąć się na wschody.

— Za pozwoleniem moja panno czy pani — rzekł biorąc ją za rękę — niechże przynajmniej

zobaczę, jakie to piękności odwiedzają pana Henryka.

I mimo że się broniła, mimo że jedną ręką twarz sobie zasłaniała, pan Kalikst z zuchwałością starego kawalera obrócił ją do okna, o które uderzał blask zorzy konającej, i zuchwale w oczy jej spojrział.

Oczy to były śliczne — twarzyczka jak anioła. Mogła mieć lat szesnaście, siedmnaście najwyżej, a wprowadzona do salonu, byłaby wszystkich uwagę na siebie zwróciła.

Ta rysów łagodność, ten wyraz bolesny i to spojrzenie pełne niepokoju tak uderzyły pana Kaliksta, że jakiś czas stał osłupiały słowa nie mogąc wymówić. Nareszcie gdy pierwsze zadziwienie minęło, rzekł:

— Przepraszam panią... ale bałem się czy przypadkiem nie dobywa się złodziej do Henryka.

— Niech mnie pan puści! niech mnie pan puści! — prosiło dziewczę.

— Zaraz moje dziecko, zaraz... Jako dobry przyjaciel Henryka, powinienem wiedzieć kto go odwiedza i w jakich zamiarach. Niech mi pani zatem za złe nie bierze, jeżeli ją na chwilę do siebie poproszę. Nie bój się moje dziecię — dodał czulej — nie bój się... Widzisz jam stary, mógłbym ci być nie ojcem, lecz dziadkiem.

Dziewczyna chciała się uwolnić najpierw prośbą, potem ucieczką — ale wszystko się nie udało. Pan Kalikst trzymając ją za rękę zaprowadził do siebie.

Nieznajoma ujrawszy się w salonie człowieka podeszłego, który służącemu kazał wnieść lampę i sam w przyzwrotnym usiadł oddaleni, ochłoneła z pierwszego przestrichu. Z oczyma w dół spuszczone siedziała naprzeciwko gospodarza, nie pojmując celu tej wizyty.

-- Przepraszam cię panienko — rzekł pan Kalikst po chwili milczenia, którą obrócił na uważne przypatrzenie się pięknej nieznajomej — że tak rubasznie obszedłem się z tobą... mam jednak nadzieję, że po rozmowie naszej chętnie mi przebacysz.

— Przyznam się — odpowiedziała dziewczyna odwagę zbierając — że nie wiem po com tu przyszła, ani domyślam się jaki cel może mieć ta rozmowa.

— Tylko bez dąsów piękne dziecię... Zobaczywszy cię przy drzwiach młodego człowieka, którego wszyscy znają jako trzpiota, i o godzinie tak później, pojdziesz że mi się to wydało dziwnem, tem dziwniejszem gdy mnie już głos twój przekonał, że jesteś prawie dzieckiem. Daruj mi panienko, ile też lat mieć możesz ?

— Skończyłam szesnaście.

— Szesnaście... to zawcześnie! I dawno znasz pana Henryka?

— Od dwóch tygodni.

— A kto cię z nim poznał?

Dziewczyna milczała.

— Powiedz mi, powiedz... nie potrzebujesz się wstydzić, bo cokolwiek usłyszę, zachowam w tajemnicy... Moja ciekawość jest całkiem naturalną. Gdybyś była starszą, anibyś cię badał, ani nawet z tobą rozmawiał, ale takie dziecko, rok siedemnasty!

Po tych słowach nieznajoma dłońmi twarz zakrywszy, cicho płakać zaczęła. Pan Kalikst zaniepokojony tym zwrotem niespodziewanym, powstał, a zbliżywszy się do dziewczyny zaczął ją uspokajać. Długo trwało zanim płacz ustał, a gdy ła ostatnia zbiegła po bladej twarzyczce, nieznajoma ręce łamiąc tak przemówiła:

— Pan mnie potępiasz, a ja niewinna, przysięgam ci panie, ja z własnej woli nie upadła tak nisko! Gdybyś znał moje życie, gdybyś wiedział ilem przecierpiała, zamiast ironji miałbyś dla mnie litość!

— Być może, moje dziecko, i dla tego opowiedz mi swoje życie... Nie ma upadku tak wielkiego, z któregooby człowiek chcąc nie mógł się

podnieść. Ale trzeba cbaćć moje dziecic, trzeba... Opowiedz mi wiec wszystko, wszystko... moze znajdzie sie jaka rada, pociecha...

— Dobrze.

Rozpoczela sie spowiedz krótkiego zycia tej biednej kobiety, spowiedz przerywana łzami i dluzszem milczeniem. Dosłownie nie bede jej powtarzal, aby nie byc rozwleklym; wystarczy, jezeli sama treść przytocze.

Ludwisia, tak sie nazywala nieznamoma, byla córką nizszego urzednika. Gdy ja matka odumarla, miala ledwie siedm lat skonczonych. Nie wiedzac co dobre a co zle, ujrzala sie sama z ojcem, który po smierci zony, czy to z rozpacz, czy z innego powodu, takiego nabral wstrętu do własnego domu, że w nim tylko nocowal, w dzien rzadko sie pokazujac.

Małe dziecic wychowywalo sie jak krzew dziki, w towarzystwie slugi starej i opryskliwej, która zamiast byc matką sierocie byla jej tyranką. Przykry ten stosunek nie trwal dlugo; stara Marta nie wypłacana regularnie, wyniosla sie pewnego poranku, aby wiecej nie wrócić. Ojciec nie przyjal juz slugi w domu mieszkajacej, lecz dochodzaca, która zrobiwszy co do niej nalezalo, biegla czempredzej na inną poslugę.

Odtąd Ludwisi jeszcze gorzej było. Marta należała do kobiet złych i dokuczliwych, ale Marta była przynajmniej istotą żyjącą; teraz dokoła sieroty zapanowała cisza grobowa. Cóż dziwnego, że wśród takich stosunków, małe dziewczę nie ucząc się niczego, ojciec bowiem nie posyłał jej do szkoły, ani nikogo przy sobie nie widząc, z kimby mogła kilka słów zamienić, cóż dziwnego powtarzam, że dziecko tak wychowywane, zaczęło wybiegać do sieni i na dziedziniec, gdzie zabrało znajomość z dziećmi stróża i rzemieślników mieszkających w tej samej kamienicy. Odtąd Ludwisi nie nudziło się więcej — ale za to do młodej jej duszy wpadały słowa i uwagi, których z dziecięcą słuchała ciekawością, lecz które w przyszłości miały dla niej zabójcze wydać owoce.

W miarę jak podrastała, stosunek z ojcem stawał się coraz przykrzejszym. Dawniej dbał przynajmniej o to, aby dziecku na niczem nie zbywało — teraz przestał się o dom troszczyć. Na codzienne utrzymanie wydawał tak mało, że Ludwisia ciągle głód cierpiała, a w jednej sukience letniej musiała cały rok chodzić. I jakby jeszcze nie dość było złego, z każdym nowym miesiącem pojawiało się w ich mieszkaniu coraz więcej żydów, przed którymi ojciec już do dnia uciekał. Ludwisia długo nie wiedziała co te odwiedziny znaczyły; zna-

leźli się atoli sąsiedzi, którzy powiedzieli, że jej ojciec ma długi.

Gdy ukończyła czternasty rok życia, położenie stało się nieznośnem. Jej rówieśniczki ubierały się, chodziły na zabawy, przechadzki, — ona siedziała wiecznie w swojej izdebce, wiecznie sama. Gdyby była umiała szyć, haftować, byłaby chętnie po całych dniach i nocach pracowała — ale niestety pracy nikt jej nie uczył. Pragnienie dorównania rówieśnicom zaczęło ją dręczyć, tem bardziej, że go zaspokoić nie mogła. Ludwisia była już kobietą.

W tym czasie ojca jakiś szal opanował. Na utrzymanie domu wydawał już tak mało, że nie było za co objadu zgotować; z domu wynosił wieczorami wszystko, nawet pościel i suknie ostatnie, a raz gdy Ludwisia była u jednej z sąsiadek, wszedł do mieszkania ukradkiem jak złodziej i zabrał córce wszystko co posiadała. Nazajutrz nie przygotowała objadu, bo nie było pieniędzy. Ojciec przyszedł, zabawił godzinę, przechadzając się po pokoju, a nie widząc nic na stole, udał się do biura. Córce krajało się serce, lecz cóż mogła począć?

Naprzeciw ich okien mieszkał jakiś pan zamężny, który miał dwóch synów. Starszy z nich, brunet czarnooki, oddawna zauważał Ludwisię, i

ilekroć przy oknie ją zobaczył, zawsze w swoim stawał. Opuszczenemu dziewczęciu sprawiało to przyjemność, że ktoś na nią zwrócił uwagę; to też dzień cały przesiadywała obok okna i uśmiechała się zawsze, gdy młody człowiek do niej się uśmiechał, lub gdy rękę do serca przykładając usiłował tem okazać, że ona nie jest mu obojętną.

Raz gdy już było najgorzej, weszła do niej pani Barbara, mieszkająca w tym samym domu w oficynie, o której nikt nie wiedział z czego się utrzymuje, i zacząwszy bardzo z daleka, poczęła następnie mówić o biedzie, jaką Ludwisia znosi i o środkach zaradczych. Nieznacznie wspomniała coś o młodzieńcu mieszkającym naprzeciwko, który chciałby poznać Ludwisię. Sierota, jakby czemś tknięta, odpowiedziała w pierwszej chwili że nie; ale pani Barbara tak pięknie mówiła, tak tłumaczyła, że w tem nie ma nic złego; tak przedstawiała i nakłaniała, twierdząc, że piękny młodzieńiec poznawszy bliżej panienkę, może się z nią ożenić, iż ta w końcu przystała na jej propozycję.

Po południu, gdy ojca w domu nie było, przyszedł młody człowiek. Z początku sierota bardzo była zakłopotana, jednakże powoli oswoiła się z gościem, a gdy się żegnał, rozstawała się z nim jak z dobrym znajomym. Jaki ładny, a jaki grzeczny! Nawet kilka razy w rękę ją pocałował — on, pan

bogaty, ją, dziewczynę biedną! Ludwisię żenowały te pocałunki, bo ręce miała żelazkiem popieczone.

Od tego popołudnia, pan Konstanty był jej gościem codziennym. Z delikatnością godną uznania, starał się zaspokajać jej potrzeby, a *czynił* to tak, że sama nie wiedziała z kąd się wszystko brało. Wprawdzie domyślała się, że to on był jej aniołem opiekuńczym, lecz czy mogła się tem obrazić? Któż ją uczył, że młoda panienska nie powinna od młodego człowieka przyjmować tego rodzaju grzeczności? Matki nie miała, a pani Barbara z takim zapałem mówiła zawsze o panu Konstantym!

W domu nie było nędzy — ojciec nie wyszedł nigdy bez objadu.

— A ojciec nie pytał — przerwał pan Kalikst — z kąd brałaś pieniądze?

— Nigdy!

Rówieśnice zazdrościły jej pięknych sukienek — Kostuś kochał ją tak gorąco, i ona taką odpłacała mu wzajemnością, że bez niego żyć już nie mogła.

Tak zaczął się upadek.

Ale po kilku miesiącach Kostuś wyjechał na wieś, a potem jego przyjaciel przyszedł uwiadomić Ludwisię, że Kostuś ulegając woli ojca musiał się ożenić. Ludwisia płakała, płakała gorąco, ale przyjaciel Kostusia tak ją pocieszał, tak współ-

czuł jej niedolę, że po kilku dniach płakać przestała.

Odtąd jej upadek stał się jeszcze większym, bo przywyknawszy do strojów i życia wygodniejszego, bała się wrócić do nędzy.

— Ach! mój panie, mój dobry panie! — zawołała dziewczyna składając ręce przed panem Kalikstem — ja sama nie wiedziałam co czynię, mnie nikt nie powiedział, że to źle... Zdradzona w pierwszej miłości, czując, że jestem dla świata tylko zabawką, nie kochałam już nikogo. Ale ja mogłam być dobrą, bardzo dobrą, gdyby nie ta loterja, nie ta loterja!

— Cóż tu loterja ma do rzeczy? — zawołał pan Kalikst szybko powstając, jakby go co ukąsiło.

— Mój ojciec grał w loterję..

Starzec pobladł, ręką czoło potarł i w zamysleniu przeszedł się kilka razy po salonie. Potem stanąwszy przed dziewczyną, zapytał:

— A jaką pensję ma twój ojciec?

— Siedmset guldenów rocznie.

— Teraz się nie dziwię, że go loterja zniszczyła... Moje dziecko, w loterję nie każdy grać może... do tego trzeba forsy, wielkiej forsy... Lecz ja cię tu zatrzymuję, a tobie może śpieszno. Jeżeli mogę ci czem służyć..

— Dziękuję panu — odpowiedział dziewczyna, dumnie głowę podnosząc. — Dzisiejsze moje wyznanie, pierwsze jakie w życiu uczyniłam, zrobiło mnie starszą o lat dwadzieścia. Rozumiejąc na jakiej stoję pochyłości, czuję równocześnie że mogę wejść na inną drogę. Dziękuję więc za jałmużnę, i dziękuję za to, żeś tu oprzytomniała.

Ludwisia wyszła, a pan Kalikst wrócił najspokojniej do zwykłego zajęcia.

Czy długo grał jeszcze? Ledwie kilka miesięcy. Kapitały w kasie leżące, zmniejszały się z dniem każdym, wygrane bowiem były zawsze mniejsze niż kwoty postawione — i nakoniec przyszło do tego, że prócz kilku dukatów, między którymi i jam się znajdował, sędziwy mój właściciel nic już więcej nie posiadał. Widząc ruinę, a bojąc się by się kto nie dowiedział o jej powodach, sprzedał nagle wszystkie swoje ruchomości, i nikomu nie mówiąc wyjechał na wieś do jednego z lepszych znajomych. Tu siedział kilka miesięcy i stawiał regularnie co dni czternaście, wprawdzie już nie setki i tysiączki, lecz tylko piątki i dziesiątki. Gdy fundusz z ruchomości sprzedanych tak dalece się wyczerpał, że prócz mnie i trzech innych dukatów nic już więcej nie miał, kazał sobie uszyć woreczek skórzany, włożył mnie do

środką i powiesił na szyi, resztę zaś dukatów wymienił na banknoty.

Z tym zasobem wyruszył w drogę do swojej siostrzenicy, Jadwigi.

Poczciwa kobieta przyjęła wuja jak najuprzejmiej, a chociaż nazajutrz dowiedziała się, że wuj się zrujnował, nie przestała być dlań czułą. Tylko jej mąż, Edward, uśmiechał się ironicznie, gdy pan Kalikst tłumaczył się mówiąc:

— Straciłem, bom za wiele ryzykowałem... Ale ja bym był grał nierównie oględniej, gdyby nie to, że każdemu z waszych dzieci chciałem zostawić po trzy piękne wioski. Teraz już inaczej kombinuję, o! inaczej! Zobaczycie że się wkrótce odbiję.

I chcąc się odbić brał od siostrzenicy co dni czternaście po kilka guldenów, które z numerami posyłał do miasteczka. I byłby tak grał bez przerwy, do dnia sądnego, wierząc ciągle że się odbije, gdyby nie płuc zapalenie. W gorączce marzył ciągle o numerach, a gdy w kilka dni oprzytomniał, zdjął z piersi woreczek, wyjął mnie, wręczył Jadwisi, która przy łóżku stała, i rzekł:

— Tego dukata chowałem na ostatek.. postaw na lwowskiej (tu wyszeptał trzy numera) pewnie wyjdą...

Słowa te były ostatnie. Raz jeszcze spoj-
rzył na siostrzenicę, przyknuł oczy i skonał...

Pisałem we Lwowie r. 1876.

Józef Rogosz.

KONIEC SERJI PIERWSZEJ.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

| | Str. |
|---------------------------------|------|
| I. Pierwsze wrażenia | 5 |
| II. Maskowani | 23 |
| III. Lichwa żydowska | 55 |
| IV. Sprawa żydowska | 100 |
| V. Pasożyty i pijawki | 140 |
| VI. Loterja | 199 |

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-390 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

F

22.461